

Philip K. Dick

Valis



© 1974

Philip K. Dick

Valis

Przełożył
Lech Jęczmyk



Dom Wydawniczy REBIS
Poznań 1994

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

„Valis” z 1981 roku...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

DODATEK

*Dla Russella Galena,
który wskazał mi właściwą drogę*

„Valis” z 1981 roku (która wraz z „Bożą inwazją” i „The Transmigration of Timothy Archer” tworzy trylogię) uważa się za najlepszy pod względem literackim i najambitniejszy intelektualnie utwór tego pisarza. Jest jakby Wielką Improwizacją Dicka, w której usiłuje on znaleźć odpowiedź na pytanie: Jeżeli Bóg jest dobry i wszechmocny, to dlaczego pozwala, żeby świat był taki zły?

VALIS (skrót od Vast Active Living Intelligence System, czyli Rozległy Czynny Żywy System Informatyczny, z amerykańskiego filmu) – turbulencja w polu rzeczywistości, w której tworzy się spontaniczne, samokontrolujące się negentropijne zawirowanie dążące stopniowo do podporządkowania sobie otoczenia i wykorzystania go do tworzenia zestawów informacji.

Charakteryzuje się pozorną świadomością, celowością, inteligencją, rozwojem i swoistą koherencją.

Wielka Encyklopedia Sowiecka



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Koniolub Grubas załamał się nerwowo w dniu, kiedy zatelefonowała do niego Gloria z pytaniem, czy ma nembutal. On spytał, po co jej to potrzebne, a ona powiedziała, że chce się zabić. Dzwoniła po wszystkich znajomych. Miała już pięćdziesiąt pigułek, ale potrzebowała jeszcze trzydziestu albo czterdziestu, żeby uzyskać całkowitą pewność.

Koniolub Grubas natychmiast doszedł do wniosku, że to jest jej sposób na zwrócenie się o pomoc. Grubas przez lata łudził się, że może komuś pomóc. Jego psychiatra powiedział mu kiedyś, że jeśli chce się wyleczyć, musi zrobić dwie rzeczy: rzucić narkotyki (czego nie zrobił) i przestać próbować pomagać ludziom (nadal próbował).

Faktem jest, że nie miał nembutalu. Nie miał żadnych środków nasennych, bo nigdy ich nie zażywał. Brał środki pobudzające. Dlatego nie był w stanie dać Glorii pigułek, za pomocą których mogłaby popełnić samobójstwo. Zresztą, gdyby je miał, też by jej nie dał.

– Mam dziesięć – skłamał, bo gdyby powiedział prawdę, odłożyłaby słuchawkę.

– W takim razie przyjadę do ciebie – odpowiedziała Gloria racjonalnym, spokojnym tonem, takim samym, jakim pytała o pigułki.

Wtedy Grubas zrozumiał, że ona nie szukała pomocy, że ona chciała umrzeć. Była kompletnie szalona. Gdyby była przy zdrowych zmysłach, zdawałaby sobie sprawę, że musi ukryć swój zamiar, bo w ten sposób czyniła Grubasa współwinnym zabójstwa. Żeby się zgodzić, musiałby chcieć jej śmierci. Ani on, ani nikt inny, nie miał powodu, żeby tego pragnąć. Gloria była osobą miłą i kulturalną, ale łykała masę prochów. Nie ulegało wątpliwości, że przez ostatnie pół roku, kiedy nie miał od niej wiadomości, prochy zrujnowały jej mózg.

– Gdzie się podziewałaś? – spytał Grubas.

– Byłam w szpitalu Syjon w San Francisco. Próbowalam popełnić samobójstwo i matka mnie tam oddała. Wypisali mnie w zeszłym tygodniu.

– Czy jesteś wyleczona?

– Tak – powiedziała.

Wtedy właśnie Grubas zaczął wariować. Wówczas tego nie wiedział, ale został wciągnięty w nie mającą nazwy psychologiczną grę bez wyjścia. Gloria Knudson zniszczyła nie tylko swój mózg, ale i jego, swojego przyjaciela. Pewnie mimochodem, za pomocą podobnych rozmów telefonicznych zniszczyła sześć albo siedem innych osób, którzy byli jej przyjaciółmi. Niewątpliwie zniszczyła również matkę i ojca. Grubas słyszał w jej racjonalnym tonie nutę nihilizmu, pogłos pustki. Nie miał do czynienia z osobą, miał na drugim końcu linii wyładowanie łukowe.

Nie wiedział wtedy, że utrata zmysłów bywa czasami najwłaściwszą reakcją na rzeczywistość. Słuchanie, jak Gloria racjonalnie prosi o śmierć, było wdychaniem zarazków. Była to chińska pułapka na palec, z której im energiczniej człowiek stara się uwolnić, tym mocniej ona się zaciska.

– Gdzie teraz jesteś? – spytał.

– W domu rodziców. W Modesto.

Ponieważ on mieszkał w hrabstwie Marin, dzieliło ją od niego kilka godzin jazdy. Niewiele powodów mogłoby go zmusić do takiej wyprawy. To był jeszcze jeden dowód szaleństwa – trzy godziny jazdy w jedną stronę po dziesięć pigułek nembutalu. Czy nie lepiej sprzedać samochód? Gloria nie popełniała swego irracjonalnego czynu w sposób racjonalny. Dzięki ci, Timie Leary* [przyp.: Tim Leary – psycholog propagujący w latach sześćdziesiątych zażywanie narkotyków.], pomyślał Grubas. I twojej propagandzie radości z rozszerzenia świadomości przez narkotyki.

Grubas nie wiedział, że jego własne życie jest podobnie zagrożone. Był rok 1971. W 1972 znajdzie się na północy, w Vancouver w Kolumbii Brytyjskiej, gdzie samotny, bez grosza przy duszy i przestraszony w obcym mieście będzie usiłował popełnić samobójstwo. Teraz ta wiedza była mu oszczędzona. Chciał jedynie ściągnąć Głorię do hrabstwa Marin, żeby jej pomóc. Jedną z największych łask Boga jest to, że trzyma nas w ciągłej niewiedzy. W roku 1976 kompletnie oszalały z rozpaczy Koniolub Grubas podetnie sobie żyły (próba samobójstwa w Vancouver była nieudana), połknie czterdzieści dziewięć tabletek skoncentrowanego wyciągu z naparstnicy i zamknie się w garażu, zapuściwszy silnik samochodu. Też mu się nie uda. Cóż, ciało rozporządza mocami nie znanymi umysłowi. Umysł Glorii jednak miał pełną kontrolę nad jej ciałem, ona była racjonalnie szalona.

Większość szaleństw można utożsamić z dziwacznością i teatralnością. Człowiek zakłada garnek na głowę, owija się ręcznikiem w pasie, maluje się na fioletowo i wychodzi na ulicę. Gloria natomiast była jak zawsze spokojna, uprzejma i kulturalna. Gdyby żyła w starożytnym Rzymie albo w Japonii, nikt by nic nie zauważył. W swojej wyprawie po dziesięć pigułek

nembutalu zatrzymywała się na każdym czerwonym świetle i nie przekraczała dozwolonej prędkości.

Koniolub Grubas to ja, piszę to w trzeciej osobie, żeby uzyskać niezbędny dystans. Nie byłam zakochany w Glorii Knudson, ale ją lubiłem. W Berkeley ona i jej mąż wydawali eleganckie przyjęcia, a my z żoną zawsze byliśmy zapraszani. Gloria godzinami przygotowywała małe kanapki i podawała różne wina, elegancko się ubierała i wyglądała uroczo z krótko przyszyzonymi włosami piaskowego koloru.

Tak czy inaczej, Koniolub Grubas nie miał dla niej nembutalu i w tydzień później Gloria rzuciła się z dziesiątego piętra kliniki Synanon w Oakland w Kalifornii i roztrzaskała się na chodniku Bulwaru MacArthura, Koniolub Grubas zaś powoli i niezauważalnie staczał się w nędzę i chorobę, w ten rodzaj chaosu, jaki zdaniem astrofizyków czeka cały wszechświat. Grubas wyprzedzał swój czas, wyprzedzał wszechświat. W końcu zapomniał, jakie wydarzenie zapoczątkowało jego osuwanie się w entropię. Bóg w łaskawości swojej zasłania przed nami nie tylko przyszłość, ale i przeszłość. Dowiedziawszy się o śmierci Glorii, przez dwa miesiące płakał, oglądał telewizję i dalej łykał prochy. Jego mózg też się rozsypywał, ale on tego nie wiedział. Dobroć Boga jest nieograniczona.

Nawiasem mówiąc, rok wcześniej własna żona Grubasa odeszła w chorobę umysłową, szerzyło się to jak zaraza. Nikt nie potrafił powiedzieć, ile w tym było winy narkotyków. Ten czas w Ameryce, lata sześćdziesiąte, i to miejsce, nad Zatoką San Francisco w Północnej Kalifornii, było kompletnie popieprzone. Mówię wam to z przykrością, ale to fakt. Żadna wymyślna terminologia ani zawile teorie nie mogą ukryć tego faktu. Władze były równie pomyłone, jak ci, których ścigały. Chciały pozamykać wszystkich, którzy się jakkolwiek wychylali. Władze były przepełnione nienawiścią. Na Grubasa też policjanci patrzyli wzrokiem wściekłych psów.

W dniu, kiedy czarną marksistkę Angelę Davis przeniesiono z więzienia hrabstwa Marin, władze zlikwidowały ośrodek kultury. Żeby zaskoczyć radykałów, którzy chcieliby rozpętać zamieszki. Windy unieruchomiono, na drzwiach zawieszono fałszywe informacje, prokurator okręgowy wyjechał. Grubas był świadkiem tego wszystkiego. Wybrał się tego dnia do ośrodka kultury, żeby zwrócić książkę do biblioteki. W wejściu była elektroniczna bramka i dwaj gliniarze przetrząsali książkę i papiery, które Grubas miał przy sobie. Był zdumiony. Cały ten dzień go zdumiewał. W stołówce inny uzbrojony gliniarz nadzorował jedzących. Grubas wrócił do domu taksówką, bojąc się własnego samochodu i zastanawiał się, czy zwariował. Zwariował, ale wszyscy inni też.

Jestem z zawodu pisarzem science fiction i robię w fantazjach. Całe moje życie jest fantazją. A jednak Gloria Knudson leży w urnie w Modesto, w Kalifornii. Mam w albumie zdjęcie jej wieńców pogrzebowych. Zdjęcie jest kolorowe, możecie więc zobaczyć, jakie to były ładne wieńce. W tle widać zaparkowany volkswagen. Ja wciskam się do volkswagena w połowie ceremonii, bo nie mogę już dłużej wytrzymać.

Po pogrzebie były mąż Glorii, Bob, ja oraz jakiś zapłakany przyjaciel jego i jej poszliśmy na późny lunch do eleganckiej restauracji, niedaleko cmentarza w Modesto. Kelnerka posadziła nas w najdalszym kącie, bo wszyscy trzej wyglądaliśmy jak hipisi, mimo że byliśmy w garniturach i krawatach. Guzik nas to obchodziło. Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy. Poprzedniej nocy Bob i ja... to znaczy Bob i Koniolub Grubas... pojechaliśmy do Oakland zobaczyć film „Patton”. Przed samym pogrzebem Grubas poznał rodziców Glorii. Podobnie jak ich zmarła córka, traktowali Grubasa niezwykle uprzejmie. Grupa przyjaciół Glorii stała w kiczowatym saloniku w westernowym stylu, wspominając osobę, która ich łączyła. Rzecz jasna, pani Knudson miała zbyt mocny makijaż. Kobiety zawsze tak

robią, kiedy ktoś im umiera. Grubas głaskał kota nieboszczki, który zwał się Przewodniczący Mao. Wspominał te kilka dni, które Gloria spędziła u niego, kiedy przyjechała po nembutał, którego on nie miał. Ujawnienie jego kłamstwa przyjęła spokojnie, a nawet obojętnie. Kiedy człowiek szykuje się na tamten świat, nie przejmuje się drobiazgami.

– Zażyłem je – powiedział Grubas, piętząc kłamstwo na kłamstwie.

Postanowili pojechać na plażę, wielką, oceaniczną plażę na przyłądku Point Reyes. Pojechali volkswagenem Glorii i ona prowadziła (Grubasowi nigdy nie przeszło przez myśl, że pod wpływem nagłego impulsu mogłaby rozwalić jego, siebie i samochód). W godzinę później siedzieli na piasku paląc marychę.

Grubasa najbardziej ze wszystkiego interesowało, dlaczego ona chce się zabić.

Gloria miała na sobie sprane dzinsy i podkoszulek z wyszczerzoną gębą Micka Jaggera na froncie. Piasek był tak przyjemny, że zdjęła pantofle i Grubas zauważył, że ma nienaganny pedicure i pomalowane na różowo paznokcie. Umiera tak, jak żyła, pomyślał.

– Ukradli mi konto bankowe – powiedziała. Po chwili zorientował się z jej potocznej, pogodnej opowieści, że żadnych „onych” nie było. Gloria roztoczyła przed nim panoramę totalnego i niezłomnego szaleństwa, lapidarnego w swojej konstrukcji. Wypełniła wszystkie szczegóły, używając narzędzi logicznych nie ustępujących precyzją narzędziom dentystycznym. W jej historii nie było najmniejszej szczeliny, żadnego błędu, poza, oczywiście, podstawowym założeniem. Polegało ono na tym, że wszyscy jej nienawidzą, że chcą ją wykończyć i że ona jest osobą pod każdym względem bezwartościową. W miarę, jak mówiła, zaczęła znikać. Patrzył, jak odchodzi, było to zdumiewające. Gloria z każdym swoim odmierzonym słowem wykreślała się z życia. Był to racjonalizm w służbie... hmm,

pomyślał... w służbie niebytu. Jej umysł stał się jedną wielką, znakomitą gumką do wycierania. Jedyne, co z niej pozostało, to był zezwłok, jej nie zamieszkanego ciała.

Ona już nie żyje, uświadomił sobie tamtego dnia na plaży.

Kiedy wypalili całą trawkę, poszli na spacer, wymieniając uwagi na temat wodorostów i wysokości fal. Nad ich głowami skrzeczały mewy, szybując jak plastikowe talerze frisbee. Tu i ówdzie siedzieli lub spacerowali jacyś ludzie, ale w sumie plaża była prawie pusta. Tablice ostrzegały o niebezpiecznych prądach. Grubas za nic nie mógł zrozumieć, dlaczego Gloria po prostu nie rzuci się w fale. Nie miał dostępu do tego, co działo się w jej głowie. Potrafiła myśleć o nembutalu, który był jej potrzebny, albo tak jej się wydawało.

– Mój ulubiony album Grateful Dead to „Workingman’s Dead” – powiedziała w pewnym momencie Gloria. – Myślę jednak, że nie powinni zachęcać do zażywania kokainy. Dużo dzieciaków słucha rocka.

– Oni wcale nie zalecają kokainy. Piosenka jest tylko o kimś, kto ją zażywał. I ona go pośrednio zabiła, bo wykoleił pociąg.

– Ale ja dlatego zaczęłam się bać – powiedziała Gloria.

– Z powodu Grateful Dead?

– Dlatego – powiedziała Gloria – bo wszyscy chcieli, żebym zaczęła to robić. Mam już dosyć robienia tego, czego chcą inni.

– Nie zabijaj się – prosił Grubas. – Zamieszkać ze mną. Jestem zupełnie sam. I naprawdę cię lubię. Przynajmniej spróbuj przez jakiś czas. Ja i moi przyjaciele przewieziemy twoje bagaże. Jest masa rzeczy, które możemy robić, chodzić gdzieś, tak jak dzisiaj na plażę. Czy nie jest tu ładnie?

Gloria nic na to nie odpowiedziała.

– Czuję się okropnie przez resztę życia – powiedział Grubas – gdybyś to zrobiła. – W ten sposób, jak sobie później uświadomił, podsuwał

jej niewłaściwe powody do życia. Miała żyć ze względu na innych. Gdyby myślał latami, nie mógł wymyślić gorszego argumentu. Lepiej było najechać na nią volkswagenem. To dlatego telefonów zaufania dla kandydatów na samobójców nie mogą obsługiwać głąby. Grubas przekonał się o tym później w Vancouver, kiedy sam był w nastroju samobójczym i zadzwoniwszy do Centrum Kryzysowego Kolumbii Brytyjskiej otrzymał fachową poradę. Nie przypominało to w niczym tego, co on powiedział Glorii tamtego dnia na plaży.

– Chciałabym dziś u ciebie przenocować – powiedziała Gloria, zatrzymując się, żeby strącić ze stopy przyklejone kamyki.

Grubas mimowolnie doznał wizji seksu.

– Bomba – rzekł, bo takim językiem się wtedy posługiwał. Kontrkultura rozporządzała bogatym zbiorem wyrażen, które znaczyły właściwie tyle co nic. Grubas splatał z nich całe wiązanki. Zrobił tak i teraz w fałszywym przekonaniu, że oto uratował życie swojej przyjaciółce. Zdolność oceny sytuacji, która nigdy nie była jego mocnym punktem, osiągnęła rekordowo niski poziom. Życie dobrej osoby wisiało na włosku, Grubas trzymał ten włoszek i myślał tylko o tym, żeby mu się udało.

– Kumam wszystko – bełkotał, idąc z Glorią po plaży. – Odlotowo.

W kilka dni później Gloria nie żyła. Spędzili tę noc razem, śpiąc w ubraniach i nie kochając się. Nazajutrz po południu Gloria odjechała. Oficjalnie po to, żeby zabrać swoje rzeczy z domu rodziców w Modesto. Nie zobaczył jej już nigdy. Przez kilka dni czekał na nią daremnie, aż pewnej nocy zadzwonił telefon i odezwał się jej były mąż, Bob.

– Gdzie teraz jesteś? – spytał Bob.

Pytanie zadziwiło Grubasa. Był w domu, tam gdzie był jego telefon, w kuchni. Głos Boba brzmiał normalnie.

– Jestem tutaj – odpowiedział Grubas.

– Gloria popełniła dziś samobójstwo – powiedział Bob.

Mam zdjęcie Glorii z Przewodniczącym Mao w ramionach. Gloria klęczy roześmiana i oczy jej błyszczą. Przewodniczący Mao próbuje się uwolnić z uścisku. Z lewej strony widać fragment choinki. Na odwrocie zdjęcia pani Knudson napisała swoim czytelnym pismem: „Oto jej wdzięczność za naszą miłość”.

Nigdy nie udało mi się zgłębić, czy pani Knudson napisała to przed śmiercią Glorii czy po. Knudsonowie wysłali mi to zdjęcie... wysłali Koniolubowi Grubasowi to zdjęcie w miesiąc po pogrzebie Glorii. Grubas napisał do nich list z prośbą o jej fotografię. Najpierw zwrócił się do Boba, który odpowiedział gniewnie: „Do czego ci potrzebne zdjęcie Glorii?” Na co Grubas nie znalazł odpowiedzi. Kiedy Grubas zmusił mnie do pisania poniższego, spytał, dlaczego według mnie Bob Langley tak się wściekał na tę prośbę. Nie wiem. Nic mnie to nie obchodzi. Może Bob wiedział, że Gloria i Grubas spędzili razem noc i był zazdrosny. Grubas mówił nieraz, że Bob Langley był schizoidem, twierdził, że wie to od samego Boba. U schizoida brak jest korelacji między myśleniem a czuciem, cierpi na to, co nazywa się „spłaszczeniem uczucia”. Schizoid nie widziałby powodu, żeby czegoś takiego o sobie nie powiedzieć. Z drugiej strony, podczas pogrzebu Bob schylił się i położył na trumnie Glorii różę. W tym samym czasie Grubas odczołgiwał się do volkswagena. Która reakcja była właściwa? Grubas, który płacze samotnie w zaparkowanym samochodzie, czy były mąż, który pochyła się z różą, nic nie mówi, nic nie okazuje, ale coś robi... Grubas nie przyczynił się do uświetnienia pogrzebu niczym, poza bukietem kwiatów kupionym w ostatniej chwili w drodze do Modesto. Wręczył je pani Knudson, która zauważyła, że są urocze. Wybrał je Bob.

Po pogrzebie, w eleganckiej restauracji, w której kelnerka usunęła ich trójkę z widoku, Grubas spytał Boba, co Gloria robiła w Synanon, skoro

miała zabrać swoje rzeczy i wracać do hrabstwa Marin, żeby zamieszkać z nim, jak myślał.

– Carmina namówiła ją, żeby poszła do Synanon – powiedział Bob. Carmina to była pani Knudson. – Z powodu narkomanii.

– Nie można powiedzieć, żeby jej bardzo pomogli – odezwał się Timothy, którego Grubas dotąd nie znał.

Było tak, że Gloria weszła frontowymi drzwiami do szpitala Synanon, a tam natychmiast się za nią zabrali. Kiedy czekała na wstępną rozmowę, ktoś, przechodząc obok niej, celowo zrobił uwagę na temat jej brzydoty. Następna przechodząca osoba poinformowała ją, że ma fryzurę jak szczurze gniazdo. Gloria zawsze miała kompleks na punkcie swoich kręconych włosów. Pragnęła mieć włosy długie i proste, jak wszyscy na świecie. Nie dowiemy się, co powiedziałyby trzeci pracownik szpitala, bo Gloria była już w drodze na dziesiąte piętro.

– Czy to jest metoda stosowana w Synanon? – spytał Grubas.

– To jest technika rozbijania osobowości – wyjaśnił Bob. – Faszystowska terapia, która ukierunkowuje człowieka całkowicie na zewnątrz i uzależnia od grupy. Wtedy mogą budować nową osobowość, nie uzależnioną od narkotyków.

– Czy oni nie wiedzieli o jej manii samobójczej? – spytał Timothy.

– Oczywiście, że wiedzieli – powiedział Bob. – Gloria dzwoniła i rozmawiała z nimi. Znali jej nazwisko i wiedzieli, z jakiego powodu przyszła.

– Rozmawiałeś z nimi po jej śmierci? – spytał Grubas.

– Zadzwońłem do nich i poprosiłem do telefonu kogoś z kierownictwa. Powiedziałem, że zabili moją żonę, na co mój rozmówca zaproponował mi, żebym tam przyjechał i nauczył ich, jak obchodzić się z samobójcami. Był bardzo poruszony. Zrobiło mi się go żal.

Usłyszawszy to Grubas uznał, że Bob sam ma nie po kolei w głowie. Bob litował się nad szpitalem Synanon. Bobowi wszystko się popieprzyło. Wszyscy byli popieprzeni, włącznie z Carminą Knudson. W całej Północnej Kalifornii nie ostał się ani jeden normalny człowiek. Czas było się stąd zabierać. Jadł swoją sałatę i zastanawiał się, gdzie by tu wyjechać. Uciec do Kanady jak dezernerzy? Znał osobiście z dziesięciu ludzi, którzy wymknęli się do Kanady, żeby nie walczyć w Wietnamie. Pewnie w Vancouver spotkałby z pół tuzina znajomych. Mówią, że Vancouver jest jednym z najpiękniejszych miast na świecie. Podobnie jak San Francisco jest wielkim portem. Mógł zacząć życie od nowa i zapomnieć o przeszłości.

Kiedy tak siedział nad sałatą, przypomniało mu się, że Bob nie powiedział przez telefon: „Gloria popełniła samobójstwo”, tylko „Gloria dzisiaj popełniła samobójstwo”, jakby było nieuniknione, że któregoś dnia to zrobi. Może to przeważało szalę, to przekonanie? Glorii mierzone czas, jakby zdawała test z matematyki. Kto tu był naprawdę szalony? Gloria czy on (pewnie on), czy jej były mąż, czy wszyscy w Strefie Zatoki, nie zwariowani w potocznym sensie tego słowa, ale w rozumieniu ściśle klinicznym?

Przypomnijmy, że jedną z pierwszych oznak psychozy jest poczucie, że człowiek popada w psychozę. Jeszcze jedna chińska pułapka na palec. Nie można o tym myśleć, nie stając się tego częścią. Rozmyślając o szaleństwie, Koniolub Grubas stopniowo pogrążał się w szaleństwie.

Szkoda, że nie mogłem nic dla niego zrobić.



ROZDZIAŁ DRUGI

Mimo że nie mogłem mu w niczym pomóc, Koniolub Grubas uniknął śmierci. Pierwsza rzecz, która go spotkała, a która miała go uratować, przybrała formę osiemnastoletniej uczennicy mieszkającej nieco dalej na tej samej ulicy. Drugą był Bóg. Z tej dwójki dziewczyna spisała się lepiej.

Nie jestem pewien, czy Bóg w ogóle coś dla niego zrobił. Prawdę mówiąc, w jakiś sposób Bóg nawet pogorszył jego stan. Była to kwestia, w której Grubas i ja nie mogliśmy dojść do porozumienia. Grubas był pewien, że Bóg wyleczył go zupełnie. To niemożliwe. W księdze I Cing jest wiersz „Zawsze chory, ale nigdy nie umiera”. To pasuje do mojego przyjaciela.

Stephanie wkroczyła w życie Grubasa jako sprzedawczyni narkotyków. Po śmierci Glorii łykał tyle prochów, że musiał korzystać z każdego dostępnego mu źródła. Zaopatrywanie się w narkotyki u młodzieży szkolnej nie jest mądrym posunięciem. Nie chodzi o same narkotyki, ale o prawo i moralność. Człowiek, który zaczyna kupować narkotyki od dzieciaków, jest namierzony. To chyba jasne. Ale jest coś, co ja wiedziałem, a czego nie wiedziały władze. Koniolub Grubas nie był wcale zainteresowany

narkotykami, które Stephanie sprzedawała. Ona rozprowadzała hasz i trawkę, ale nie środki pobudzające. Stephanie nie aprobowała środków pobudzających i nigdy nie handlowała czymś, czego nie aprobowała. Nie było siły, która by ją zmusiła do handlowania środkami psychodelicznymi. Z rzadka sprzedawała kokainę. Nikt nie mógł się tak całkiem połapać, czym ona się kieruje. W normalnym sensie tego słowa Stephanie nie myślała wcale, ale jakoś dochodziła do decyzji i z chwilą, kiedy do nich doszła, była niewzruszona. Grubas ją lubił.

I w tym było sedno, lubił ją, nie jej narkotyki, ale żeby podtrzymać z nią znajomość, musiał kupować, a to znaczyło, że musiał brać hasz. Dla Stephanie hasz był początkiem i końcem świata, w każdym razie świata, w którym warto żyć.

Jeżeli Bóg zajmował z dużą stratą dystansu drugie miejsce, to przynajmniej w odróżnieniu od Stephanie nie robił nic nielegalnego. Grubas był przekonany, że Stephanie wyląduje w więzieniu, spodziewał się, że mogą ją lada dzień aresztować. Wszyscy znajomi Grubasa spodziewali się, że on też może być lada dzień aresztowany. Martwiliśmy się tym oraz jego powolnym staczaniem się w depresję, psychozę i izolację. Grubas martwił się o Stephanie. Stephanie martwiła się cenami haszyszu. Więcej, martwiła się też ceną kokainy. Wyobrażaliśmy sobie, jak nagle budzi się z krzykiem w środku nocy i mówi: „Koka doszła do stu dolarów za gram!” Przejmowała się cenami narkotyków tak, jak normalne kobiety przejmują się ceną kawy.

Mówiliśmy, że Stephanie nie mogłaby istnieć przed latami sześćdziesiątymi. To narkotyki powołały ją do życia, wyrwały ją z niebytu. Była współczynnikiem narkotyków, elementem równania. Ale to właśnie przez nią Grubas znalazł w końcu drogę do Boga. Nie przez jej narkotyki, prochy nie miały tu nic do rzeczy. Nie ma drogi do Boga przez narkotyki, to

jest kłamstwo rozpowszechnione przez ludzi pozbawionych skrupułów. Środkiem, za pomocą którego Stephanie doprowadziła do spotkania Konioluba Grubasa z Bogiem, było małe gliniane naczynie. Zrobiła je na swoim kole garncarskim, kupionym w części za pieniądze Grubasa jako prezent na jej osiemnaste urodziny. Kiedy uciekł do Kanady, zabrał naczynie z sobą, zawinięte w gatki, skarpetki i koszule w swojej jedynej walizce.

Wazonik wyglądał zwyczajnie: pękaty, jasnobrązowy z niewielką ilością niebieskiej glazury na obrzeżu. Stephanie nie była mistrzynią garncarstwa. Ten wazonik stanowił jedno z jej pierwszych dzieł, w każdym razie zrobionych poza lekcjami ceramiki w szkole. Naturalnie, jedno z jej pierwszych dzieł dostał Grubas. Łączyły ich ściśle związki. Kiedy Grubas się denerwował, Stephanie uspokajała go fajką haszu. W wazoniku było jednak coś niezwykłego. Spał w nim Bóg. Spał w tym wazoniku bardzo długo, prawie za długo. W niektórych religiach istnieje teoria, że Bóg interweniuje w jedenastej godzinie. Może i tak, trudno powiedzieć. W przypadku Konioluba Grubasa Bóg czekał do za trzy dwunasta i nawet wtedy to, co zrobił, ledwo starczyło. Ledwo starczyło i przyszło właściwie za późno. Nie można mieć o to pretensji do Stephanie. Zrobiła wazonik, pokryła glazurą i wypaliła, jak tylko dostała koło garncarskie. Zrobiła wszystko, co mogła, żeby ratować przyjaciela, podobnie jak Grubas usiłował pomóc swojej przyjaciółce, tyle że Stephanie zrobiła to lepiej. Ale to była właśnie różnica między nią a Grubasem. W sytuacjach kryzysowych wiedziała, co robić, a Grubas nie. Dlatego Grubas żyje, a Gloria nie. Grubas miał lepszego przyjaciela niż Gloria. Pewnie wolałby, żeby było na odwrót, ale wybór nie należał do niego. Nie służymy ludziom dla siebie, to wszechświat podejmuje pewne decyzje i na podstawie tych decyzji jedni ludzie żyją, a inni umierają. To surowe prawo, ale wszystkie stworzenia

podporządkowują mu się z konieczności. Grubasowi przypadł Bóg, a Glorii Knudson śmierć. Nie jest to sprawiedliwe i Grubas pierwszy by się z tym zgodził. Trzeba mu to przyznać.

Po spotkaniu z Bogiem Grubas zaczął go kochać miłością, która nie była normalna. Nie było to coś, co zwykle mamy na myśli mówiąc, że ktoś „kocha Boga”. W przypadku Grubasa był to rzeczywisty głód. Co dziwniejsze, tłumaczył nam, że Bóg go zranił, a on nadal go pożąda, jak pijak pożąda alkoholu. Bóg, jak nam powiedział, wystrzelił w jego kierunku promień różowego światła, prosto w głowę, między oczy. Grubas został chwilowo oślepiony, a głowa bolała go przez kilka dni. Nie jest trudno, mówił, opisać ten promień różowego światła. Jest to dokładnie to, co odczuwamy jako powidok, kiedy błysnie nam w twarz flesz. Ten kolor stał się obsesją Grubasa. Czasami błysnął mu na ekranie telewizora. Grubas żył dla tego światła, dla tego szczególnego koloru.

Jednak nigdy już nie zobaczył go tak naprawdę. Nikt oprócz Boga nie potrafił nadać takiej barwy światłu. Innymi słowy, normalne światło nie zawierało tego koloru. Pewnego razu Grubas przestudiował tabelę barw widma optycznego. Jego koloru nie było. Widział kolor, którego nikt inny nie widzi, który znajduje się poza widmem barwnym.

Co idzie po świetle w kategoriach częstotliwości? Ciepło? Fale radiowe? Powinienem to wiedzieć, ale nie wiem. Grubas powiedział mi (nie wiem, ile w tym prawdy), że w widmie światła słonecznego to, co zobaczył, mieści się powyżej zero przecinek siedmuset milimikronów, a w kategoriach linii Fraunhofera za B w kierunku A. Zróbcie z tym, co chcecie, ja uważam to za symptom choroby Grubasa. Ludzie cierpiący na załamanie nerwowe często podejmują rozległe badania, żeby znaleźć objaśnienie tego, co się z nimi dzieje. Te badania, rzecz jasna, nic nie dają.

Nic nie dają z naszego punktu widzenia, ale niestety czasami dostarczają fałszywych argumentów rozkładającemu się umysłowi – jak „oni” Glorii. Sprawdziłem kiedyś te linie Fraunhofera i nie ma tam żadnego „A”. Najwcześniejsze oznaczenia literowe, jakie udało mi się znaleźć, to „B”. Linie idą od G do B, od nadfioletu do podczerwieni. I to wszystko. Nie ma nic więcej. To, co Grubas widział, albo zdawało mu się, że widzi, to nie było światło.* [przyp.: W rzeczywistości jest linia A odpowiadająca fali 0,761 milimikrona. Kiedy Philip Dick kłóci się z Koniolubem Grubasem, nigdy nie wiadomo, który ma rację (przyp. tłum.)]

Po powrocie z Kanady, po spotkaniu z Bogiem, Grubas i ja spędzaliśmy razem dużo czasu i podczas jednej z naszych nocnych wypraw (odbywaliśmy je regularnie szukając miejsc, gdzie coś się dzieje, obserwując nocne życie), kiedy parkowaliśmy mój samochód, nagle na moim ramieniu ukazała się plamka różowego światła. Wiedziałem, co to jest, chociaż nigdy przedtem tego nie widziałem. Ktoś skierował na nas promień lasera.

– To laser – powiedziałem do Grubasa, który też to zobaczył, bowiem różowy punkt tańczył wszędzie dokoła, po słupach telefonicznych i betonowej ścianie garażu.

Po drugiej stronie ulicy stało dwóch wyrostków, trzymając sześcienny przedmiot.

– Oni sami zbudowali to cholerstwo – powiedziałem.

Chłopcy podeszli do nas, szczerząc zęby. Zbudowali laser, jak nam powiedzieli, z gotowego kompletu części. Wyraziliśmy im swój podziw i poszli straszyć kogoś innego.

– Czy to był ten kolor? – spytałem Grubasa.

Nie odpowiedział, ale miałem wrażenie, że jest nieobecny. Miałem uczucie, że widziałem ten jego kolor. Jeżeli tak, to nie wiem, dlaczego tego

nie powiedział. Może moja hipoteza psuła bardziej elegancką teorię. Chorzy umysłowo nie stosują zasady brzytwy Ockhama – wyjaśniania danej grupy faktów za pomocą najprostszej teorii. Oni ulatują w barok.

Najważniejszą rzeczą, jaką nam Grubas powiedział w związku z tym różowym promieniem, co to go oślepił i okaleczył, było to: twierdził, że natychmiast, z chwilą gdy promień go trafił, wiedział rzeczy nie znane mu wcześniej. W szczególności wiedział, że jego pięcioletni syn ma nie rozpoznaną wadę wrodzoną i wiedział, na czym ta wada polega, ze szczegółami anatomicznymi włącznie. Włącznie, prawdę mówiąc, ze specyfikacją medyczną do przekazania lekarzowi.

Chciałbym wiedzieć, jak on to przekazuje doktorowi. Jak tłumaczy swoją znajomość szczegółów medycznych. Jego umysł przechwycił całą informację, jaką naszpikował go promień różowego światła, ale jak się z tego wytłumaczyć?

Grubas potem stworzył teorię, że wszechświat jest zbudowany z informacji. Zaczął prowadzić dziennik, prowadził go w sekrecie od pewnego czasu – skryty pomysł wykolejonego umysłu. Było tam, na tych stronach, całe jego spotkanie z Bogiem, zapisane jego, Grubasa, nie boską ręką.

Nazwa „dziennik” pochodzi ode mnie, nie od Grubasa. On używał nazwy „egzegeza”, terminu teologicznego oznaczającego pisma interpretujące fragmenty Biblii. Grubas wierzył, że informacja, która została wystrzelona w jego kierunku i stopniowo kolejnymi falami wciskana mu do głowy, miała boskie pochodzenie i dlatego powinna być traktowana jako forma objawienia, nawet jeżeli dotyczyła tylko nie rozpoznanej prawej przepukliny pachwinowej jego syna, która perforowała powłokę brzuszną i przedostała się do moszny. To była wiadomość, jaką Grubas miał dla lekarza. Wiadomość okazała się prawdziwa i została

potwierdzona, kiedy była żona Grubasa zabrała Christophera do szpitala. Operacja została wyznaczona na następny dzień, to znaczy najszybciej, jak to było możliwe. Chirurg z satysfakcją poinformował Grubasa i jego byłą żonę, że życiu Christophera od lat zagrażało niebezpieczeństwo. Mógł umrzeć w nocy na skutek zaciśnięcia się kawałka własnych kiszek. Całe szczęście, powiedział chirurg, że się o tym dowiedzieli. Znowu więc, jak u Glorii „oni”, tylko że tym razem oni istnieli naprawdę.

Operacja się udała i Christopher przestał być marudnym dzieckiem. Okazało się, że cierpiał bóle od urodzenia. Grubas i jego była żona oddali potem syna pod opiekę innego lekarza, takiego, który miał oczy.

Jeden z akapitów w dzienniku Grubasa zainteresował mnie do tego stopnia, że postanowiłem go tutaj zacytować. Nie dotyczy on prawych pachwinowych przepuklin, ale ma charakter bardziej ogólny i wyraża umacniające się przekonanie Grubasa, że istotą wszechświata jest informacja. Zaczął w to wierzyć, ponieważ dla niego wszechświat, jego wszechświat, rzeczywiście szybko zmieniał się w informację. Z chwilą, kiedy Bóg raz do niego przemówił, nigdy już nie umilkł. Zdaje mi się, że Biblia o czymś takim nie wspomina.

Zapis 36. Postrzegamy myśli Mózgu jako układy i zmiany układów przedmiotów w świecie fizycznym, ale w istocie materializujemy tylko informacje i przetwarzanie informacji. Nie tyle odbieramy jego myśli jako przedmioty, co raczej jako ruch, albo, ściślej biorąc, jako rozmieszczenie przedmiotów w przestrzeni i ich wzajemne związki. Nie potrafimy jednak odczytać porządku tych układów, nie umiemy wydobyć zawartych w nich informacji. Łączenie i zmiana układu przedmiotów przez Mózg stanowi w istocie język, ale nie taki jak nasz (ponieważ zwraca się do siebie samego, nie zaś do kogoś lub czegoś poza sobą).

Grubas w kółko rozważał tę kwestię, zarówno w swoim dzienniku, jak i w ustnych rozważaniach w obecności swoich przyjaciół. Był przekonany, że wszechświat nawiązał z nim kontakt. W innym zapisie czytamy:

37. Powinniśmy słyszeć tę informację, lub raczej opowieść, jako neutralny głos w nas samych, ale coś się popsulo. Wszystko, co stworzone, jest językiem i niczym tylko językiem, którego z jakiegoś nie wyjaśnionego powodu nie potrafimy odczytać na zewnątrz ani usłyszeć od wewnątrz. Można powiedzieć, że w ten sposób staliśmy się idiotami. Coś zdarzyło się z naszą inteligencją. Ja rozumiem tak: wzajemna pozycja części Mózgu jest językiem. My jesteśmy częściami Mózgu, zatem my jesteśmy językiem. Dlaczego więc tego nie wiemy? Nie wiemy nawet, czym jesteśmy, nie mówiąc o zewnętrznej rzeczywistości, której częścią jesteśmy. Słowo „idiot” pochodzi od słowa „osobisty”, „oddzielny”. Każdy z nas stał się oddzielny i nie uczestniczy we wspólnej myśli Mózgu, odbierając ją tylko podświadomie. W ten sposób nasze prawdziwe życie i nasz prawdziwy cel realizują się poniżej poziomu naszej świadomości.

Na co ja osobiście mam ochotę powiedzieć, mów za siebie, Grubasie.

W ciągu długiego czasu (albo „Pustyni niezmiernie wieczności”, jak on by to ujął) Grubas wypracował wiele niezwykłych teorii mających wyjaśnić jego kontakt z Bogiem i uzyskane tą drogą informacje. Jedna zwłaszcza wydała mi się interesująca, bo różniła się od innych. Sprowadzała się do rodzaju umysłowej kapitulacji wobec tego, co się z nim działo. Teoria ta mówiła, że faktycznie nie dzieje się z nim nic. Pola jego mózgu były kolejno stymulowane przez zogniskowaną wiązkę energii wysyłaną z daleka, może z odległości milionów mil. Te wybiórcze stymulacje pól mózgowych wytwarzały w jego głowie złudzenie, że w rzeczywistości widzi i słyszy słowa, obrazy, postacie ludzi, zadrukowane stronicie, krótko mówiąc Boga i jego posłanie albo, jak Grubas lubił mówić, Logos. Ale zgodnie z tą teorią, tylko mu się wydaje, że widzi te rzeczy.

Przypominały hologramy. Najbardziej dziwiło mnie zaiste wariackie tłumaczenie halucynacji w tak skomplikowany sposób. Grubas intelektualnie wyłączał się z gry w szaleństwo, jednocześnie ciesząc się jego obrazami i dźwiękami. W istocie nie twierdził, że to, czego doświadcza, istnieje w rzeczywistości. Czy to oznaczało, że wraca do zdrowia? Niekoniecznie. Uważał teraz, że „oni”, Bóg, czy ktoś inny, kierował bardzo skupioną, dalekosiężną i przenoszącą informacje wiązką energii wycelowaną w głowę Grubasa. Trudno było to uznać za objaw poprawy, ale niewątpliwie była to jakaś zmiana. Grubas mógł teraz otwarcie podawać w wątpliwość swoje halucynacje, co znaczyło, że za takie je uważał. Za to, podobnie jak Gloria, miał teraz „onych”. Wyglądało mi to na pyrrusowe zwycięstwo. Życie Grubasa w ogóle wydawało mi się łańcuchem takich osiągnięć, jak na przykład, jego sposób ratowania Glorii.

Ta egzegeza, nad którą Grubas pracował od miesięcy, wydawała mi się klasycznym przykładem pyrrusowego zwycięstwa, w tym przypadku wysiłkiem osaczonego umysłu, żeby pojąć to, co niepojęte. Może to jest istota wszelkiej choroby umysłowej: zachodzą niezrozumiałe wydarzenia, życie staje się śmietnikiem złudnych fluktuacji czegoś, co było rzeczywistością. I nie tylko to, jakby tego było mało – człowiek, tak jak Grubas, zaczyna analizować te fluktuacje, żeby je jakoś uporządkować, podczas gdy one mają tylko taki sens, jaki im się nadaje z potrzeby odtwarzania rozpoznawalnych kształtów i procesów. Pierwszą rzeczą, jaką się traci w chorobie umysłowej, jest poczucie swojskości. A to, co przychodzi na jego miejsce, oznacza kłopoty, bo nie tylko się tego nie rozumie, ale jeszcze nie można opowiedzieć o tym innym. Osobnik szalony doświadcza czegoś, ale nie wie, co to jest i skąd się to bierze.

Wśród tego roztrzaskanego krajobrazu, zapoczątkowanego śmiercią Glorii Knudson, Grubas wyobraził sobie, że Bóg go uleczył. Z chwilą, gdy

zacznie się zauważać pyrrusowe zwycięstwa, widzi się je wszędzie.

Przypomina mi to pewną moją znajomą, która umierała na raka. Odwiedziłem ją w szpitalu i nie poznałem jej: wyglądała jak mały, łysy staruszek. Na skutek chemioterapii spuchła jak wielkie winogrono. Na skutek choroby i leczenia była właściwie ślepa, prawie głucha i stale miała ataki, a kiedy pochyliłem się nad łóżkiem, żeby spytać ją, jak się czuje i kiedy zrozumiała moje pytanie, odpowiedziała: „Czuję, że Bóg mnie uzdrawia”. Zawsze była religijna i planowała wstąpienie do klasztoru. Na metalowym stoliku przy łóżku ona albo ktoś położył różaniec. Moim zdaniem bardziej na miejscu byłby tu napis: „Do dupy z takim Bogiem”.

Jednak gwoli uczciwości muszę przyznać, że Bóg albo ktoś podszywający się pod Boga, różnica czysto semantyczna, wstrzelił do głowy Konioluba Grubasa bezcenną informację, która uratowała życie jego synowi Christopherowi. Bóg jednych ludzi leczy, a innych zabija. Grubas zaprzecza, jakoby Bóg kogokolwiek zabijał. Grubas mówi, że Bóg nigdy nikomu nie szkodzi. Choroba, ból i niezasłużone cierpienie pochodzą nie od Boga, ale z innego źródła, na co ja odpowiadam: A skąd się bierze to inne źródło? Czy istnieją dwaj bogowie? Czy też jakaś część wszechświata nie podlega władzy Boga? Grubas często cytował Platona. W kosmologii Platona noos, czyli Umysł, stara się skłonić ananke, czyli ślepą konieczność, albo według niektórych specjalistów – ślepy traf do kapitulacji. Noos ku swojemu zdziwieniu napotkał niespodziewanie ślepy traf, innymi słowy chaos, któremu noos narzuca porządek (Platon nigdzie nie mówi, na czym polega ta perswazja). Zdaniem Grubasa, rak mojej przyjaciółki to przykład nieładu jeszcze nie nawróconego na świadomy porządek. Noos, czyli Bóg, jeszcze do niej nie dotarł. Na co ja odpowiedziałem: „Cóż, kiedy do niej dotarł, było za późno”. Grubas nie znalazł na to odpowiedzi, przynajmniej w formie ustnej riposty. Pewnie

wyszedł i napisał o tym w swoim dzienniku. Siedział codziennie do czwartej nad ranem, skrobiąc te swoje notatki. Pewnie gdzieś tam wśród masy chłamu kryją się wszystkie tajemnice wszechświata.

Lubiliśmy wciągać Grubasa w teologiczne dysputy, bo zawsze się zacietrzewiał, wychodząc z założenia, że to, co mówimy na ten temat, ma jakiegokolwiek znaczenie, że sam temat ma jakieś znaczenie. Grubas miał już wtedy kompletnego świra. Sprawiało nam uciechę rozpoczynanie dysputy od jakiejś mimochodem rzuconej uwagi. Na przykład: „Bóg dał mi dziś bilet na przejazd autostradą” lub czegoś w tym rodzaju. Łapiąc przynętę Grubas ruszał do boju. W ten sposób spędzaliśmy przyjemnie czas na dobrodusznym torturowaniu Grubasa. Kiedy wychodziliśmy od niego z domu, dodatkową satysfakcję dawała nam świadomość, że on to wszystko zapisze w dzienniku. Rzecz jasna w dzienniku jego pogląd zawsze zwyciężał.

Nie było właściwie potrzeby, żeby Grubasowi podkładać takie pytanie, jak: „Jeśli Bóg potrafi wszystko, czy może stworzyć rów tak szeroki, żeby go nie mógł przeskoczyć?”. Mieliśmy pod dostatkiem prawdziwych pytań, z którymi nie mógł sobie poradzić, a nasz przyjaciel Kevin zawsze zaczynał atak w ten sam sposób: „Co z moim kotem?” – zapytywał. Kilka lat temu Kevin wyprowadzał wieczorem swojego kota. Głupi Kevin nie wziął go na smycz i kot wyskoczył na jezdnię prosto pod koła przejeżdżającego samochodu. Kiedy Kevin go podniósł, kot jeszcze żył, wydychając krwawą pianę i patrząc na niego z przerażeniem. Kevin lubił mówić: „W dniu Sądu Ostatecznego, kiedy mnie przyprowadzą przed wielkiego sędziego, powiem: Chwileczkę! i wyciągnę spod marynarki trupa mojego kota. Jak ja mam to rozumieć? – spytam”. Do tego czasu, mówił Kevin, kot będzie już sztywny jak patelnia. Będzie go trzymał za ogon jak za rączkę i będzie czekać na zadowalające wyjaśnienie.

– Żadne wyjaśnienie cię nie zadowoli – powiedział Grubas.

– Żadne twoje wyjaśnienie – szydził Kevin. – No dobrze, Bóg uratował życie twojemu synowi, dlaczego więc nie sprawił, żeby mój kot wbiegł na jezdnię w pięć sekund później? Trzy sekundy później? Czy to byłby taki wielki kłopot? Oczywiście, kot może się nie liczyć.

– Wiesz co, Kevin – wytknąłem mu kiedyś – mogłeś wyprowadzić kota na smyczy.

– Nie – powiedział Grubas. – On ma sporo racji. Mnie to też nurtuje. Dla niego kot jest symbolem wszystkiego we wszechświecie, czego nie rozumie.

– Ja wszystko rozumiem – powiedział Kevin gorzko. – Myślę tylko, że wszystko jest spieprzone. Bóg albo jest bezsilny, albo głupi, albo mu głównie zależy. Albo wszystko naraz. Jest zły, tępy i słaby. Myślę, że zapoczątkuję swoją własną egzegezę.

– Ale z tobą Bóg nie rozmawia – zauważyłem.

– Wiesz, kto rozmawia z Koniolubem? – spytał Kevin. – Kto naprawdę rozmawia z nim w środku nocy? Istoty z planety Głupota. Koniu, jak się nazywa mądrość boża? Święta co?

– Hagia Sophia – powiedział Grubas ostrożnie.

– A jak powiedziec Święta Głupota? Hagia Głupota.

– Hagia Moron – powiedział Grubas. Jego obroną była zawsze kapitulacja. – Moron to greckie słowo, tak jak hagia. Trafiłem na nie w słowniku szukając słowa oksymoron.

– Z tym tylko, że przyrostek *-on* jest cechą rodzaju nijakiego – zauważyłem.

To daje wyobrażenie, czym kończyły się nasze dysputy teologiczne. Trójka źle poinformowanych ludzi sprzeczących się między sobą. Mieliśmy również Davida, naszego przyjaciela katolika i Sherii,

dziewczynę umierającą na raka. Jej choroba cofnęła się i wypisano ją ze szpitala. Wzrok i słuch miała w pewnym stopniu trwale uszkodzone, ale poza tym wszystko zdawało się być w porządku.

Grubas, oczywiście, wykorzystywał to jako argument na rzecz Boga i jego uzdrawiającej miłości, w czym popierał go David i, rzecz jasna, sama Sherri. Kevin uważał jej remisję za cud naświetlań, chemioterapii i szczęścia. Informował nas również, że remisja jest chwilowa. W każdej chwili Sherri może być na powrót chora. Kevin dawał ponuro do zrozumienia, że przy nawrocie choroby remisji nie będzie. Czasami podejrzewaliśmy, że liczył na to, bo to by potwierdzało jego wyobrażenia o wszechświecie.

Fundamentem wszystkich werbalnych fajerwerków Kevina było twierdzenie, że wszechświat składa się z nieszczęść i nienawiści, i w końcu każdego załatwi. Myślał o wszechświecie tak, jak większość ludzi myśli o nie zapłaconym rachunku: wiedzą, że prędzej czy później będą musieli zapłacić. Wszechświat wyłaniał z siebie człowieka, pozwalał mu się pomęczyć i wsysał go z powrotem. Kevin stale czekał, że zdarzy się to jemu, mnie, Davidowi, a zwłaszcza Sherri. Co do Konioluba Grubasa, to Kevin uważał, że zalega on z rachunkami od lat. Grubas od dawna znajdował się w tej fazie cyklu, kiedy się jest wsysanym. Traktował Grubasa nie jako kogoś potencjalnie zagubionego, ale jak kogoś zgubionego już faktycznie.

Grubas przytomnie nie poruszał w obecności Kevina sprawy Glorii i jej śmierci. Gdyby to zrobił, Kevin dodałby ją do swojego przejechanego kota. Opowiadałby, że wyciągnie ją spod poły w dniu Sądu Ostatecznego razem ze swoim kotem.

David jako katolik całe zło sprowadzał do wolnej woli człowieka. To denerwowało nawet mnie. Kiedyś spytałem go, czy to, że Sherri

zachorowała na raka, też jest przykładem wolnej woli. Wiedziałem, że David śledzi najnowsze wiadomości z dziedziny psychologii i popełnia błąd twierdząc, że Sherri podświadomie chciała zachorować na raka i sama wyłączyła swój system immunologiczny. W owym czasie pogląd taki krążył w wyższych sferach psychologicznych. Rzeczywiście, David przejął się tym poglądem i tak odpowiedział.

– W takim razie, dlaczego wyzdrowiała? – spytałem. – Czy chciała podświadomie wyzdrowieć?

David był zaskoczony. Jeżeli przypisywał chorobę jej własnemu umysłowi, to był zmuszony ustąpienie przypisać przyczynom powszednim, nie zaś ponadnaturalnym. Bóg nie miał z tym nic wspólnego.

– C.S. Lewis powiedziałby... – zaczął David, co natychmiast rozzłościło obecnego przy tym Grubasa. Wściekało go, kiedy David uciekał się do C.S Lewisa, żeby podeprzeć swoją stuprocentową ortodoksję.

– Może Sherri okazała się silniejsza od Boga – powiedziałem. – Bóg chciał, żeby chorowała, a ona walczyła, żeby wyzdrowieć. – David w sposób nieunikniony kontrargumentował, rzecz jasna, że Sherri dostała raka na tle nerwicowym, bo miała popieprzone w głowie, ale Bóg wkroczył i uleczył ją. Uprzedzająco odwróciłem jego rozumowanie.

– Nie – powiedział Grubas. – Jest dokładnie na odwrót. Jak w przypadku mojego uleczenia.

Na szczęście nie było przy tym Kevina. On nie sądził, że Grubas jest wyleczony (nikt tak nie myślał) i, tak czy owak, nie zrobił tego Bóg. Nawiasem mówiąc jest to rozumowanie, które atakował Freud: dwupiętrowa, samoprzekreślająca się konstrukcja. Freud uważał, że podobna konstrukcja ujawnia racjonalizację. Kogoś oskarżając o kradzież konia, na co on odpowiada: „Nie jestem koniokradem, a poza tym, ten pański koń nic nie jest wart”. Jeżeli się nad tym zastanowić, to można

dostrzec kryjący się za tym proces myślowy. To drugie twierdzenie, wbrew pozorom, nie potwierdza pierwszego. W przypadku naszych nieustających dysput teologicznych, wywołanych rzekomym spotkaniem Grubasa z boską siłą, taka dwupiętrowa, samoprzekreślająca się konstrukcja wyglądałaby następująco:

1. Boga nie ma.
2. Zresztą i tak Bóg jest głupi.

Uważna analiza cynicznych oracji Kevina ujawnia tę konstrukcję na każdym kroku. David bez przerwy cytował C.S. Lewisa, Kevin sam sobie zaprzeczał logicznie w swoim zapale dyskredytowania Pana Boga. Grubas robił niezrozumiałe aluzje do informacji wstrzelonych mu do głowy przez wiązkę różowego światła, Sherri, która strasznie cierpiała, bąkała pobożne komunały, ja zmieniałem swoje stanowisko w zależności od tego, z kim rozmawiałem.

Nikt z nas nie panował nad sytuacją, ale mieliśmy dużo czasu do zabicia. Skończyła się epoka narkotyków i wszyscy rozglądali się za jakąś nową obsesją. Dla nas taką nową obsesją stała się, dzięki Grubasowi, teologia.

Ulubiony starożytny cytat Grubasa brzmi:

*Czyżbym mógł myśleć, że Jehowa śpi,
Jak Szemosz i inne bajeczne bóstwa?
Usłyszawszy swoje myśli zapisałem je...
I tak chyba jest.*

Grubas nie lubił cytować dalszego ciągu:

*Oto myśl, która rani mój umysł
I rodzi w piersi wielki ból,
Myśl, która mnie wpędza w szaleństwo...*

To z arii Haendla. Grubas i ja mieliśmy kiedyś płytę z tą arią w wykonaniu Richarda Lewisa: „Głębiej, wciąż głębiej”.

Kiedyś powiedziałem Grubasowi, że inna aria z tej samej płyty doskonale opisuje stan jego umysłu.

– Która aria? – spytał Grubas ostrożnie.

– „Całkowite zaćmienie” – odpowiedziałem.

*Całkowite zaćmienie! Ni słońca, ni księżyca,
Czarna ciemność w blasku południa!
O, światło wspaniałe! Ani jeden twój promień
Nie cieszy moich oczu upragnionym dniem!
Czemuż tak wydziedziczył mnie dekret twój?
Słońce, księżyc i gwiazdy odebrał mi!*

Na co Grubas odpowiedział:

– W moim przypadku jest wręcz przeciwnie. Ja jestem oświecony świętym światłem, skierowanym na mnie z innego świata. Ja widzę to, czego inni nie widzą.



ROZDZIAŁ TRZECI

W czasie dekady narkotyków musieliśmy nauczyć się radzić sobie z następującym problemem: Jak poinformować kogoś, że mózg mu się zlasował? Zagadnienie przeszło teraz w teologiczny świat Konioluba Grubasa jako problem, z którym musieliśmy się uporać my, jego przyjaciele.

W przypadku Grubasa najłatwiej byłoby powiązać te dwie rzeczy i przyjąć, że prochy, które łykał w latach sześćdziesiątych, zamarynowały jego mózg na całe następne dziesięciolecie. Gdybym potrafił sam siebie przekonać, że tak właśnie jest, to zrobiłbym to bez wahania, bo lubię rozwiązania, które odpowiadają na wiele pytań jednocześnie. Jednak nie mogłem tak myśleć. Grubas nie brał psychodelików, w każdym razie nie na jakąś większą skalę. Kiedyś, w 1964, kiedy LSD-25 firmy Sandoz można było bez trudu kupić, zwłaszcza w Berkeley, Grubas łyknął potężną dawkę i cofnął się w czasie, albo przeniósł się w przeszłość, a może wyniósł się poza czas, dość, że zaczął płynnie mówić po łacinie i wierzył, że nadszedł *Dies Irae*, Dzień Sądu. Słyszał potężne kroki zagniewanego Boga.

Przez osiem godzin Grubas modlił się i zawodził po łacinie. Twierdził później, że podczas tej wyprawy mógł mówić i myśleć tylko po łacinie. Znalazł książkę z łacińskim cytatem i czytał go równie łatwo, jak tekst angielski. Cóż, może etiologia jego późniejszego opętania Bogiem kryła się tutaj. Jego mózg w roku 1964 zagustował w narkotycznej wyprawie i zapisał ją dla odegrania w przyszłości.

Z drugiej strony, ta linia rozumowania odsuwa tylko pytanie do roku 1964. O ile się orientuję, zdolność mówienia, czytania i myślenia po łacinie nie jest normalnym skutkiem zażycia narkotyków. Grubas nie zna łaciny. Teraz nie potrafi mówić po łacinie. Nie umiał mówić po łacinie przed zażyciem wielkiej dawki LSD-25. Później, kiedy zaczęły się jego doznania religijne, stwierdził, że myśli w obcym języku, którego nie rozumie (w roku 1964 rozumiał swoją łacinę). Zapisał fonetycznie, na chybił trafił, niektóre zapamiętane słowa. Dla niego to nie był język i zastanawiał się, czy w ogóle pokazywać komuś to, co zanotował. Jego żona, jego późniejsza żona Beth, miała rok greki na studiach i rozpoznawała w tym, co Grubas niedokładnie zapisał, grekę koine. W każdym razie jakąś grekę, attycką albo koine.

Greckie słowo koine oznacza po prostu wspólny język. W czasach nowotestamentowych koine stało się wspólnym językiem Bliskiego Wschodu, zastępując aramejski, który poprzednio zastąpił akkadzki. (Wiem takie rzeczy, ponieważ jestem zawodowym pisarzem i wiedza na temat języków jest mi niezbędna). Rękopisy Nowego Testamentu dotarły do nas w grece koine, choć prawdopodobnie Q, źródło Ewangelii synoptycznych, zostało napisane w języku aramejskim, który jest w gruncie rzeczy formą hebrajskiego. Jezus mówił po aramejsku. Tak więc, kiedy Koniolub Grubas zaczął myśleć w odmianie greki, myślał w języku, którego używali święty Łukasz i święty Paweł, zresztą bliscy przyjaciele, przynajmniej w piśmie.

Zapis koine wygląda dziwnie, gdyż skrybowie nie robili odstępów między słowami. Może to prowadzić do wielu różnych tłumaczeń, jako że tłumacz robi przerwy tam, gdzie uważa za właściwe, albo po prostu tam, gdzie zechce. Weźmy taki przykład angielski:

GOD IS NO WHERE (Boga nie ma nigdzie)

GOD IS NOW HERE (Bóg jest teraz tutaj)

Na sprawy te zwróciła mi uwagę Beth, nigdy nie traktująca religijnych doświadczeń Grubasa poważnie, póki nie zobaczyła go, jak zapisuje fonetycznie słowa w języku koine, z którymi nie miał styczności i nie wiedział nawet, że pisze w faktycznie istniejącym języku. Grubas twierdził, że... Grubas twierdził wiele różnych rzeczy. Nie mogę zaczynać każdego zdania od słów „Grubas twierdził, że...” W czasie tych lat (rzeczywiście lat!), kiedy pracował nad swoją egzegezą, Grubas wysnuł chyba więcej teorii, niż jest gwiazd we wszechświecie. Każdego dnia wymyślał nową, bardziej pomysłową i intrygującą, coraz bardziej popieprzoną. Bóg jednak pozostawał tematem niezmiennym. Grubas odchodził od wiary w Boga tak, jak pewien lękliwy pies, którego kiedyś miałem, wychodził poza trawnik przed domem. Robił jeden krok, potem drugi, może jeszcze trzeci, a potem podwijał ogon i rzucał się w panice z powrotem na znajomy teren. Obaj tak robili. Bóg stanowił dla Grubasa oznakowany przez niego teren. Na jego nieszczęście po tym początkowym doświadczeniu nigdy już nie mógł znaleźć drogi do tego miejsca.

Powinno się ustanowić prawo, że skoro ktoś znajdzie Boga, to może go sobie zatrzymać. Dla Grubasa spotkanie z Bogiem (jeżeli rzeczywiście było to spotkanie z Bogiem) stało się w końcu nieszczęściem, wysychającym źródłem radości, promieniującym coraz to słabiej, jak zawartość torebki środków pobudzających. Kto rozdaje Boga? Grubas wiedział, że kościoły tu

nie pomagają, chociaż kiedyś konsultował się z jednym z księży Davida. Nic z tego nie wyszło. Nic nie pomagało. Kevin radził narkotyki. Ja, jako związany z literaturą, zalecałem lekturę mniej znanych angielskich poetów metafizycznych z siedemnastego wieku, takich jak Vaughan i Herbert.

*Wie, że ma dom, lecz nie wie, gdzie – bo, utrudzony,
Tak się oddalił w głąb żywota,
Że zapomniał, którędy wrócić w dawne strony.**

* [przyp.: Przekład Stanisława Barańczaka.]

To jest z wiersza Vaughana *Człowiek*. Według mojej oceny Grubas cofnął się w rozwoju do poziomu tych poetów i stał się w swoich czasach anachronizmem. Do obyczajów wszechświata należy likwidacja anachronizmów. I to czekało Grubasa, jeżeli nie weźmie się w kupę.

Ze wszystkich rad dawanych Grubasowi najbardziej obiecująco wyglądała rada Sherri, która w stanie remisji nadal nam towarzyszyła.

– Powinieneś – powiedziała Grubasowi podczas jednej z jego trudnych chwil – zapoznać się z charakterystyką T-34.

Grubas spytał, co to jest. Okazało się, że Sherri czytała książkę o rosyjskiej broni pancerniej w czasie drugiej wojny światowej. Czołg T-34 okazał się zbawieniem dla Związku Sowieckiego, a tym samym wszystkich aliantów i, pośrednio, Konioluba Grubasa, gdyż bez T-34 mówiłby nie po angielsku ani nie po grecku czy po łacinie, tylko po niemiecku.

– T-34 – tłumaczyła Sherri – były bardzo szybkie. Pod Kurskiem wygrywały nawet z niemieckimi Słoniami. Nie macie pojęcia, co zrobiły z niemiecką Czwartą Armią Pancerną. – Potem zaczęła rysować szkice sytuacji pod Kurskiem w roku 1943, podając liczby. Grubas i my wszyscy byliśmy zdumieni. Nie znaleźmy Sherri od tej strony. – Sam Żukow musiał zmienić losy bitwy – mówiła ciężko dysząc Sherri. – Watutin spaprał

sprawę. Został później zamordowany przez prohitlerowskich partyzantów. A teraz weźmy niemieckie Tygrysy i Pantery. – Pokazała nam fotografie różnych czołgów i z zapalem opowiedziała, jak generał Koniew sforsował Dniestr i Prut dwudziestego szóstego marca.

W istocie Sherri chodziło o przeniesienie umysłu Grubasa ze spraw kosmicznych i abstrakcyjnych na bardziej przyziemne. W jej głowie wylągl się pomysł, że nie ma nic bardziej realnego niż sowiecki czołg z drugiej wojny światowej. Chciała znaleźć odtrutkę na szaleństwo Grubasa. Tymczasem cały jej wywód, poparty mapami i zdjęciami, przypomniał mu tylko ten wieczór przed pogrzebem Glorii, kiedy on i Bob obejrzeli film o generale Pattonie. Sherri, naturalnie, o tym nie wiedziała.

– A ja myślę, że powinien się wziąć za szycie – powiedział Kevin. – Czy masz maszynę do szycia, Sherri? Naucz go, jak się nią posługiwać.

Sherri, wykazując duży upór, ciągnęła swoje:

– W bitwie pod Kurskiem wzięło udział przeszło cztery tysiące pojazdów pancernych. Była to największa bitwa pancerna w historii. Każdy słyszał o Stalingradzie, ale nikt nie słyszał o Kursku. Prawdziwe zwycięstwo Związku Sowieckiego miało miejsce pod Kurskiem. Kiedy się pomyśli...

– Wiesz co, Kevin? – przerwał jej David. – Niemcy powinni pokazać Rosjanom zdechłego kota i zażądać wyjaśnień.

– To natychmiast zatrzymałoby sowiecką ofensywę – powiedziałem. – Żukow do dzisiaj starałby się jakoś wytłumaczyć z tego kota.

– Wobec oszałamiającego zwycięstwa dobrej strony pod Kurskiem, jak można skarżyć się z powodu śmierci jednego kota? – zwróciła się Sherri do Kevina.

– W Biblii jest coś o spadających wróblach – powiedział Kevin. – O tym, że On ma na nie oko. To jest właśnie całe nieszczęście z Bogiem, że

On ma tylko jedno oko.

– Więc to Bóg wygrał bitwę pod Kurskiem? – spytałem Sherri. – To musi być coś nowego dla Rosjan, zwłaszcza dla tych, którzy robili te czołgi, walczyli w nich i zginęli.

– Bóg działa używając nas jako narzędzi – wyjaśniła Sherri cierpliwie.

– Cóż – powiedział Kevin – w przypadku Konia Bóg ma uszkodzone narzędzie. A może oni obaj są uszkodzeni, jak osiemdziesięcioletnia staruszka prowadząca sportowy wóz.

– Niemcy nie mogliby pokazać pierwszego lepszego zdechłego kota – powiedział Grubas. – Musieliby pokazać kota Kevina. Kevinowi chodzi tylko o tego jednego kota.

– Tego kota – powiedział Kevin – nie było jeszcze na świecie podczas drugiej wojny światowej.

– Czy wtedy go opłakiwałeś? – spytał Grubas.

– Jak mogłem go opłakiwać? – powiedział Kevin. – Przecież go nie było.

– Był zatem w takiej samej sytuacji jak teraz – powiedział Grubas.

– Nieprawda.

– W jaki sposób nieprawda? – powiedział Grubas. – Czym jego nieistnienie wówczas różni się od jego nieistnienia obecnie?

– Kevin ma teraz jego trupa – powiedział David. – Żeby go demonstrować. To był cały sens istnienia tego kota. Żył po to, żeby stać się trupem, który posłuży Kevinowi do zaprzeczania dobroci Boga.

– Kevin – spytał Grubas – a kto stworzył twojego kota?

– Bóg – odparł Kevin.

– Zgodnie więc z twoją logiką – powiedziała Sherri – Bóg stworzył argument przeciwko swojej dobroci.

– Bóg jest głupi – powiedział Kevin. – Mamy głupie bóstwo. Mówiłem to już nieraz.

– Czy trudno jest stworzyć kota? – spytała Sherri.

– Wystarczą do tego dwa koty. Jeden kocur i jedna kocica – powiedział Kevin, ale wiedział dobrze, do czego ona zmierza. – Trzeba... – zamilkł i uśmiechnął się. – Zgoda, trzeba do tego specjalnych zdolności, jeżeli się zakłada, że wszechświat ma jakiś cel.

– A ty uważasz, że nie ma? – spytała Sherri.

– Żywe istoty mają cel – powiedział Kevin po chwili wahania.

– Kto stawia przed nimi ten cel? – ciągnęła Sherri.

– One... – Kevin znów się zawahał – one same są swoim celem. Nie można ich oddzielić od ich celu.

– A więc zwierzę jest wyrazem celu – mówiła Sherri. – Zatem jest cel we wszechświecie.

– W niewielkich jego fragmentach.

– I brak celu ustępuje miejsca celowi?

Kevin zmierzył ją spojrzeniem.

– Wypchaj się – powiedział.



Moim zdaniem cyniczna postawa Kevina zrobiła więcej dla umocnienia Grubasa w szaleństwie niż jakikolwiek inny czynnik, to jest jakikolwiek poza pierwotną przyczyną, cokolwiek to było. Kevin stał się nieświadomym narzędziem tej pierwotnej przyczyny, co nie uszło uwagi Grubasa. W żaden sposób, w żadnym kształcie ani formie, Kevin nie stanowił sensownej alternatywy wobec choroby umysłowej. Jego cyniczny uśmiezek miał w sobie coś z uśmiechu śmierci, uśmiechał się jak tryumfująca trupia czaszka.

Celem jego życia była walka z życiem. Początkowo dziwiłem się, że Grubas toleruje Kevina, ale później zrozumiałem dlaczego. Ilekroć Kevin demolował system urojeń Grubasa, wyszydział go i ośmieszał, Grubas rósł w siłę. Jeżeli szyderstwo było jedynym lekarstwem na jego chorobę, to lepiej miał się bez niego Grubas, choć walnięty, rozumiał to. Zresztą, gwoli prawdy, Kevin też to rozumiał, ale, widocznie, miał w głowie jakieś sprzężenie zwrotne, które kazało mu nasilać ataki, zamiast z nich zrezygnować. Porażki skłaniały go do zwiększenia wysiłków. Tak więc ataki się nasilały, a Grubas był coraz mocniejszy. Jak w greckim micie.

W egzegezie Konioluba Grubasa temat ten stale powraca. Grubas wierzył, że element nieracjonalności przenika cały wszechświat, włącznie z Bogiem czy Najwyższym Umysłem, który za nim stoi. Pisał:

38. Naskutek straty i bólu Umysł nie jest całkiem normalny. Zatem i my, jako elementy wszechświata, jako elementy Mózgu, nie jesteśmy całkiem normalni.

Widocznie ekstrapolował do skali kosmicznej swoją własną utratę Glorii.

35. Umysł nie zwraca się do nas inaczej, jak za pośrednictwem nas samych. Jego opowieść przechodzi przez nas i jej smutek przepelnia nas irracjonalnością. Jak zauważył Platon, Dusza Świata ma w sobie element irracjonalny.

Zapis 32 mówi więcej na ten temat:

Ta pulsująca informacja, którą postrzegamy jako świat, jest rozwijającą się narracją. Opowiada ona o śmierci pewnej kobiety. Ta kobieta, zmarła dawno temu, była jednym z pierwszych bliźniąt. Była połówką boskiej syzygii. Celem tej opowieści jest przypomnienie jej i jej śmierci. Umysł nie chce jej zapomnieć. Praca Mózgu polega zatem na stałym zapisywaniu jej imienia i – jeżeli zostanie odczytana – w ten sposób będzie odczytana. Cała informacja przetwarzana przez

Mózg – odbierana przez nas jako przemieszczanie się obiektów fizycznych – jest próbą zachowania pamięci o niej. Kamienie, skały, patyki i ameby są jej śladami. Zapis jej istnienia i śmierci jest wprowadzany do najniższego poziomu rzeczywistości przez udręczony Umysł, który jest teraz samotny.

Jeżeli czytając to nie widzicie, że Grubas pisze o sobie, to nic nie rozumiecie.

Z drugiej strony, nie przeczę, że Grubas był kompletnie walnięty. Jego upadek zaczął się od telefonu Glorii i dalej postępował niepowstrzymanie. W odróżnieniu od Sherri z jej rakiem, Grubas nigdy nie doznał remisji. Spotkanie z Bogiem nie było remisją. Ale, pewnie, nie było też pogorszeniem, wbrew cynicznym poglądom Kevina. Nie można powiedzieć, że spotkanie z Bogiem jest tym dla choroby umysłowej, czym śmierć jest dla raka: logicznym zakończeniem pogarszającego się stanu zdrowia. Terminem technicznym – teologicznym, nie psychiatrycznym jest teofania. Teofania polega na samoujawnieniu się Boga. Nie na tym, co robi odbiorca, lecz na tym, co robi siła wyższa, Bóg albo bogowie. Mojżesz nie stworzył gorejącego krzaka. Eljasz na górze Horeb nie wytworzył łagodnego powiewu. Jak mamy odróżnić autentyczną teofanię od zwykłej halucynacji odbiorcy? Jeżeli głos mówi mu rzeczy, których on nie wie i nie może wiedzieć, wówczas prawdopodobnie mamy do czynienia ze zjawiskiem autentycznym, nie zaś fałszywym. Grubas nie znał języka koine. Czy to czegoś dowodzi? Nie wiedział o wadze wrodzonej swojego syna, przynajmniej w sposób świadomy. Może wiedział o grożącej zaciśnięciem się przepuklinie podświadomie i nie chciał stawić temu faktowi czoła? Istnieje również mechanizm mogący wyjaśnić jego znajomość koine – pamięć genetyczna, o której pisał Jung. On nazywał to zbiorową albo rasową podświadomością. Ontogeneza, czyli życie osobnicze, powtarza filogenezę, czyli życie gatunku, a ponieważ jest to

ogólnie przyjęta teoria, to może tutaj kryje się uzasadnienie faktu, że w umyśle Grubasa odezwał się język, którym mówiono przed dwoma tysiącami lat. Gdyby umysł pojedynczego człowieka przechowywał pamięć filogenetyczną, można by się spodziewać takich zjawisk. Ale idea Junga ma charakter spekulatywny. Nikt nie potrafił jej dowieść.

Jeżeli dopuści się możliwość istnienia istoty boskiej, nie można jej odmówić zdolności do samoujawnienia. Bez wątpienia każda istota, zasługująca na miano boskiej, musiałaby taką zdolność posiadać. Prawdziwe pytanie (tak jak ja to widzę) nie brzmi: Dlaczego są objawienia? tylko: Dlaczego jest ich tak mało? Kluczową koncepcją, mogącą dać odpowiedź na to pytanie, jest *ideadeus absconditus*, boga ukrytego, utajonego albo nieznanego. Jung dlaczegoś uznaje to za ideę powszechną. Ale jeżeli Bóg istnieje, to musi być *deus absconditus* – z wyjątkiem rzadkich teofanii – bo inaczej nie byłoby go wcale. Ten ostatni pogląd byłby bardziej logiczny, gdyby nie teofanie, niezależnie od ich rzadkości. Wystarczy jedna absolutnie udokumentowana teofania i ten drugi pogląd jest obalony.

Żywość wrażenia, jakie rzekoma teofania wywiera na odbiorcy, nie stanowi dowodu autentyczności. Podobnie jak świadectwo zbiorowe (Spinoza wysuwał przypuszczenie, że cały wszechświat może być jedną wielką teofanią, choć, z drugiej strony, może wszechświat w ogóle nie istnieje, jak twierdzą buddyjscy idealisci). Każda teofania, o której usłyszymy, może być fałszerstwem, ponieważ wszystko może być fałszerstwem, od znaczków, przez skamieniałości po czarne dziury w kosmosie.

Myśl, że cały wszechświat, taki jaki odbieramy – może być fałszerstwem, najlepiej wyraził Heraklit. Z chwilą kiedy się dopuści tę

myśl, albo wątpliwość, do głowy, jest się gotowym do rozważania kwestii Boga.

„Aby móc interpretować świadectwo oczu i uszu, niezbędne jest posiadanie rozumienia (noos). Krok od prawdy oczywistej do ukrytej jest jak tłumaczenie wypowiedzi w języku nie znanym większości ludzi. Heraklit we fragmencie 56 mówi, że ludzie dają się oszukiwać w tym, co jest oczywiste. Aby dojść prawdy na podstawie pozorów, trzeba interpretować, rozwiązywać zagadki... ale chociaż leży to w możliwościach człowieka, większość ludzi nigdy tego nie robi. Heraklit bardzo gwałtownie atakuje głupotę zwykłych ludzi i tego, co wśród nich uchodzi za wiedzę. Porównuje ich do śpiących, odwróconych do swych osobnych światów”.

Tak mówi Edward Hussey, wykładowca filozofii starożytnej na Uniwersytecie Oksfordzkim, członek Kolegium Wszystkich Świętych, w swojej książce *Presokratycy*, wydanej w roku 1972. We wszystkich moich lekturach nigdy nie znalazłem... to znaczy Koniolub Grubas nie znalazł, nic bardziej znaczącego jak wejrzenie w istotę rzeczywistości. We fragmencie 123 Heraklit powiada: „Struktura każdej rzeczy lubi się ukrywać”. A we fragmencie 54 mówi: „Ukryta struktura potężniejsza od jawnej”, na co Edward Hussey dodaje: „Zatem Heraklit w sposób nieunikniony godził się, iż rzeczywistość jest w pewnym stopniu «ukryta»”. Jeżeli więc rzeczywistość jest w pewnym stopniu ukryta, to co rozumiemy przez teofanię? Bo teofania jest ingerencją Boga, ingerencją, która jest ni mniej, ni więcej tylko inwazją naszego świata, gdy tymczasem nasz świat jest tylko ułudą, tylko „jawną strukturą” podporządkowaną niewidocznej „ukrytej strukturze”. Koniolub Grubas chciałby, żebyście się nad tym wszystkim zastanowili. Bo jeżeli Heraklit ma rację, to nie ma innej rzeczywistości, jak rzeczywistość teofanii, a reszta jest złudzeniem. I w

takim razie Grubas jako jedyny spośród nas rozumie prawdę, a Grubas, poczuwszy od telefonu Glorii jest chory psychicznie.

Chorzy psychicznie – według definicji psychologicznej, nie prawnej – nie mają kontaktu z rzeczywistością. Koniolub Grubas jest chory psychicznie, nie ma zatem kontaktu z rzeczywistością. Zapis 30 z jego egzegezy brzmi:

Świat fenomenów nie istnieje. Jest to tylko hipostaza informacji przetwarzanej przez Umysł.

35.Umysł nie zwraca się do nas inaczej, jak za pośrednictwem nas samych. Jego opowieść przechodzi przez nas i jej smutek przepelnia nas irracjonalnością. Jak zauważył Platon, Dusza Świata ma w sobie element irracjonalny.

Innymi słowy sam wszechświat – i kryjący się za nim Umysł – jest chory. Zatem ktoś, kto ma kontakt z rzeczywistością, jest z definicji w kontakcie z chorobą, zaraza się irracjonalnością. Rzecz sprowadza się do tego, że Grubas dokonał przeglądu swojego umysłu i stwierdził, że jest ułomny. Następnie, za pośrednictwem tego umysłu dokonał przeglądu rzeczywistości zewnętrznej, tego, co nazywamy makrokosmosem. I stwierdził, że on też jest ułomny. Jak utrzymywali filozofowie hermetyczni, makrokosmos i mikrokosmos stanowią swoje wierne odbicie. Grubas za pomocą swojego wadliwego narzędzia zbadał wadliwy przedmiot i wyszło mu, że wszystko jest nie tak.

W dodatku, nie było z tego wyjścia. Sprzężenie między wadliwym instrumentem badawczym a wadliwym przedmiotem badań dało w efekcie jeszcze jedną idealną chińską pułapkę na palec. Grubas był więźniem swojego własnego labiryntu, jak Dedal, który zbudował labirynt dla króla Minosa na Krecie, a potem sam nie mógł się z niego wydostać. Może Dedal siedzi tam do dzisiaj i podobnie jest z nami. Jedyna różnica między nami a

Koniolubem Grubasem polega na tym, że Grubas zna swoją sytuację, a my nie. Zatem Grubas jest nienormalny, a my jesteśmy normalni. „Są jak śpiący, odwrócenii do swoich osobnych światów”, jak to ujął Hussey, a on wie, co mówi, bo jest największym żyjącym autorytetem w dziedzinie starożytnej myśli greckiej, z wyjątkiem może Francisa Cornforda. A według Cornforda Platon był przekonany, że Dusza Świata ma w sobie element irracjonalny.

Nie ma wyjścia z labiryntu. Labirynt zmienia się, kiedy człowiek przez niego wędruje, bo jest żywy.

PARSIFAL: – Zrobiłem niewiele kroków, a zdaje się, że przebyłem szmat drogi.

GURNEMANZ: – Widzisz, mój synu, tutaj przestrzenią stał się czas.

(Krajobraz rozpląwa się. Las oddala się i pojawia się skalna ściana, w której widać bramę. Dwaj mężczyźni przechodzą przez tę bramę. Co stało się z lasem? Dwaj mężczyźni nie ruszyli się z miejsca, donikąd nie poszli, a jednak znaleźli się gdzie indziej. Tutaj czas zmienia się w przestrzeń. Wagner zaczął swojego *Parsifala* w roku 1845. Umarł w roku 1873, na długo przedtem, zanim Hermann Minkowski wysunął hipotezę czterowymiarowej czasoprzestrzeni w roku 1908. Źródłem *Parsifala* były celtyckie legendy i zainteresowanie Wagnera buddyzmem, w związku z nie napisaną operą o Buddzie, która miała się nazywać *Zwycięzcy – Die Sieegr.* Skąd Ryszard Wagner wziął pomysł, że czas może się zmienić w przestrzeń?)

Czy jeżeli czas może się zmieniać w przestrzeń, to przestrzeń może się zmieniać w czas?

Mircea Eliade w książce *Mit i rzeczywistość* jeden z rozdziałów zatytułował „Czas można zwyciężyć”. Przewyciężenie czasu to

podstawowy cel mitycznego rytuału i sakramentów. Koniolub Grubas stwierdził, że mówi językiem używanym przed dwoma tysiącami lat, językiem, w którym pisał święty Paweł. Tutaj czas zmienia się w przestrzeń. Grubas opowiedział mi o innym fenomenie związanym z jego spotkaniem z Bogiem: nagle krajobraz Kalifornii w roku 1974 zaczął się rozplýwać i pojawił się krajobraz Rzymu w pierwszym wieku po Chrystusie. Doznał przez chwilę nakładania się obrazów, jak się to widuje w filmie albo w fotografice. Dlaczego? W jaki sposób? Bóg wyjaśnił Grubasowi wiele rzeczy, ale tego nie wyjaśnił nigdy, poza tym zagadkowym zdaniem – jest to w dzienniku zapis *3. Umysł sprawia, że wszystko się zmienia, żeby upozorować upływ czasu*. Czy mamy z tego wnioskować, że faktycznie czas nie upływa? Czy kiedykolwiek płynął? Czy kiedyś istniał rzeczywisty czas, a także rzeczywisty świat, a teraz mamy fałszywy czas i fałszywy świat, rosnący niczym jakaś bańka mydlana i zmieniający wygląd, ale w rzeczywistości statyczny?

Koniolub Grubas uznał za stosowne zapisać to stwierdzenie na początku swojego dziennika czy egzegezy, czy jak on to tam nazywa. W zapisie numer 4, następnym, czytamy:

Materia jest plastyczna w obliczu Umysłu.

Czy w ogóle jest jakiś świat? Z każdego punktu widzenia Gurnemanz i Parsifal stoją w miejscu, a krajobraz się zmienia. W ten sposób zostają przeniesieni do innego miejsca, przestrzeni, która poprzednio była odbierana jako czas. Grubas myślał w języku sprzed dwóch tysięcy lat i ujrzał starożytny świat odpowiedni do tego języka – wewnętrzna zawartość jego umysłu pasowała do jego wrażeń ze świata zewnętrznego. Jest w tym jakaś logika. Może nastąpiło rozchwianie czasu. Tylko dlaczego jego żona Beth nie doświadczyła tego samego? Mieszkała z nim, kiedy miał to

spotkanie z boską siłą, ale dla niej nic się nie zmieniło poza tym, że (jak mi powiedziała) słyszała dziwne trzaski, wyładowania, jakby wybuchały jakieś obiekty przeładowane zbyt dużą energią.

Zarówno Grubas, jak i jego żona opowiadali mi o innym jeszcze aspekcie tamtych dni w marcu 1974 roku. Ich zwierzęta domowe przeszły dziwną metamorfozę. Sprawiały wrażenie spokojniejszych i bardziej inteligentnych. To jest, zanim oba zdechły na skutek bardzo złośliwych nowotworów.

Oboje, Grubas i jego żona, powiedzieli mi coś o swoich zwierzętach, o czym myślę do dzisiaj. W tym czasie zwierzęta wyglądały, jakby chciały się z nimi porozumieć, jakby chciały przemówić. Tego nie da się spisać jako elementu psychozy Grubasa, psychozy „tego” i śmierci zwierząt.

Pierwszy sygnał, że coś jest nie tak, wiązał się, według Grubasa, z radiem. Nastawiwszy je pewnej nocy, kiedy długo nie mógł zasnąć, usłyszał obrzydliwe słowa, zdania, których radio nie mogło nadawać. Beth, która spała, nic nie słyszała. Mógł to więc być rozsypujący się umysł Grubasa, jego psychika rozkładała się wówczas z ogromną szybkością.

Choroba umysłowa nie jest zabawna.



ROZDZIAŁ CZWARTY

Po spektakularnej próbie samobójstwa za pomocą pigułek, żyłki i silnika samochodu – a wszystko z powodu tego, że Beth opuściła go, zabierając ich syna Christophera – Grubas wylądował w szpitalu psychiatrycznym hrabstwa Orange. Uzbrojony policjant przewiózł go na wózku inwalidzkim z oddziału intensywnej terapii podziemnym korytarzem na oddział psychiatryczny.

Grubas nigdy dotąd nie był zamknięty. Po czterdziestu dziewięciu tabletkach naparstnicy przeszedł kilkudniowy atak arytmii, ponieważ jego organizm wymagał maksimum walki z zatruciem oznaczonym na skali jako stopień trzeci. Naparstnica została mu przepisana jako środek na wrodzoną arytmieję. Było ironią losu, że przedawkowanie naparstnicy wywołuje tę samą arytmieję, której ma przeciwdziałać. W pewnym momencie, kiedy Grubas leżał na wznak, wpatrując się w ekran monitora nad głową, zobaczył prostą linię: jego serce przestało bić. Patrzył nadal i po chwili kropka na ekranie wznowiła ruch falowy. Nieskończone jest miłosierdzie boże.

Tak więc w stanie osłabienia, pod eskortą uzbrojonego strażnika, został doprowadzony na oddział psychiatryczny. Wkrótce siedział na korytarzu, wdychając wielkie ilości dymu papierosowego oraz trzęsąc się ze strachu i wyczerpania. Tej nocy spał na pryczy, sześć prycz w jednej sali, i odkrył, że jego prycza wyposażona jest w rzemienie do krępowania rąk. Drzwi na korytarz nie zamykano, żeby pielęgniarze mogli nadzorować pacjentów. Grubas widział ekran telewizora, który był przez cały czas włączony. Jako gość w programie Johnny Carsona występował Sammy Davis junior. Grubas leżał, patrzył i zastanawiał się, jak to jest, kiedy się ma jedno oko szklane. W tym czasie nie rozumiał swojej sytuacji. Wiedział, że przeżył zatrucie preparatem z naparstnicy, wiedział, że praktycznie rzecz biorąc jest aresztowany za próbę samobójstwa. Nie miał pojęcia, co robiła Beth w czasie, kiedy on leżał na oddziale intensywnej terapii. Nie odwiedziła go i nie zatelefonowała. Przyszła najpierw Sherri, potem David. Nikt inny nie wiedział. Grubas szczególnie nie chciał, żeby się Kevin o nim dowiedział, bo przyszedłby i pozwalał sobie na cyniczne uwagi, oczywiście jego, Grubasa kosztem. Nie czuł się na siłach, żeby znosić cynizm, nawet wypowiediany w dobrej wierze.



Główny kardiolog demonstrował Grubasa całej grupie studentów medycyny. Ośrodek Medyczny Hrabstwa Orange był szpitalem klinicznym. Wszyscy chcieli posłuchać, jak bije serce po czterdziestu dziewięciu tabletkach skoncentrowanej naparstnicy.

Stracił też sporo krwi z przeciętej na przegubie żyły. Życie uratował mu początkowo defekt gaźnika w jego samochodzie. Kiedy silnik się rozgrzał, przepustnica nie otworzyła się należycie i silnik zgasł. Grubas doczołgał się

do mieszkania i padł na łóżko, żeby umrzeć. Rano ocknął się wciąż jeszcze żywy i zaczął wymiotować naparstnicę. To była druga rzecz, która go uratowała. Trzecia przybrała formę silnej grupy paramedyków włamujących się do domu Grubasa od tyłu, przez szklano–aluminiowe drzwi. Gdzieś w tym wszystkim Grubas zatelefonował do apteki, żeby mu przysłali nową porcję librium. Przed zażyciem wyciągu z naparstnicy połknął trzydzieści pastylek librium. Aptekarz zawiadomił paramedyków. Wiele można powiedzieć o nieskończonym miłosierdziu Boga, ale jak przyjdzie co do czego, to przytomny aptekarz jest więcej wart.

Po pierwszej nocy spędzonej w izbie przyjęć oddziału psychiatrycznego Grubas został poddany rutynowym badaniom. Musiał stawić czoło całemu orszakowi eleganckich mężczyzn i kobiet, z których każde trzymało wielki notatnik i przyglądało mu się przenikliwie.

Grubas odgrywał rolę człowieka normalnego najlepiej jak umiał. Robił wszystko, żeby ich przekonać, że odzyskał zmysły. Mówiąc zrozumiał, że nikt mu nie wierzy. Równie dobrze mógł swój monolog wygłaszać w języku suahili, efekt byłby taki sam. Osiągnął tylko tyle, że poniżył się w ich oczach i tym samym pozbawił się ostatnich resztek godności. Dzięki swoim własnym szczerym wysiłkom pozbawił się szacunku dla samego siebie. Jeszcze jedna chińska pułapka na palec.

Mam to w dupie, pomyślał w pewnym momencie Grubas i przestał gadać.

– Proszę teraz wyjść – powiedział jeden z psychologów. – Zawiadomimy pana o naszej decyzji.

– Zrozumiałem już swój błąd – powiedział Grubas wstając. – Samobójstwo to skierowana do wewnątrz agresja, która powinna być skierowana na osobę wywołującą moją frustrację. Miałem dość czasu na myślenie, przebywając na oddziale intensywnej terapii oraz tutaj, i

uświadomiłem sobie, że mój atak samozniszczenia był skutkiem lat samoabnegacji i odrzucenia samego siebie. Ale najbardziej zdumiała mnie mądrość mojego ciała, które nie tylko umiało się obronić przed moim umysłem, ale jeszcze wiedziało, co należy robić. Rozumiem teraz, że stwierdzenie Yeatsa: „Jestem duszą nieśmiertelną uwięzioną w ciele zdychającego zwierzęcia” jest diametralnie sprzeczne ze stanem faktycznym, vis-a-vis kondycji ludzkiej.

– Porozmawiamy z panem na korytarzu, kiedy podejmiemy decyzję – powiedział psycholog.

– Tęsknię za moim synem – powiedział Grubas.

Nikt nawet na niego nie spojrzał.

– Bałem się, że Beth może zrobić krzywdę Christopherowi – powiedział Grubas. Było to pierwsze prawdziwe zdanie wypowiedziane przez niego, odkąd wszedł do tego pokoju. Usiłował się zabić nie tyle dlatego, że opuściła go Beth, co dlatego, że po jej wyjeździe nie mógłby opiekować się swoim synkiem.

Po chwili siedział na korytarzu na plastikowo-metalowej kanapce i słuchał starej, grubej kobiety, która opowiadała, jak to jej mąż chciał ją zamordować, pompując pod drzwiami gaz trujący do jej sypialni. Grubas rozpamiętywał swoje życie. Nie myślał o Bogu, którego ujrzał. Nie mówił sobie, jestem jednym z niewielu ludzi, którzy rzeczywiście widzieli Boga. Wracał natomiast myślą do Stephanie i jej glinianego wazonika, który nazywał Oh Ho, ponieważ przypominał mu chińską ceramikę. Zastanawiał się, czy Stephanie uzależniła się od heroiny, albo czy siedzi w więzieniu zamknięta, tak jak on teraz, albo czy nie żyje, albo czy wyszła za mąż, albo czy mieszka w śnieżnym stanie Waszyngton, o którym tyle mówiła, o którym marzyła, ale nigdy w nim nie była. Może zdarzyły się jej te wszystkie rzeczy, a może żadna z nich. Może jest kaleką po wypadku

samochodowym. Zastanawiał się, co powiedziałyby Stephanie, gdyby go zobaczyła teraz – zamkniętego, bez żony i dziecka, z niesprawnym gaźnikiem w samochodzie, ze zlasowanym mózgiem.

Gdyby nie zlasowany mózg, pewnie by myślał, ile miał szczęścia, że żyje – szczęścia nie w sensie filozoficznym, ale w sensie statystycznym. Nikt nie ma prawa przeżyć czterdziestu dziewięciu tabletek czystej naparstnicy. Zasadniczo dwukrotne przekroczenie przepisanej dawki załatwia człowieka. Grubas miał przepisane cztery tabletki dziennie. Przekroczył swoją dawkę 12,25 raza i przeżył. Nieskończone miłosierdzie boże nie wykazuje żadnej logiki w kontekście rozważań praktycznych. Na dodatek Grubas wpakował w siebie cały swój zapas librium, dwadzieścia pastylek quide i sześćdziesiąt apresoliny oraz pół butelki wina. Z całej jego apteczki domowej pozostała tylko buteleczka nerviny. Technicznie rzecz biorąc Grubas był trupem. Duchowo też był trupem.

Albo spotkał się z Bogiem za wcześnie, albo za późno. W każdym razie nie wyszło mu to na dobre z punktu widzenia szans na przeżycie. Kontakt z żywym Bogiem nie wzmocnił go w walce o przetrwanie, z którą zwykli ludzie, nie wyróżnieni tak jak on, dają sobie jakoś radę.

Można jednak wykazać – i Kevin to zrobił – że Grubas nie tylko zobaczył Boga, ale dokonał czegoś więcej. Kevin zadzwonił kiedyś do niego podniecony po przeczytaniu nowej książki Mircea Eliadego.

– Posłuchaj! – mówi Kevin. – Czy wiesz, co Eliade mówi o czasie snu australijskich buszmenów? Mówi, że antropologowie mylą się, uważając, że jest to czas przeszły. Eliade mówi, że to jest inny rodzaj czasu biegnący obecnie, do którego przedostają się buszmeni, wiek bohaterów i wielkich czynów. Zaczekaj, przeczytam ci kawałek. – Chwila milczenia. – Cholera – odezwał się znów Kevin. – Nie mogę znaleźć. Ale przygotowując się na to, znoszą okropny ból, jest to ich rytuał inicjacji. Ty też doznałeś wielkiego

cierpienia przed tym swoim przeżyciem, bolał cię ząb mądrości i byłeś... – Kevin zniżył głos, do tego momentu krzyczał. – Pamiętasz, bałeś się, że władze się do ciebie dobierają.

– Byłem szalony – odpowiedział Grubas. – Wcale się do mnie nie dobierały.

– Ale ty tak myślałeś i tak się bałeś, że nie mogłeś sypiać nocami. I przeszedłeś deprywację sensoryczną.

– Po prostu leżałem w łóżku i nie mogłem zasnąć.

– Zacząłeś widzieć kolory. Falujące kolory. – Kevin w podnieceniu znów przeszedł na krzyk; kiedy przestawał być cynikiem, stawał się maniakiem. – To jest opisane w *Tybetańskiej księdze zmarłych*, to jest przejście do innego świata. Ty umierałeś psychicznie. Ze strachu i przemęczenia! Tak się to właśnie robi, to przejście do innej rzeczywistości! Czas snu!

Grubas siedział teraz na metalowo–plastycznej kanapie i psychicznie umierał. W gruncie rzeczy już był psychicznym trupem, w pokoju zaś, z którego wyszedł, specjaliści decydowali o jego losie, wydając wyrok na to, co z niego zostało. To słuszne, że technicznie wykwalifikowani nie–wariaci osądzają wariatów. Jak mogłoby być inaczej?

– Gdyby tylko mogli dostać się do czasu snu! – krzyknął Kevin. – To jest jedyny czas realny, wszystkie prawdziwe zdarzenia zachodzą w czasie–śnie! Działania bogów!

Otyła stara kobieta, siedząca obok Grubasa, trzymała plastikowe naczynie. Od paru godzin usiłowała zwymiotować thorazyne, którą ją nakarmiono. Wierzyła, jak wychrypiała do Grubasa, że thorazyne zawiera truciznę, za pomocą której jej mąż, kontrolujący pod różnymi przybranymi nazwiskami kierownictwo szpitala, zamierzał domordować ją do końca.

– Znalazłeś drogę do górnego królestwa – oznajmił Kevin. – Czy tak to nazwałeś w swoim dzienniku?

49. Istnieją dwa królestwa, górne i dolne. Górne, pochodzące z hiperwszechświata I czyli yang, Forma I u Parmenidesa, jest obdarzone świadomością i wolą. Dolne królestwo czyli yin, Forma II u Parmenidesa, jest instynktowne, kierowane ślełą siłą, jest deterministyczne i pozbawione rozumu, ponieważ pochodzi z martwego źródła. W czasach starożytnych nazywano to „astralnym determinizmem”. Jesteśmy wprawdzie uwięzieni w dolnym królestwie, ale przez sakramenty, mocą plazmatu, możemy być z niego wyzwoleni. Dopóki astralny determinizm działa, nie zdajemy sobie nawet z niego sprawy, tak jesteśmy zaślepieni. „Imperium wcale się nie rozpadło”.

Obok Grubasa przeszła mała, ładna, ciemnowłosa dziewczynka, a za nią wielka stara kobieta niosąca jej buciki. Przy śniadaniu dziewczynka próbowała za pomocą tych bucików wybić szybę, a kiedy jej się nie udało, powaliła na ziemię wielkiego czarnoskórego pielęgniarza. Teraz była wzorem absolutnego spokoju.

„Imperium wcale się nie rozpadło” zacytował w myśli Grubas. To jedno zdanie powracało stale w jego egzegezie, stało się jego obsesją. Po raz pierwszy zdanie to zostało mu objawione w wielkim śnie. W tym śnie był na powrót dzieckiem myszkującym po zakurzonych antykwariatach w poszukiwaniu rzadkich starych czasopism science fiction, zwłaszcza „Astounding”. W tym śnie przeglądał niezliczone postrzępione egzemplarze, stos za stosem, szukając bezcennej serii „Imperium wcale się nie rozpadło”. Gdyby ją znalazł i przeczytał, wiedziałby wszystko – to była istota tego snu.

Wcześniej, kiedy doznał nałożenia się dwóch światów, kiedy widział nie tylko Kalifornię w roku 1974, ale i starożytny Rzym, dostrzegł w tym podwójnym obrazie jakąś Gestalt występującą w obu kontinuuach czasoprzestrzennych, ich wspólny element – Czarne Żelazne Więzienie. We

śnie to właśnie było nazwane „Imperium”. Wiedział, bo ujrawszy Czarne Żelazne Więzienie, rozpoznał je. Wszyscy w nim przebywali, nie zdając sobie z tego sprawy. Czarne Żelazne Więzienie było ich światem.

Grubas nie miał pojęcia, kto zbudował to więzienie i po co, ale dowiedział się jednej dobrej rzeczy – więzienie było oblegane. Szturm prowadziła, i to z powodzeniem, organizacja chrześcijan, nie tych zwykłych, którzy chodzą w niedzielę do kościoła, ale tajnych pierwszych chrześcijan ubranych w jasnoszare szaty. Ludzie ci promieniowali radością.

Grubas w swoim szaleństwie rozumiał przyczynę tej radości. Tym razem pierwsi, tajni, szaro odziani chrześcijanie zdobędą więzienie, które dotąd tryumfowało. Czyny bohaterów w świętym czasie–śnie... jedynym prawdziwym czasie.

Kiedyś w tandetnej powieści science fiction Grubas znalazł doskonały opis Czarne Żelazne Więzienia, tylko przeniesionego w odległą przyszłość. Jeżeli się więc nałoży przeszłość (starożytny Rzym) na teraźniejszość (współczesna Kalifornia dwudziestego wieku) i na odległą przyszłość z powieści *Android napłakał mi rzekę*, otrzymuje się Imperium, Czarne Żelazne Więzienie jako poza– albo ponadczasowy element stały. Każdy, kto kiedykolwiek żył, był dosłownie otoczony żelaznymi ścianami tego więzienia. Wszyscy żyli w jego wnętrzu i nikt tego nie wiedział, poza tajnymi chrześcijanami w szarych szatach.

Znaczyło to, że pierwsi, tajni chrześcijanie też byli ponad– albo pozaczasowi, czyli obecni we wszystkich czasach, coś, czego Grubas nie potrafił zgłębić. Jak mogli być starożytni, a jednocześnie teraźniejsi i przyszli? A jeżeli istnieli w teraźniejszości, to dlaczego nikt ich nie widział? Z drugiej strony, dlaczego nikt nie widział ścian Czarne Żelazne Więzienia, które otaczały wszystkich, z nim włącznie? Dlaczego te przeciwstawne siły ujawniały się naszym zmysłom tylko wtedy, kiedy

przeszłość, terażniejszość i przyszłość w nieznanym sposobie i z nieznanego powodu nakładały się na siebie?

Może w czasie–śnie buszmenów czas nie istnieje. Tylko jeżeli czas nie istnieje, to jak mogą pierwsi tajni chrześcijanie wybiegać radośnie z Czarnego Żelaznego Więzienia, które właśnie udało im się wysadzić w powietrze? I jak mogli wysadzić je w Rzymie około roku 70 po Chrystusie, skoro wówczas nie znano środków wybuchowych? Poza tym, jeżeli w czasie–śnie nie było upływu czasu, to jak więzienie mogło się rozpaść? Przypominało to Grubasowi pewne zdanie z *Parsifala* : „Widzisz, mój synu, tutaj czas zmienia się w przestrzeń”. W czasie swojego mistycznego doświadczenia w marcu 1974 roku Grubas widział przedłużenie przestrzeni – kilometry i kilometry przestrzeni rozciągającej się aż do gwiazd. Przeszłość otworzyła się wokół niego, jakby usunięto ograniczające go pudło. Czuł się jak kocur, którego wieziono samochodem w pudle, a potem po przyjeździe na miejsce wypuszczono na wolność. A w nocy śniła mu się niezmierna pustka, ale była to pustka żywa. Pustka rozciągała się, płynęła i wydawała się doskonale pusta, a jednak posiadała osobowość. Pustka wyraziła zadowolenie ze spotkania z Grubasem, który w tych snach był bezcielesny i, podobnie jak bezgraniczna pustka, bujał w nieważkości. Oprócz tego słyszał: lekkie buczenie, jak przyciszoną muzykę. Widocznie pustka porozumiewała się za pośrednictwem tego echa, tego buczenia.

– Ciebie ze wszystkich ludzi – oświadczyła pustka – ciebie kocham najbardziej.

Pustka czekała na połączenie z Koniolubem Grubasem, właśnie z nim ze wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek istnieli. Podobnie jak jej kontynuacja w przestrzeni, miłość w tej pustce nie miała końca, pustka i miłość trwały wiecznie. Grubas nigdy w życiu nie zaznał takiego szczęścia.

Podszedł do niego pielęgniarz.

– Zatrzymujemy pana na czternaście dni – powiedział.

– Nie mogę iść do domu? – spytał Grubas.

– Nie, uważamy, że potrzebna jest panu kuracja. Nie może pan jeszcze wyjść.

– Niech mnie pan zapozna z moimi prawami – powiedział Grubas, czując lęk i odrętwienie.

– Możemy pana zatrzymać na czternaście dni bez decyzji sądu. Potem za pańską zgodą, możemy, jeżeli uznamy to za konieczne, zatrzymać pana na następne dziewięćdziesiąt dni.

Grubas wiedział, że jeżeli cokolwiek powie, jeżeli w ogóle się odezwie, zatrzymają go na dziewięćdziesiąt dni! Nie powiedział więc nic. Kiedy się jest wariatem, człowiek uczy się trzymać język za zębami.

Kiedy człowiek jest wariatem i daje się na tym przyłapać, to ląduje w zamknięciu. Teraz Grubas już wiedział. Hrabstwo Orange miało nie tylko izbę wytrzeźwień, miało też swój dom wariatów. Grubas w nim siedział i mógł siedzieć długo. Tymczasem w domu Beth niewątpliwie zabierała sobie wszystko co chciała do swojego nowego wynajętego mieszkania. Nie chciała mu podać adresu, nie powiedziała mu nawet, w jakim to jest mieście.

W rzeczywistości, chociaż Grubas wtedy tego nie wiedział, przez własną głupotę nie zapłacił rat za dom i za samochód, nie płacił też za elektryczność i za telefon. Trudno było oczekiwać, żeby Beth, przygnębiona fizycznym i umysłowym stanem Grubasa, stawiała czoło stworzonym przez niego problemom. Kiedy więc Grubas wyszedł ze szpitala i wrócił do domu, zastał tam zawiadomienie o zajęciu domu, samochodu nie było, z lodówki lała się woda, a kiedy spróbował zadzwonić po pomoc, odpowiedziała mu w telefonie przerażająca cisza. W rezultacie

stracił resztki chęci do życia, wiedząc, że wszystko to jego własna wina. Jego karma.

Teraz jednak Grubas tego nie wiedział. Wiedział tylko, że został wtrącony za kraty na co najmniej dwa tygodnie. Innej rzeczy dowiedział się od współpacjentów – że hrabstwo Orange wystawi mu rachunek za pobyt w szpitalu. Nawiasem mówiąc, wszystkie koszty, łącznie z opłatą za pobyt na oddziale intensywnej terapii, miały wynieść prawie dwa tysiące dolarów. Grubas znalazł się w szpitalu hrabstwa dlatego głównie, że nie miał pieniędzy na szpital prywatny. Teraz więc dowiedział się czegoś jeszcze na temat bycia wariatem: Człowiek nie tylko ląduje za kratkami, ale jeszcze musi za to słono zapłacić. Można mu wystawić rachunek za to, że jest wariatem, a jeżeli nie zapłaci, albo nie będzie w stanie zapłacić, można go podać do sądu, a jeżeli sąd wyda wyrok przeciwko niemu i on się nie podporządkuje orzeczeniu, można go znów zamknąć za obrazę sądu.

Kiedy się pomyśli, że Grubas usiłował popełnić samobójstwo w wyniku głębokiej rozpacz, cały urok jego obecnej sytuacji, cały jej blask, ulatnia się bez śladu. Na metalowo–plastycznej kanapce obok niego wielka, stara kobieta nadal zwracała lekarstwa do plastikowego naczynia przewidzianego przez szpital do takich celów. Psychotechnik wziął Grubasa za ramię, żeby go zaprowadzić na oddział, gdzie miał być zamknięty przez następne dwa tygodnie. Nazywali to Oddziałem Północnym. Bez protestów Grubas poszedł z psychotechnikiem z izby przyjęć przez hall na Oddział Północny, gdzie jeszcze raz zatrzasnęły się za nim drzwi.

O, w dupę, pomyślał Grubas.

Psychotechnik odprowadził Grubasa do jego pokoju, w którym stały dwa łóżka, zamiast sześciu prycz, a potem do pokoju, w którym należało wypełnić kwestionariusz. Stała tam dziewczyna, grubokoścista Meksykanka z szorstką ciemną skórą i wielkimi oczami, ciemnymi i

płonącymi, jak dwa źródła ognia. Grubas stanął jak wryty ujrawszy te płonące, spokojne wielkie oczy. Dziewczyna trzymała na telewizorze czasopismo, które otwarte było na stronie z prymitywnym malunkiem przedstawiającym Raj Zwierząt. Grubas rozpoznał czasopismo jako „Strażnicę”. Uśmiechająca się do niego dziewczyna była świadkiem Jehowy.

Dziewczyna odezwała się łagodnym, modulowanym głosem, ale nie do psychotechnika, tylko do Grubasa:

– Nasz Pan Bóg przygotował dla nas miejsce na mieszkanie, gdzie nie będzie bólu ani lęku. Widzisz, zwierzęta leżą szczęśliwie obok siebie, lew obok jagnięcia, i tak będzie z nami, przyjaciółmi, którzy się kochają, bez cierpienia i śmierci, na zawsze z naszym Panem Jehową, który nas kocha i nigdy nas nie opuści, gdziekolwiek będziemy.

– Debbie, proszę stąd wyjść – powiedział psychotechnik.

Nie przestając uśmiechać się do Grubasa dziewczyna wskazała na obrazku krowę i baranka.

– Wszystkie zwierzęta, wszyscy ludzie, wszystkie żywe istoty duże i małe, będą się pławić w blasku miłości Jehowy, kiedy nadejdzie królestwo. Myślisz, że to będzie w odległej przyszłości, ale Jezus Chrystus jest z nami dzisiaj! – Po tych słowach zamknęła pismo i choć nadal uśmiechnięta, ale już w milczeniu wyszła z pokoju.

– Przepraszam za to – powiedział psychotechnik do Grubasa.

– O rany – jęknął zdumiony Grubas.

– Czy ona pana zdenerwowała? Bardzo mi przykro. Nie wolno jej czytać tej literatury, ktoś musiał to dla niej przemyścić.

– Nic mi nie będzie – powiedział Grubas. Zdawał sobie sprawę z tego, co się działo. Był olśniony.

– Zanotujemy kilka informacji – powiedział psychotechnik, biorąc notatnik i pióro. – Data urodzenia?

Ty baranie, pomyślał Grubas. Ty pieprzony baranie. W waszym cholernym domu wariatów jest Bóg, a wy tego nie wiecie. Patrzycie, a nie widzicie. Macie tu desant, a nawet tego nie wiecie.

Przepełniała go radość.

Przypomniał sobie zapis 9 ze swojej egzegezy., „*Żył dawno temu, ale jest wciąż żywy*” .Żyję nadal, myślał Grubas. Po tym wszystkim, co się zdarzyło. Po pigułkach, podciętych żyłach, po spalinach samochodowych. Mimo zamknięcia. Nadal żyję.

Po kilku dniach najbardziej spośród pacjentów polubił Douga, dużego, młodego, upośledzonego umysłowo hebefrenika, który nigdy nie wkładał swojego ubrania, tylko chodził w otwartym z tyłu szpitalnym kitlu. Kobiety z oddziału myły, strzygły i czesały Douga, bo sam nie potrafił tego robić. Doug nie traktował swojej sytuacji poważnie, poza chwilą, kiedy budzono ich na śniadanie. Codziennie rano Doug witał Grubasa przestraszony.

– W pokoju telewizyjnym są diabły – mówił Doug codziennie. – Boję się tam iść. Czy ty to czujesz? Ja to czuję nawet na korytarzu.

Kiedy zbierano zamówienia na lunch, Doug napisał:

POMYJE

– Ja zamawiam pomyje – powiedział do Grubasa.

– Ja zamawiam błoto – powiedział Grubas.

W dyżurce, która miała szklane ściany i zamykane od środka drzwi, pracownicy obserwowali pacjentów i robili notatki. W przypadku Grubasa zanotowano, że nigdy nie grał z innymi pacjentami w karty (co zajmowało im połowę czasu, gdyż żadnej terapii nie prowadzono). Pozostali pacjenci grali w pokera i w oko, a Grubas siedział samotnie i czytał.

– Dlaczego pan nie gra w karty? – spytała go psychotechnik Penny.

– Poker i oko to nie są gry w karty tylko gry w pieniądze – odparł Grubas opuszczając książkę. – Ponieważ nie wolno nam tu mieć pieniędzy, gra nie ma sensu.

– Myślę, że powinien pan grać w karty – powiedziała Penny.

Grubas zrozumiał, że kazano mu grać w karty, grał więc z Debbie w różne dziecinne gry. Grali tak godzinami. Personel obserwował ich ze swojej szklanej dyżurki i robił notatki.

Jednej z kobiet udało się zachować Biblię. Była to jedyna Biblia na trzydzieścioro pięcioro pacjentów. Debbie nie miała prawa jej czytać, jednak za jednym zakrętem korytarza (w ciągu dnia pokoje zamykano, żeby pacjenci nie mogli leżeć i spać) było miejsce niewidoczne dla personelu. Grubas czasem dawał ten ich wspólny egzemplarz Biblii Debbie, żeby mogła szybko zerknąć na któryś z psalmów. Personel wiedział, co się tam dzieje i złościł się na nich, ale zanim technik zdążył wyjść z dyżurki, Debbie już szła dalej, jakby nigdy nic.

Pacjenci zakładów psychiatrycznych poruszają się zawsze z tą samą prędkością, ale jedni zawsze chodzą powoli, a inni zawsze biegną. Masywna Debbie płynęła dostojnie, podobnie jak Doug. Grubas, który zawsze przechadzał się z Dougiem, dostosowywał się do jego kroku. Krążyli razem po korytarzach i rozmawiali. Rozmowy w szpitalach psychiatrycznych przypominają rozmowy na dworcach autobusowych, bo na dworcach autobusowych Greyhound wszyscy czekają i w szpitalu psychiatrycznym, zwłaszcza w takim komunalnym, też wszyscy czekają. Czekają, żeby stąd wyjść.

Na oddziale psychiatrycznym niewiele się dzieje, wbrew temu, co wypisują słynne powieści. W rzeczywistości pacjenci nie obezwładniają personelu, a personel w rzeczywistości nie morduje pacjentów. Ludzie

przeważnie czytają albo oglądają telewizję, albo zwyczajnie siedzą i palą, albo próbują ułożyć się na kanapie i zdrzemnąć, albo piją kawę lub grają w karty, albo spacerują, a trzy razy dziennie rozdawane są tace z posiłkiem. Upływ czasu odmierzają przybycia wózków zjedzeniem. Wieczorem pojawiają się goście, zawsze uśmiechnięci. Pacjenci nie potrafią odgadnąć, dlaczego ludzie z zewnątrz zawsze są uśmiechnięci. Dla mnie pozostaje to zagadką do dzisiaj.

Leki są wydawane w nieregularnych odstępach czasu w małych papierowych kubeczkach. Wszyscy dostają thorazynę plus coś jeszcze. Personel nie mówi, co kto dostaje i pilnuje, żeby połknąć pigułki. Czasami pielęgniarkom się popieprzy i przynoszą te same lekarstwa po raz drugi. Pacjenci zawsze twierdzą, że już przyjęli swoje lekarstwa przed dziesięcioma minutami, a pielęgniarki mimo to każą im pigułki połknąć. Pomyłka zostaje odkryta dopiero na zakończenie dnia, a personel nie chce rozmawiać na ten temat z pacjentami, którzy mają teraz w swoich organizmach dwukrotnie więcej thorazyny niż powinni.

Nie spotkałem ani jednego pacjenta psychiatrycznego, nawet pośród paranoików, który by wierzył, że stosowanie podwójnych dawek to rozmyślne działanie w celu ośpienia oddziału. Jest całkowicie oczywiste, że to skutek głupoty pielęgniarek. Pielęgniarki z trudem rozróżniają pacjentów i odnajdują ich kubeczki. Dzieje się tak dlatego, że pacjenci stale się zmieniają: starzy odchodzą, nowi przybywają. Prawdziwym niebezpieczeństwem na oddziale psychiatrycznym jest, że mogą przez pomyłkę przyjąć kogoś, kto zaświrował po PCP (znanym też jako „anielski pył”). Wiele szpitali psychiatrycznych odmawia przyjmowania takich osobników i przekazuje sprawę uzbrojonej policji. Policja z kolei stale usiłuje podrzucić użytkowników PCP bezbronnym pacjentom i personelowi szpitali. Nie bez powodu nikt nie chce mieć z nimi do czynienia. Gazety

stale piszą o tym, jak jakiś miłośnik PCP odgryzł komuś w szpitalu nos albo sam sobie wydłubał oczy.

Grubasowi zostało to zaoszczędzone. Nie wiedział nawet o istnieniu podobnych okropności. Wynikało to z mądrej polityki szpitala hrabstwa Orange, który dbał o to, żeby żadna ofiara PCP nie trafiła na Oddział Północny. Faktycznie winien był szpitalowi, oprócz dwóch tysięcy dolarów, także życie, ale jego mózg był jeszcze tak zlasowany, że nie potrafił tego docenić.

Kiedy Beth przeczytała rozbity na pozycje rachunek ze szpitala, nie mogła wprost uwierzyć, ile rzeczy zrobiono, żeby utrzymać jej męża przy życiu. Lista zajmowała pięć stron i obejmowała nawet podawanie tlenu. Grubas tego nie wiedział, ale pielęgniarki z oddziału intensywnej terapii były przekonane, że umrze. Śledziły jego stan bez przerwy. Co jakiś czas na oddziale intensywnej terapii odzywała się syrena ostrzegawcza. Znaczyło to, że ktoś przestał dawać oznaki życia. Grubas leżał podłączony do monitora i czuł się jak na stacji kolejowej, bo aparaty podtrzymujące życie stale wydawały swoje różne odgłosy.

Dla chorych umysłowo charakterystyczne jest to, że nienawidzą tych, którzy im pomagają i kochają tych, którzy im szkodzą. Grubas nadal kochał Beth i nienawidził szpitala. To był najlepszy dowód, że jego miejsce jest na Oddziale Północnym, nie mam co do tego wątpliwości. Zabierając Christophera i wyjeżdżając w nieznane, Beth wiedziała, że Grubas będzie próbował popełnić samobójstwo, tak jak usiłował to zrobić w Kanadzie. Prawdę mówiąc, Beth planowała powrót do domu, jak tylko Grubas się wykończy. Sama mu to później powiedziała. Jak mu również obwieściła, była wściekła, że jego próba samobójcza była nieudana. Kiedy ją spytał, czemu ją to tak rozzłościło, Beth odpowiedziała:

– Jeszcze raz dowiodłeś, że nie potrafisz nic zrobić porządnie.

Różnica między zdrowiem psychicznym a chorobą jest węższa niż ostrze brzytwy, ostrzejsza niż ząb wilka, trudniej uchwytana niż gazela. Jest bardziej ulotna niż przywidzenie. Może zresztą nie ma jej wcale, może ta różnica jest przywidzeniem.

Jak na ironię, Grubasa zamknięto nie dlatego, że był szalony (choć był). Przyczyną, technicznie rzecz biorąc, było prawo „o zagrożeniu dla samego siebie”. Grubas stanowił zagrożenie dla samego siebie, zarzut, jaki można postawić wielu ludziom. Podczas gdy przebywał na Oddziale Północnym, poddano go licznym testom psychologicznym. Przeszedł je, może dlatego, że przytomnie nie wspominał o Bogu. Przeszedł wprawdzie wszystkie testy, ale oszukiwał. Dla zabicia czasu Grubas rysował w kółko Krzyżaków, których Aleksander Newski zwabił na lód, wciągając w śmiertelną pułapkę. Grubas utożsamiał się z ciężkozbrojnymi rycerzami teutońskimi w przyłbicach i rogatych hełmach. Rysował każdego rycerza z wielką tarczą i obnażonym mieczem, na tarczach Grubas pisał: „In hoc signo vinces”, co wziął z paczki papierosów. Znaczy to „W tym znaku zwyciężysz”. Znak przybrał formę żelaznego krzyża. Jego miłość do Boga zmieniła się w gniew, w niejasny gniew. Miał wizje Christophera biegnącego po łące w rozwiewającej się granatowej marynareczce, Christopher biegł i biegł. Niewątpliwie był to sam Grubas, w każdym razie jego dziecięca natura. Uciekający przed czymś równie niejasnym, jak jego gniew.

Kilka razy zanotował:

Dico per Spiritum Sanctum: sum homoplasmate. Haec veritas est. Mihi crede et mecum in aeternitate vive. Zapis 28.

Co znaczy: „Mówię za pośrednictwem Ducha Świętego. To jest prawda. Uwierz mi i będziesz żył ze mną na wieki”.

Któregoś dnia na wiszącej na korytarzu instrukcji dopisał: *Ex Deo nascimur, in Jesu mortimur, per Spiritum Sanctum reviviscimus* .

Doug spytał go, co to znaczy.

– Z Boga się rodzimy – przetłumaczył Grubas – w Jezusie umieramy, przez Ducha Świętego się odradzamy.

– Zatrzymają cię tu na dziewięćdziesiąt dni – zawyrokował Doug.

Kiedy indziej Grubas znalazł na tablicy ogłoszenie, które go zafascynowało. Ogłoszenie wyliczało, czego nie należy robić w zstępującym porządku co do ważności. Blisko początku listy wszyscy zainteresowani mogli przeczytać:

ZABRANIA SIĘ WYNOŠZENIA POPIELNICZEK Z ODDZIAŁU.

Niżej na liście stwierdzano:

NIE WOLNO PRZEPROWADZAĆ LOBOTOMII FRONTALNEJ BEZ PISEMNEJ ZGODY PACJENTA.

– Powinno być „prefrontalnej” – zauważył Doug i dopisał „pre”.

– Skąd ty to wiesz? – spytał Grubas.

– Są dwa sposoby poznania – powiedział Doug. – Albo wiedza pochodzi od organów zmysłów i wtedy nazywa się wiedzą empiryczną, albo rodzi się w głowie i wtedy nazywa się wiedzą aprioryczną.

Doug napisał w ogłoszeniu:

CZY JAK ODNIOSEŃ POPIELNICZKI, TO ZROBIĄ MI LOBOTOMIĘ?

– Ciebie też zatrzymają na dziewięćdziesiąt dni – powiedział Grubas.

Na zewnątrz lało. Padało bez przerwy, odkąd Grubas przybył na Oddział Północny. Jeżeli poszedł do pralni i wszedł na pralkę, mógł spojrzeć przez zakratowane okno na parking. Ludzie parkowali samochody i biegli do wejścia. Grubas był zadowolony, że jest w środku.

Pewnego dnia przeprowadził z nim rozmowę doktor Stone, ordynator oddziału.

– Czy próbował pan już kiedyś wcześniej popełnić samobójstwo? – spytał go doktor Stone.

– Nie – odpowiedział Grubas, co, oczywiście, było nieprawdą. W tej chwili nie pamiętał o Kanadzie. Miał wrażenie, że jego życie zaczęło się przed dwoma tygodniami, kiedy odeszła Beth.

– Myślę – powiedział doktor Stone – że kiedy próbował się pan zabić, po raz pierwszy nawiązał pan kontakt z rzeczywistością.

– Może i tak – zgodził się Grubas.

– Dam panu coś, co nazywamy lekarstwem Bacha – powiedział doktor Stone otwierając czarną walizeczkę na swoim zagraconym biurku. Wymawiał to „bacz”. – Te organiczne środki są destylatami różnych kwiatów rosnących w Walii. Doktor Bach wędrował po polach i pastwiskach Walii, przeżywając wszystkie możliwe negatywne stany psychiczne. W każdym stanie brał ostrożnie do ręki różne kwiaty i odpowiedni kwiat wibrował w jego dłoni. Później doktor Bach wypracował unikalne metody uzyskania z każdego kwiatu esencji w formie eliksiru i kombinacji kwiatów, które ja przygotowuję na bazie rumu. – Postawił na biurku trzy buteleczki, znalazł większą pustą buteleczkę i zlał do niej zawartość trzech małych. – Proszę brać sześć kropli dziennie – powiedział doktor Stone. – Lekarstwo Bacha w żaden sposób nie może panu zaszkodzić. To nie są żadne trujące chemikalia. Usuną poczucie

bezradności, lęk i niezdolność do działania. Zgodnie z moją diagnozą ma pan blok w tych trzech sferach: lęk, bezradność i niezdolność do działania. Zamiast popełniać samobójstwo, należało odebrać żonie syna; w Kalifornii nieletnie dziecko musi pozostawać z ojcem, póki sąd nie orzeknie inaczej. Potem trzeba było lekko trzepnąć żonę zwiniętą gazetą albo książką telefoniczną.

– Dziękuję – powiedział Grubas biorąc butelkę. Wiedział, że doktor Stone jest wariatem, ale niegroźnym. Był pierwszą osobą na Oddziale Północnym, poza pacjentami, która rozmawiała z Grubasem jak z człowiekiem.

– Jest w panu wiele złości – powiedział doktor Stone. – Pożyczam panu egzemplarz *Tao Te King*. Zna pan Lao Tsy?

– Nie – przyznał Grubas.

– Przeczytam panu jeden fragment – powiedział doktor Stone.

Jego wierzch nie jest spowity jasnością.

Jego spód nie jest pogrążony w ciemności.

Jest ono ciągle, jak nić nieprzerwane.

I bezimienne.

W końcu znów przemienia się w nicłość.

Dlatego nazywamy je nadawaniem kształtu bezkształtnemu, tworzeniem obrazów z niematerialnego. Dlatego mówimy, że jest to coś bardzo niejasnego i nieokreślonego.

Idąc mu naprzeciw, nie dostrzegamy jego twarzy.

*Postępując w ślad za nim, nie widzimy jego pleców.**

* [przyp.: Przekład Tadeusza Żbikowskiego.]

Słuchając tego Grubas przypomniał sobie zapis 1 i 2 ze swojego dziennika. Zacytował je z pamięci doktorowi:

1. Jest tylko jeden Umysł, ale pod nim współzawodniczą dwie zasady.

2. Umysł wpuszcza raz światło a raz ciemność, we współdziałaniu. W ten sposób rodzi się czas. Na końcu Umysł przyznaje zwycięstwo światłu. Czas wtedy dobiega kresu i Umysł jest dopełniony.

– Ale jeżeli Umysł przyznaje zwycięstwo światłu i ciemność znika, to zniknie i rzeczywistość, ponieważ rzeczywistość jest składową w równej mierze yang i yin – zauważył doktor Stone.

– Yang to Forma I Parmenidesa – powiedział Grubas. – Yin to Forma II. Tylko Forma I istnieje. Parmenides wierzył, że świat jest monistyczny. Ludzie wyobrażają sobie, że obie formy istnieją, ale to pomyłka. Arystoteles twierdzi, że Parmenides określa Formę I jako „to, co jest”, a Formę II jako „to, co nie jest”. Tak więc ludzie się mylą.

Doktor Stone przyjrzał mu się uważnie.

– Skąd czerpie pan te wiadomości? – spytał.

– Od Edwarda Husseya – odparł Grubas.

– Z Oksfordu – zauważył doktor Stone. – Studiowałem w Oksfordzie. Według mnie Hussey nie ma sobie równych.

– Ma pan rację – zgodził się Grubas.

– Co jeszcze może mi pan powiedzieć? – spytał doktor Stone.

– Czas nie istnieje – powiedział Grubas. – Jest to wielka tajemnica znana Apoloniuszowi z Tyany, Pawłowi z Tarsu, Szymonowi Magowi, Paracelsusowi, Boehmemu i Brunie. Wszechświat zbiega się w jedną całość, która się dopełnia. Wydaje nam się, że procesy rozpadu i

dezorganizacji narastają, bo odbieramy je w odwrotnej kolejności. Zapis 18 mojej egzegezy brzmi: *Czas rzeczywisty zatrzymał się w roku 70 po Chrystusie wraz ze zburzeniem świątyni jerozolimskiej. Ruszył ponownie w roku 1974. W środku mamy całkowicie fałszywy wtret, małpujący twórczy akt Umysłu.*

– Czyj wtret? – spytał doktor Stone.

– Czarnego Żelaznego Więzienia, które jest wcieleniem Imperium. To, co zostało mi... – Grubas chciał powiedzieć: „To, co zostało mi objawione”, ale się zreflektował. – Najważniejszym moim odkryciem jest to, że Imperium wcale się nie rozpadło.

Doktor Stone założył ręce na piersi i kiwając się w tył i w przód wpatrywał się w Grubasa. Czekał na dalszy ciąg.

– To wszystko, co wiem – stwierdził Grubas ze spóźnioną ostrożnością.

– Bardzo mnie interesuje to, co pan mówi – powiedział doktor Stone.

Grubas uświadomił sobie, że istnieją tylko dwie możliwości. Albo doktor Stone jest totalnie szalony, nie zwyczajnie szalony, ale właśnie totalnie, albo bardzo zręcznie i profesjonalnie zmusił Grubasa do mówienia, wywabił go z nory i teraz wiedział, że Grubas jest totalnie szalony. Co oznaczało, że może się spodziewać sprawy w sądzie i dziewięćdziesięciu dni izolacji.

Było to ponowne odkrycie tego, iż:

1. Ci, którzy się z tobą zgadzają, są szaleni.
2. Ci, którzy się z tobą nie zgadzają, mają władzę.

Te bliźniacze myśli krążyły teraz w głowie Grubasa. Postanowił pójść na całość i zdradzić doktorowi najbardziej fantastyczny zapis w swojej

egzegezie.

– Zapis dwudziesty czwarty – powiedział. – *W postaci uśpionego nasienia plazmat jako żywa informacja przebywał w zakopanym zbiorze rękopisów w Chenoboskion aż...*

– Co to jest „Chenoboskion”? – przerwał mu doktor Stone.

– Nag Hammadi.

– Aha, biblioteka gnostyczna – kiwnął głową doktor – znaleziona i odczytana w 1945, ale nigdy nie opublikowana. *Żywa informacja?* – Spojrzał na Grubasa z intensywną przenikliwością. – *Żywa informacja* – powtórzył. – To Logos.

Grubas zadrżał.

– Tak – powiedział doktor Stone. – Logos to musi być żywa informacja zdolna do rozmnażania się.

– Rozmnażania się nie przez informację – mówił Grubas – i nie informacji, ale jako informacja. To właśnie miał na myśli Jezus, kiedy mówił w przerośni o „ziarenku gorczycy”, które, jak powiedział, wyrośnie w drzewo tak duże, że ptaki będą w nim zakładać gniazda.

– Nie ma drzewa gorczycy – zgodził się doktor Stone – więc Jezus nie mówił tego dosłownie. To pozostaje w zgodzie z tak zwanym sekretem mesjańskim u Marka, że Jezus nie chciał, aby niewtajemniczeni poznali prawdę. A pan ją zna?

– Jezus przewidział nie tylko swoją śmierć, lecz także wszystkich swoich... homoplazmatów – zawahał się Grubas. – Jest to istota ludzka, z którą plazmat się połączył. Symbioza międzygatunkowa. Plazmat jako żywa informacja wędruje wzdłuż nerwu wzrokowego człowieka do jego szyszynki. Wykorzystuje on człowieka jako żeńskiego nosiciela...

Doktor Stone stęknął i gwałtownie zacisnął ręce.

– ...w którym przyjmuje swoją postać aktywną. Hermetyczni alchemicy wiedzieli o nim teoretycznie ze starożytnych tekstów, ale nie byli w stanie go odtworzyć, gdyż nie potrafili odnaleźć uspiętego, ukrytego pod ziemią plazmatu.

– Ale mówi pan, że plazmat czyli Logos został odkopany w Nag Hammadi?

– Tak, obudził się, kiedy rękopisy odczytano.

– Czy jest pan pewien, że nie przebywał w postaci uspiętego ziarna w Qumran? W jaskini numer pięć?

– Może – powiedział Grubas niepewnie.

– Skąd plazmat przybył po raz pierwszy?

– Z innego układu gwiazdnego – powiedział Grubas po chwili wahania.

– Czy może pan wymienić nazwę tego układu?

– Syriusz – powiedział Grubas.

– Uważa pan zatem, że plemię Dogonów z zachodniego Sudanu jest źródłem chrześcijaństwa?

– Używają znaku ryby – powiedział Grubas. – Na oznaczenie w Nommo dobrego bliźniaka.

– Który odpowiada Formie I czyli yang.

– Zgadza się – powiedział Grubas.

A Yurugu jest Formą II. Ale pan uważa, że Forma II nie istnieje.

– Nommo był zmuszony ją zabić – powiedział Grubas.

– To jest to, co w pewnym sensie zakłada mitologia japońska – powiedział doktor Stone. – Ich mit kosmogoniczny. Żeńskie bliźnię umiera, wydając na świat ogień, później schodzi pod ziemię. Męskie bliźnię schodzi do podziemi, żeby ją ożywić, ale stwierdza, że ona się rozkłada i rodzi potwory. Ona go ściga, a on ucieka i zamyka ją pod ziemią.

– Rozkłada się i nadal rodzi? – zdziwił się Grubas.

– Wyłącznie potwory – powiedział doktor Stone.

W tym czasie wskutek powyższej rozmowy w umyśle Grubasa pojawiły się dwie nowe myśli:

1. Niektórzy z tych, którzy mają władzę, są szaleni.

2. I mają rację.

„Mieć rację” to tyle co „być w kontakcie z rzeczywistością”. Grubas wrócił do najbardziej przygnębiającego ze swoich odkryć – że wszechświat i kierujący nim Umysł są całkowicie irracjonalne. Zastanawiał się, czy powiedzieć o tym doktorowi, który wydawał się rozumieć Grubasa lepiej niż ktokolwiek w całym jego życiu.

– Panie doktorze – powiedział. – Jest coś, o co chciałbym pana zapytać. Chciałbym usłyszeć pańską profesjonalną opinię.

– Słucham.

– Czy to możliwe, żeby wszechświat był irracjonalny?

– To znaczy, że nie byłby kierowany rozumem. Radzę panu zwrócić się do Ksenofanesa.

– Wiem – powiedział Grubas. – Ksenofanes z Kolofonu. „Jest jeden bóg, w niczym niepodobny do istot śmiertelnych, ani formą cielesną, ani myślami. On widzi całym sobą, całym sobą słyszy, całym sobą myśli. Zawsze trwa nieruchomo w tym samym miejscu. Byłoby niewłaściwe...”

– Niestosowne – poprawił doktor Stone. – „Byłoby niestosowne, gdyby przenosił się z miejsca na miejsce”. I ważna część, Fragment 25: „Ale bez wysiłku dzierży wszystkie rzeczy siłą swojej myśli”.

– Ale on może być irracjonalny – powiedział Grubas.

– Skąd możemy to wiedzieć?

– Wtedy cały wszechświat byłby irracjonalny.

– W porównaniu z czym? – spytał doktor Stone.

O tym Grubas nie pomyślał. Ale skoro tylko pomyślał, uświadomił sobie, że to nie uwalnia go od lęku, że to nasila jego lęk. Jeżeli cały wszechświat jest irracjonalny, ponieważ kieruje nim irracjonalny, to jest szalony umysł, to całe gatunki mogły rodzić się, żyć i ginąć niczego nie podejrzewając z powodu, który przed chwilą wymienił doktor Stone.

– Logos nie jest irracjonalny – odpowiedział sobie Grubas na głos. – To, co ja nazywam plazmatem. Zakopany w postaci informacji w rękopisach z Nag Hammadi. A który teraz jest znów z nami i tworzy nowe homoplazmaty. Rzymianie, Imperium zabiło wszystkie pierwotnie istniejące.

– Ale powiada pan, że czas rzeczywisty przestał biec w rok 70 po Chrystusie, kiedy Rzymianie zburzyli świątynię. W takim razie żyjemy nadal w czasach Rzymu, Rzymianie nadal tu są. Jesteśmy z grubsza – doktor Stone obliczył – w roku 100 po Chrystusie.

Grubas uświadomił sobie w tym momencie, że to wyjaśniało nałożenie się rzeczywistości, kiedy ujrzał jednocześnie starożytny Rzym i Kalifornię roku 1974. Doktor Stone rozwiązał za niego tę zagadkę.

Psychiatra odpowiedzialny za wyleczenie go z szaleństwa umocnił go w tym szaleństwie. Grubas uwierzył na dobre w swoje spotkanie z Bogiem. Doktor Stone przesądził sprawę.



ROZDZIAŁ PIĄTY

Grubas spędził w klinice trzynaście dni, pijąc kawę, czytając i spacerując z Dougiem, ale ani razu nie udało mu się porozmawiać z doktorem Stone'em. Doktor Stone miał zbyt wiele obowiązków, jako że podlegał mu cały oddział, wszyscy pacjenci i personel.

Właściwie miała miejsce już tylko jedna głębokodupna pospieszna wymiana zdań przy wypisywaniu z kliniki.

– Myślę, że może pan już opuścić nasz zakład – powiedział Stone z zadowoleniem.

– Chciałbym jednak o coś spytać. Nie mówię, że wszechświatem nie rządzi żaden umysł. Powiedzmy, że jest umysł, o jakim myślał Ksenofanes, ale że jest to umysł szalony.

– Gnostycy wierzyli, że stwórca jest szalony – odpowiedział Stone. – Ślepy. Pokażę panu coś, co nie zostało jeszcze opublikowane. Mam to w maszynopisie od Orvala Wintermute'a, który wspólnie z Bethgem pracuje obecnie nad przekładem zwojów z Nag Hammadi. Ten cytat pochodzi z tekstu *O pochodzeniu świata*. Niech pan sobie przeczyta.

Grubas wziął cenny maszynopis i przeczytał:

„I rzekł: Jestem bogiem i nie masz innego poza mną. Ale mówiąc tak zgrzeszył przeciwko wszystkim nieśmiertelnym niezniszczalnym, a oni go osłaniali. Ponadto, kiedy Pistis ujrzała zarozumiałstwo głównego władcy, zagniewała się. Niewidoczna rzekła: Błędzisz, Samaelu, tj. ślepy boże. Oświecony, nieśmiertelny człowiek istnieje przed tobą. On przyjdzie, sam nie ulepiony, i rozdepcze cię, jak garncarz skorupy. I pójdiesz ty i twoi do matki waszej, otchłani”.

Grubas natychmiast zrozumiał, co to znaczy. Samael był stwórcą i wyobraził sobie, że jest jedynym bogiem, jak stwierdza Genesis. Był jednak ślepy, czyli innymi słowy zamroczony. „Zamroczony” było dla Grubasa określeniem pełnym znaczenia. Obejmowało wszystkie inne: szalony, pomyłony, irracjonalny, szajbnięty, pierdolnięty, chory umysłowo. W swojej ślepcie (czyli irracjonalności, czyli oderwaniu od rzeczywistości) nie zdawał sobie sprawy, że...

Co mówi maszynopis? Zaczął gorączkowo czytać, na co doktor Stone poklepał go po ramieniu i powiedział mu, że może sobie maszynopis zatrzymać. Stone odbił go w kilku egzemplarzach.

Oświecony, nieśmiertelny człowiek istniał przed stwórcą świata i ten oświecony, nieśmiertelny człowiek pojawi się wśród ludzi, których stworzył Samael. Ten oświecony, nieśmiertelny człowiek, który istniał przed stwórcą świata, rozdepcze ślepego, pierdolniętego, zbłąkanego stwórcę jak gliniane skorupy.

Dlatego spotkanie Grubasa z Bogiem, z prawdziwym Bogiem, odbyło się za pośrednictwem dzbanuszka Oh Ho, który dla niego zrobiła Stephanie.

– A więc mam rację w sprawie Nag Hammadi – powiedział do doktora.

– Sam pan wie najlepiej – odparł doktor Stone i powiedział coś, czego Grubas nigdy jeszcze od nikogo nie usłyszał. – To pan jest autorytetem.

Grubas uświadomił sobie, że Stone odbudował jego, Grubasa, życie duchowe. Stone go uratował, był wspaniałym psychiatrą. Wszystko, co Stone mówił lub robił, było podporządkowane leczeniu, miało cel leczniczy. Nieważne, czy treść informacji Stone'a była prawdziwa, czy nie. Od początku miał na celu przywrócenie Grubasowi wiary w samego siebie, która rozwiąła się po odejściu Beth i która rozwiąła się właściwie, kiedy nie udało mu się przed laty uratować życia Glorii.

Stone nie był szalony, Stone był lekarzem. Był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Zapewne wyleczył wielu ludzi na różne sposoby. Dostosowywał terapię do pacjenta, nie zaś pacjenta do terapii.

Niech mnie diabli, pomyślał Grubas.

Tym prostym zdaniem: „To pan jest autorytetem”, Stone zwrócił Grubasowi duszę.

Duszę, którą mu odebrała Gloria swoją obrzydliwą, chorą, psychologiczną grą w śmierć.

Oni, zwróćcie uwagę na to „oni”, płacili doktorowi Stone za wykrycie, co zniszczyło pacjenta przyjmowanego do kliniki. W każdym przypadku gdzieś kiedyś razono go pociskiem. Pocisk tkwił w nim i ból zaczynał się rozprzestrzeniać. Ból wypełniał go podstępnie, aż człowiek rozpadał się na pół, równo przez środek. Zadaniem personelu, a nawet innych pacjentów, było złożenie go z powrotem, ale nie można było tego osiągnąć, dopóki tkwił w nim pocisk. Pomniejsi lekarze jedynie zauważali pęknięcie i zaczynali składanie człowieka na powrót, ale nie potrafili znaleźć i usunąć pocisku. Fatalny pocisk wystrzelony od człowieka stanowił podstawę oryginalnego podejścia Freuda do osoby psychologicznie zranionej. Freud to rozumiał i nazywał to traumą. Później lekarzom znudziło się szukanie fatalnego pocisku, zajmowało to zbyt wiele czasu. Zbyt dużo należało wiedzieć na temat pacjenta. Doktor Stone miał paranormalny dar, jak

paranormalne było jego leczenie Bachem, oczywista lipa, pretekst, żeby wysłuchać pacjenta. Kwiat umoczony w rumie, nic więcej, bystry umysł słuchający, co pacjent ma do powiedzenia.

Doktor Leon Stone okazał się jednym z najważniejszych ludzi w życiu Grubasa. Żeby go spotkać, Grubas musiał prawie zabić się fizycznie, dostosowując się do swojej śmierci psychicznej. Czy o to chodzi, kiedy się mówi, że niezbadane są ścieżki Pańskie? Czy mógłby w inny sposób dotrzeć do Leona Stone'a? Mógł to osiągnąć jedynie przez jakiś desperacki akt w rodzaju próby samobójczej, autentycznie grożącej śmiercią. Grubas musiał umrzeć lub prawie umrzeć, żeby zostać wyleczony. Lub prawie wyleczony.

Ciekawe, gdzie praktykuje teraz Leon Stone. Ciekawe, jaki ma procent wyleczeń. Ciekawe, w jaki sposób doszedł do swoich paranormalnych zdolności. Zastanawiam się nad wieloma sprawami. Najgorsze wydarzenie w życiu Grubasa – to, że Beth odeszła, że zabrała Christophera, że Grubas usiłował popełnić samobójstwo – miały nieograniczenie dobroczynne skutki. Jeżeli oceniać ciąg wydarzeń na podstawie końcowych wyników, to dla Grubasa był to najlepszy okres w życiu. Opuścił klinikę tak silny, jak to tylko możliwe. Ostatecznie nikt nie ma nieograniczonej siły... Za każdą istotą, która biega, lata, skacze czy pełza, podąża ostateczna nemezis, przed nią nikt nie ujdzie, ona każdego w końcu dopadnie. Ale doktor Stone dał Grubasowi wiarę w siebie, brakujący element, odebrany mu na pół świadomie przez Glorię Knudson, która pragnęła pociągnąć za sobą jak najwięcej osób. „To pan jest autorytetem” powiedział Stone i wystarczyło.

Zawsze mówiłem, że dla każdego człowieka istnieje zbiór słów, zdanie, które może go zniszczyć. Kiedy Grubas opowiedział mi o Leonie Stone, zrozumiałem (zdarzyło się to w wiele lat po tym pierwszym zrozumieniu), że istnieje też inne zdanie, inny zbiór słów, mający moc leczenia. Jeżeli

człowiek ma szczęście, natrafi na to drugie zdanie, ale może być pewien, że zawsze natrafi na to pierwsze: tak to już działa. Ludzie potrafią sami z siebie, bez przygotowania, zastosować śmiertelne zdanie, ale trzeba wiedzy, żeby zastosować to drugie. Stephanie była bliska tego, kiedy zrobiła gliniany dzbanek Oh Ho i wręczyła go Grubasowi jako dar miłości, której nie umiała wyrazić słowami.

Skąd Stone, kiedy dawał Grubasowi maszynopis o tekstach z Nag Hammadi, wiedział o znaczeniu glinianego naczynia i garncarza dla Grubasa? Żeby to wiedzieć, musiałby być telepatą. Nie potrafię tego wyjaśnić. Grubas oczywiście potrafi. Wierzy, że Stephanie i doktor Stone są mikroformami Boga. Dlatego mówię, że Grubas jest prawie wyleczony, nie zaś, że jest wyleczony.

Jednak, uważając dobrych ludzi za mikroformy Boga, Grubas przynajmniej pozostawał w kontakcie z dobrym bogiem, a nie ze ślepym, okrutnym lub złym. Na ten punkt należy zwrócić uwagę. Grubas odnosił się do Boga z wielkim szacunkiem. Jeżeli Logos jest racjonalny i Logos równa się Bogu, to Bóg musi być racjonalny. Dlatego właśnie stwierdzenie Czwartej Ewangelii o identyczności Logosu jest tak ważne: *Kai theos en ho logos* czyli „i Bogiem było słowo”. W Nowym Testamencie Jezus powiada, że nikt nie oglądał Boga poza nim, to znaczy Jezusem Chrystusem, Logosem Czwartej Ewangelii. Jeżeli tak jest, to Grubas doświadczył spotkania z Logosem. Ale Logos jest Bogiem, więc doświadczyć Chrystusa to doświadczyć Boga. Ważniejsze może stwierdzenie znajduje się w księdze Nowego Testamentu, której większość ludzi nie czyta: czytają ewangelie i listy świętego Pawła, ale kto czyta I List Jana?

„Umiłowani, już teraz jesteśmy dziećmi Bożymi, a jeszcze się nie okazało, czym będziemy. Wiemy, że gdy się On ukáže, staniemy się do Niego podobni, ponieważ ujrzemy Go takim, jakim jest”.(J 3, 2)

Można toczyć spory, czy jest to najważniejsze stwierdzenie w Nowym Testamencie, ale bez wątpienia jest to najważniejsze z powszechnie nieznanych stwierdzeń. Staniemy się do Niego podobni. Znaczy to, że człowiek jest izomorficzny z Bogiem. Ujrzymy go takim, jakim jest. Nastąpi więc teofania, przynajmniej dla niektórych. Grubas mógł znaleźć w tym fragmencie uzasadnienie całego swojego spotkania. Mógł twierdzić, że jego spotkanie z Bogiem stanowiło wypełnienie obietnicy 1 Jan, 3,2, jak piszą bibliści rodzajem kodu, który oni odczytują błyskawicznie, mimo że wygląda to dość zagadkowo. Dziwne, ale w pewnym stopniu pasuje to do tekstu z Nag Hammadi, jaki doktor Stone wręczył Grubasowi w dniu jego wyjścia z kliniki. Człowiek i prawdziwy Bóg są tożsami – podobnie, jak Logos i prawdziwy Bóg – ale ślepy, oszalały stwórca i jego spieprzony świat oddzielają człowieka od Boga. To, iż ślepy stwórca faktycznie wyobraża sobie, że jest prawdziwym Bogiem, dowodzi tylko stopnia jego zaślepienia. To jest gnostycyzm. W gnostycyzmie człowiek jest z Bogiem przeciwko światu i jego stwórcy (który jest szalony wraz ze swoim światem, czy sobie z tego zdaje sprawę, czy nie). Na swoje pytanie: „Czy wszechświat jest irracjonalny, ponieważ kieruje nim irracjonalny umysł?” Grubas otrzymał za pośrednictwem doktora Stone’a odpowiedź: „Tak, wszechświat jest irracjonalny, umysł kierujący nim jest irracjonalny, ale ponad nimi znajduje się inny, prawdziwy Bóg i on nie jest irracjonalny”. W dodatku ten prawdziwy Bóg przechytrzył siły tego świata, przedarł się tutaj, żeby nam pomóc i znamy go jako „Logos”, który według Grubasa jest żywą informacją.

Możliwe, że nazywając Logos żywą informacją Grubas odkrył wielką tajemnicę. A może nie. Trudno czegoś dowieść w tego rodzaju sprawach. Kogo zapytać? Grubas, na szczęście, zapytał Leona Stone’a. A mógł

zapytać kogoś z personelu i do dzisiaj siedziałyby w klinice popijając kawę, czytając i przechadzając się z Dougiem.

Ponad wszystko inne, ponad wszelkie aspekty jego spotkania, najważniejsze było to, że Grubas stał się świadkiem dobroczynnej siły dokonującej inwazji na jego świat. Żadne inne określenie tu nie pasowało: dobroczynna siła, cokolwiek to było, dokonała inwazji na ten świat, jak mistrz szykujący się do walki. To przerażało Grubasa, lecz także budziło w nim radość, gdyż rozumiał, co to oznacza. Przybyła pomoc.

Nasz wszechświat może być irracjonalny, ale coś racjonalnego włąmało się do naszego wszechświata, jak złodziej, który włamuje się do śpiącego domu w niespodziewanym miejscu, w niespodziewanym czasie. Grubas to spostrzegł – nie dlatego, że było w nim coś nadzwyczajnego – ale dlatego, że to coś chciało, żeby on je zobaczył.

Normalnie to coś pozostawało zamaskowane. Kiedy się pojawiało, nikt nie potrafił odróżnić tego od tła, było wtopione w tło, jak Grubas trafnie to określił. Miał na to nazwę.

Zebra. Ponieważ łączyło się z tłem. Nazywa się to mimesis. Albo mimetyzm. Stosują to niektóre owady. Naśladują inne rzeczy: czasami inne jadowite owady, a czasami gałązki i temu podobne. Niektórzy biologowie i przyrodnicy spekulowali na temat możliwości istnienia wyższych form mimetyzmu, ponieważ formy niższe – to znaczy takie, które wprowadzają w błąd istoty, na które są ukierunkowane, ale nie nas – znajdujemy wszędzie wokół siebie.

A gdyby tak istniała wyższa forma świadomego mimetyzmu, której ludzie (poza nielicznymi wyjątkami) nie byliby w stanie wykryć? I gdyby mogła być wykryta tylko wówczas, kiedy sama chciałaby być wykryta? A więc właściwie wcale nie wykryta, gdyż w tej sytuacji to ona sama porzucałaby swoje zamaskowanie, żeby się ujawnić. „Ujawnienie” może w

tym przypadku znaczyć to samo co „teofania”. Zdumiona istota ludzka mówiłaby, że widziała Boga, podczas gdy w istocie widziałaby tylko wysoko rozwiniętą formę życia pozaziemskiego, która przybyła tutaj kiedyś w przeszłości... i może, jak spekulował Grubas, hibernowała przez blisko dwa tysiące lat w formie uśpionego ziarna żywej informacji w rękopisach z Nag Hammadi, co wyjaśniało, dlaczego doniesienia o jej istnieniu urwały się raptownie koło roku 70 A.D.

Zapis 33 w dzienniku Grubasa (czyli jego egzegezie):

Ta samotność, to cierpienie pozbawionego pary umysłu, jest odczuwana przez każdy składnik wszechświata. Wszystkie jego składniki są żywe. Dlatego starożytni greccy myśliciele byli hylozoistami.

Hylozoista wierzy, że wszechświat jest żywy. Jest to w przybliżeniu ta sama idea, co panpsychizm, twierdzący, że wszystko jest obdarzone duszą. Panpsychizm lub hylozoizm dzieli się na dwie podklasy:

1. Każdy przedmiot jest żywy z oddzielną.
2. Wszechświat jest żywą jednością z jednym umysłem.

Grubas znalazł swego rodzaju pośrednie wyjście. Wszechświat składa się z jednej rozległej, irracjonalnej całości, w której obręb wdarła się wysoko zorganizowana forma życia maskująca się za pomocą wymyślnej mimesis, dzięki czemu, jak długo chce, pozostaje w ukryciu. Naśladuje przedmioty i procesy (tak twierdzi Grubas). Nie tylko przedmioty, lecz także to, co przedmioty robią. Jak z tego widać, Grubas pojmuje Zebra jako coś bardzo dużego.

Po rocznym analizowaniu swojego spotkania z Zebra, czy Bogiem, czy Logosem, wszystko jedno, Grubas doszedł początkowo do wniosku, że to coś dokonało inwazji naszego wszechświata, a w rok później uświadomił

sobie, że to coś pochłania – inaczej mówiąc pożera – nasz wszechświat. Zebra dokonuje tego przez proces podobny do przemienienia. Na tym polega cud komunii, w której wino i chleb w niewidzialny sposób stają się krwią i ciałem Chrystusa.

Zamiast widzieć to w kościele, Grubas widział to w świecie, i nie w mikro-, ale w makropostaci, czyli innymi słowy w skali tak rozległej, że nie potrafił ocenić jej zakresu. Możliwe, że cały wszechświat przechodzi proces przemieniania się w Boga. A proces ten niesie z sobą nie tylko świadomość, lecz i zdrowie psychiczne. Dla Grubasa oznaczałoby to zbawczą ulgę. Zbyt długo godził się z szaleństwem zarówno w sobie, jak i w otaczającym go świecie. Nic nie mogło mu sprawić większej przyjemności.

Jeżeli Grubas był chory psychicznie, to musicie przyznać, że dziwna to choroba, która każe wierzyć, że było się świadkiem inwazji pierwiastka racjonalnego w obręb irracjonalnego. Jak coś takiego leczyć? Odesłać dotkniętego chorobą do punktu wyjścia? W takim przypadku zostanie odcięty od pierwiastka racjonalnego. Byłoby to bez sensu z punktu widzenia terapii. Byłoby to oksymoron, sprzeczność pojęciowa.

Ale odsłania się tutaj jeszcze głębszy problem semantyczny. Załóżmy, że ja albo Kevin mówimy do Grubasa: „Nie zetknąłeś się wcale z Bogiem. Zetknąłeś się tylko z czymś, co ma cechy, aspekty, naturę, potęgę, mądrość i dobroć Boga”. Jak w tym dowcipie na temat niemieckiej skłonności do piętrowych abstrakcji. Niemiecki autorytet w sprawach literatury angielskiej oświadcza: „*Hamlet* nie jest dziełem Szekspira. Został tylko napisany przez kogoś, kto nosił to samo nazwisko”.

– Widziałem Boga – mówi Grubas, a Kevin, ja i Sherri powiadamy: – Nie, ty widziałeś tylko coś podobnego do Boga. – I powiedziawszy to odchodzimy, nie czekając na odpowiedź, jak Piłat po drwiącym pytaniu „Cóż jest prawdą?”

Zebra wdarł się do naszego wszechświata i wstrzeliwując promień za promieniem nasyconego informacją kolorowego światła do mózgu Grubasa oślepił go, oszołomił, ogłuszył, wszystko mu popieprzył, ale i udzielił mu nieopisanej wiedzy. Na początek uratował życie jego synowi.

Ściślej mówiąc, Zebra nie przedarł się, żeby udzielić tej informacji, przedarł się już kiedyś wcześniej. Teraz natomiast wyszedł tylko z ukrycia, ujawnił się i przekazał informacje z szybkością nie poddającą się naszym obliczeniom; przekazywał mu treść całych bibliotek w nanosekundach. I robił to przez osiem godzin czasu rzeczywistego. A w jednej godzinie czasu rzeczywistego mieści się dużo nanosekund. Przy takiej błyskawicznej szybkości można naszpikować prawą półkulę ludzkiego mózgu gigantyczną ilością danych.

Paweł z Tarsu przeżył podobne doświadczenie. Dawno temu. Niechętnie na ten temat rozmawiał. Według jego własnego oświadczenia, znaczna część informacji wstrzelonej mu do głowy, prosto między oczy, w drodze do Damaszku, umarła wraz z nim, nie przekazana. Chaos panuje we wszechświecie, ale on wiedział, z kim rozmawia. Wspomniał o tym. Zebra przedstawił się także Grubasowi. Nazwał się „Świętą Zofią”, terminem nie znanym wówczas Grubasowi. „Święta Zofia” jest mało znaną hipostazą Chrystusa.

Ludzie i świat są dla siebie nawzajem toksyczni. Ale Bóg, prawdziwy Bóg, przeniknął jedno i drugie, przeniknął człowieka i przeniknął świat, wnosząc uspokojenie. Ale ten Bóg, Bóg z zewnątrz, napotyka zajadły opór. Liczne fałszerstwa, omamy, szaleństwa, maskują się przybierając postać swych lustrzanych przeciwieństw – udają zdrowie. Jednak maski z czasem opadają i szaleństwo ukazuje prawdziwe oblicze. Widok nie należy do przyjemnych.

Jest więc lekarstwo, ale jest i choroba. Jak powtarza obsesyjnie Grubas: „Imperium wcale się nie rozpadło”. W zaskakującej reakcji na kryzys prawdziwy Bóg naśladuje wszechświat, sam teren, na który dokonał inwazji: przybiera formę patyków, drzew i puszek od piwa w rynsztoku, udaje rozsypane śmieci, nie zauważane odpadki. Czając się, prawdziwy Bóg dosłownie zastawia pułapki na rzeczywistość i przy okazji na nas. Bóg, w istocie rzeczy, atakuje i rani nas w swojej roli antidotum. Grubas może potwierdzić, że nagły atak Żywego Boga jest przeżyciem mrozącym krew w żyłach. Stąd mówimy, że prawdziwy Bóg ma zwyczaj ukrywania się. Dwa i pół tysiąca lat minęło od czasu, gdy Heraklit napisał: „Ukryta struktura potężniejsza jest od jawnej”.

Zatem racjonalne leży niczym ziarno ukryte w irracjonalnej skorupie. Czemu służy ta irracjonalna skorupa? Spytajcie, co osiągnęła Gloria przez swoją śmierć. Nie w stosunku do samej siebie, ale w stosunku do tych, którzy ją kochali. Odpłaciła im za miłość... właśnie, czym? Złośliwością? Nie ma na to dowodu. Nienawiścią? Nie ma dowodu. Irracjonalnością? Tak, niewątpliwie. Jeżeli chodzi o skutki dla przyjaciół, takich jak Grubas, cel jej działania nie był oczywisty, ale był: cel bez celu, jeżeli jesteście w stanie coś takiego sobie wyobrazić. Jej motyw nie miał motywu. Mówimy o nihilizmie. Za wszystkim innym, nawet za samą śmiercią i wolą śmierci kryje się coś innego i tym czymś innym jest nic. Fundamentalną, najgłębszą warstwą rzeczywistości jest nierzeczywistość. Wszechświat jest irracjonalny, ponieważ został zbudowany nie na zwykłych lotnych piaskach, ale na tym, czego nie ma.

Nie pomagało to Grubasowi odpowiedzieć na następujące pytanie: Dlaczego Gloria odchodząc pociągnęła go, a w każdym razie zrobiła wszystko, co mogła, żeby go za sobą pociągnąć?

– Ty suko – mógłby spytać, gdyby ją mógł dopaść. – Wytłumacz mi, dlaczego. Dlaczego, psia mać, dlaczego?

Na co wszechświat odpowiedziałby dudniącym głosem:

– Moje drogi są niezbadane, o człowieku.

Co znaczyłoby: „Moje drogi nie mają sensu, podobnie jak drogi tych, którzy we mnie mieszkają”.

W tym momencie, w czasie wypisywania go z kliniki, Grubas na szczęście dla siebie nie znał jeszcze złej wiadomości nadciągającej wielkimi krokami. Nie mógł wrócić do Beth, do kogo więc miał wrócić, kiedy znajdzie się znów na wolności. W jego umyśle, podczas pobytu w klinice odwiedzała go wiernie Sherri, której rak się cofnął. Dzięki temu utrwalił sobie jej obraz i uwierzył, że jeżeli ma na świecie choć jednego prawdziwego przyjaciela, to jest nim Sherri Solvig. Jego plan rozblęsnął niczym jasna gwiazda – zamieszka z Sherri, podtrzymując ją na duchu w okresie jej remisji, a jeżeli choroba wróci, będzie się nią opiekował, tak jak ona nim podczas jego pobytu w klinice.

Okazało się, kiedy motor napędzający Grubasa został później ujawniony, że doktor Stone w żadnym sensie go nie wyleczył. Grubas tym razem podążał w stronę śmierci szybciej i z większą wprawą niż poprzednio. Stał się zawodowcem w poszukiwaniu cierpienia, poznał reguły gry i umiał je stosować. Grubas w swoim szaleństwie, którym się zaraził od szalonego wszechświata (sam doszedł do stwierdzenia tego szaleństwa), szukał kogoś, kto sam chciał umrzeć i chciałby pociągnąć go za sobą. Gdyby przejrzał swój notes z adresami, nie znalazłby stosowniejszej osoby niż Sherri. – Brawo, Grubasie – powiedziałbym mu, gdybym wiedział, jak sobie zaplanował przyszłość. – Tym razem ci się udało. – Znałem Sherri i wiedziałem, że poświęca całą energię na szukanie sposobu utraty remisji. Poznawałem to po tym, jak ziała nienawiścią do

lekarzy, którzy ją ratowali. Ale nie znałem planów Grubasa. Grubas trzymał je w tajemnicy, nawet przed Sherri. Będę jej pomagać, mówił Grubas sam do siebie. Będę jej pomagał utrzymać się w zdrowiu, a jeżeli znów się rozchoruje, będę przy niej, gotów zrobić dla niej wszystko.

Jego błąd, jeśli go zanalizować, sprowadzał się do tego: Sherri nie tylko planowała dla siebie nawrót choroby, ale – podobnie jak Gloria – chciała za sobą pociągnąć jak największą liczbę ludzi – w prostej proporcji do tego, jak bardzo ją kochali. Grubas ją kochał i, co gorsza, poczuwał się do wdzięczności w stosunku do niej. Z tej gliny Sherri mogła ulepić za pomocą swojego zwichrowanego koła garncarskiego, którego używała jako mózgu, naczynia mające zniszczyć to, co osiągnął Leon Stone, Stephanie i Bóg. Sherri miała w swoim osłabionym ciele więcej siły niż wszystkie te istoty razem wzięte, łącznie z Żywym Bogiem.

Grubas postanowił związać się z Antychrystem. I to wychodząc z najszlachetniejszych pobudek: z miłości, wdzięczności i pragnienia niesienia pomocy.

To jest właśnie to, czym żywią się moce piekielne – najwyższymi instynktami w człowieku.



Sherri Solvig była biedna i mieszkała w małym, obskurnym pokoiku bez kuchni. Musiała zmywać naczynia w umywalce. Na suficie widniała wielka plama, odkąd piętro wyżej zatkał się ustęp. Będąc u niej kilkakrotnie, Grubas znał to mieszkanie i uważał, że jest ono przygnębiające. Miał uczucie, że gdyby Sherri przeprowadziła się do ładnego, nowoczesnego mieszkania z kuchnią, jej nastrój zmieniłby się na lepsze.

Grubasowi nigdy naturalnie nie przyszło do głowy, że Sherri szukała podobnej siedziby. Ponure otoczenie było rezultatem, nie zaś przyczyną jej nastroju. Potrafiła odtworzyć takie warunki wszędzie, gdzie zamieszkała, o czym Grubas miał się jeszcze przekonać.

W tym czasie jednak Grubas nastawił swoją umysłową i fizyczną linię produkcyjną na wytwarzanie nieskończonej serii dobrych uczynków dla osoby, która przed wszystkimi innymi osobami odwiedziła go na oddziale intensywnej terapii, a później w klinice psychiatrycznej. Sherri posiadała oficjalne dokumenty stwierdzające, że jest chrześcijanką. Dwa razy w tygodniu przystępowała do komunii i planowała wstąpienie do klasztoru. Była też po imieniu ze swoim księdzem. Nie można już bardziej zbliżyć się do pobożności.

Kilkakrotnie Grubas wspominał Sherri o swoim spotkaniu z Bogiem. Nie zrobiło to na niej wrażenia, gdyż Sherri Solvig wierzyła, że Boga spotyka się tylko przez pośredników. Ona miała dostęp do tych pośredników, czyli do księdza Larry'ego.

Pewnego razu Grubas przeczytał Sherri fragmenty z Britannici o „sekrete mesjańskim” u Marka i Mateusza, o hipotezie, że Chrystus maskował swoje nauki w formie przypowieści, aby rzesze, to jest nie wtajemniczeni, nie rozumieli go i nie mogli zostać zbawieni. Chrystus według tego poglądu przewidywał zbawienie wyłącznie dla swojej nielicznej gromadki. Britannica otwarcie to rozważała.

– To bzdura – powiedziała Sherri.

– Chcesz powiedzieć, że Britannica się myli, czy też, że Biblia się myli?

– spytał Grubas. – Britannica tylko...

– W Biblii tego nie ma – powiedziała Sherri, która bez przerwy czytała Biblię, a w każdym razie nigdy się z nią nie rozstawała.

Grubas stracił kilka godzin na znalezienie odpowiedniego cytatu u Łukasza i wreszcie mógł go podsunąć pod nos Sherri.

„I pytali go uczniowie jego, co by to za podobieństwo było. Którym on rzekł: Wam dano jest wiedzieć tajemnice królestwa Bożego, a innym przez podobieństwo, aby widząc nie widzieli, a słysząc nie rozumieli”. (Łukasz, 8,9–10)

– Spytam Larry’ego, czy to jest jeden ze zniekształconych fragmentów Biblii – powiedziała Sherri.

Wkurzony Grubas powiedział ze złością:

– Sherri, może byś tak wycięła sobie wszystkie fragmenty Biblii, z którymi się zgadzasz i skleila je razem. Nie musiałabyś przejmować się wtedy resztą.

– Nie bądź taki dowcipny – odpowiedziała Sherri, wieszając sukienki w swojej ciasnej szafie.

Mimo to Grubas wyobrażał sobie, że w zasadzie łączy go z Sherri bardzo wiele. Byli zgodni co do tego, że Bóg istnieje, że Chrystus umarł dla zbawienia ludzi i że ludzie, którzy w to nie wierzą, nie wiedzą, na jakim świecie żyją. Grubas wyznał jej, że widział Boga, co Sherri przyjęła ze spokojem (akurat wtedy prasowała).

– To się nazywa teofania – powiedział Grubas. – Albo epifania.

– Epifania – odparła Sherri, dostosowując głos do powolnego rytmu prasowania – to święto obchodzone szóstego stycznia na pamiątkę chrztu Chrystusa. Zawsze wtedy chodzę do kościoła. Powinieneś też pójść. To bardzo miłe święto. Wiesz, słyszałam dziś taki kawał – trajkotała.

Grubas był zbity z tropu. Postanowił zmienić temat. Sherri opowiadała teraz, jak to Larry, który dla Grubasa był ojcem Minterem – wylał sakramentalne wino za dekolt klęczącej komunikantki.

– Czy myślisz, że Jan Chrzciciel był eseńczykiem? – spytał Grubas.

Sherri Solvig za nic w świecie nie przyznałaby, że nie zna odpowiedzi na teologiczne pytanie. W najgorszym razie mówiła „Spytam Larry’ego”. Teraz odpowiedziała spokojnie:

– Jan Chrzciciel był Eljaszem, który wrócił przed przyjściem Chrystusa. Pytano o to Chrystusa i odpowiedział, że Jan Chrzciciel był zapowiedzianym Eljaszem.

– Tak, ale czy był eseńczykiem?

Przerwawszy na chwilę prasowanie, Sherri powiedziała:

– Czy eseńczycy nie mieszkali nad Morzem Martwym?

– W Qumran.

– Czy twój przyjaciel biskup Pike nie zginął nad Morzem Martwym?

Grubas znał Jima Pike’a, o czym z dumą opowiadał pod lada pretekstem.

– Tak – potwierdził. – Jim i jego żona pojechali na Pustynię Judejską fordem cortiną. Mieli ze sobą dwie butelki coli, to wszystko.

– Mówiłeś mi – powiedziała Sherri wracając do prasowania.

– Jednego nie mogę zrozumieć – ciągnął Grubas. – Dlaczego nie pili wody z chłodnicy. Tak się zawsze robi, kiedy samochód się zepsuje i utknie się na pustyni. – Grubas latami głowił się nad śmiercią Jima Pike’a. Wyobrażał sobie, że jest ona w jakiś sposób związana z zamordowaniem Kennedych i pastora Kinga, ale nie miał na to żadnych dowodów.

– Może mieli w chłodnicy płyn niezamarzający? – powiedziała Sherri.

– Na Pustyni Judejskiej?

– Mój samochód mi nawala – powiedziała Sherri. – Na stacji benzynowej twierdzili, że oblużowały się uszczelki. Czy to coś poważnego?

– Nie wiem – powiedział Grubas, chcąc nadal rozprawiać na temat Jima Pike’a, nie zaś na temat rozsypującej się landary Sherri. Zastanawiał się, jak

wrócić do tematu zagadkowej śmierci swego przyjaciela, ale nie potrafił nic wymyślić.

– Cholera z tym samochodem – powiedziała Sherri.

– Nie kosztował cię ani grosza, facet ci go podarował.

– Nie kosztował mnie? Mam poczucie, że to on mi powinien dopłacić za pozbycie się tego cholernego grata.

– Przypomnij mi, żebym ci nigdy nie dawał w prezencie samochodu – powiedział Grubas.

Tego dnia miał przed sobą wszystkie ostrzeżenia jak na dłoni. Jeżeli zrobiło się dla Sherri coś, za co według niej powinna odczuwać wdzięczność – a wdzięczności nie czuła – to interpretowała to jako ciężar, jako dokuczliwy obowiązek. Grubas jednak miał na to przygotowane wyjaśnienie, które od razu zaczął stosować. Wszystko, co robił dla Sherri, robił bezinteresownie, ergo nie oczekiwał wdzięczności. Ergo, jeżeli nie spotykał się z wdzięcznością, to wszystko było w porządku.

Grubas nie zauważył jednak, że nie tylko nie spotyka się z wdzięcznością (na co był psychicznie przygotowany), ale wręcz z jawną wrogością. Wszelkie objawy tego spisywał na zwykłą drażliwość, formę zniecierpliwienia. Nie mógł uwierzyć, że ktoś może odpłacać wrogością za pomoc. I dlatego odrzucał świadectwo zmysłów.

Pewnego razu, kiedy miałem wykłady na Uniwersytecie Kalifornijskim w Fullerton, student zażądał ode mnie krótkiej, prostej definicji rzeczywistości. Zastanowiłem się i powiedziałem: „Rzeczywistość to jest coś, co nie znika, kiedy przestaje się w to wierzyć”.

Grubas nie wierzył, że Sherri odpłaca wrogością za pomoc. Ale fakt, że on w to nie wierzył, niczego nie zmieniał. Zatem jej reakcja mieściła się w ramach tego, co nazywamy „rzeczywistością”. Grubas, chcąc nie chcąc, musiał jakoś ten problem rozwiązać, albo przestać spotykać się z Sherri.

Faktyczną motywacją pociągu, jaki zrodził się w głowie Grubasa do Sherri, było jego nakierowanie na śmierć, które zaczęło się od Glorii. Jednak wyobrażając sobie, że doktor Stone go wyleczył, Grubas popłynął w świat z nową nadzieją, sterując nieomylnie ku szaleństwu i śmierci, niczego się nie nauczywszy. To prawda – że pocisk został z jego ciała usunięty i rana się zaleczyła. Ale Grubas był gotów na następny pocisk, prosił się o następny. Nie mógł się doczekać, żeby zamieszkać z Sherri i zacząć jej pomagać.

Jak może pamiętacie, pomaganie ludziom było jedną z dwóch najważniejszych rzeczy, z których Grubasowi kazano zrezygnować. Z pomagania ludziom i zażywania narkotyków. Przestał wprowadzić zażywać narkotyki, ale za to całą energię i zapał skierował na ratowanie ludzi.

Lepiej by się trzymał narkotyków.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Machina rozwodowa wypuła Grubasa jako człowieka wolnego, który miał pełną swobodę działania na swoją zgubę. Nie mógł się wprost doczekać, kiedy będzie mógł zacząć.

Na razie rozpoczął leczenie za pośrednictwem Towarzystwa Zdrowia Psychicznego Hrabstwa Orange. Wyznaczyli mu terapeutę nazwiskiem Maurice. Maurice nie był jakimś tam pierwszym lepszym terapeutą. W latach sześćdziesiątych przemycał do Kalifornii broń i narkotyki, korzystając z portu Long Beach, należał do SNCC i CORE i walczył jako izraelski komandos przeciwko Syrii. Maurice miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i koszula niemal pękała w szwach na jego mięśniach. Podobnie jak Koniolub Grubas, miał czarną kędzierzawą brodę. Zazwyczaj stał na wprost Grubasa, po drugiej stronie pokoju, i krzyczał na niego, punktując swoje napomnienia niezmiennym: „Mówię poważnie”. Grubas nigdy nie miał wątpliwości co do tego, że Maurice mówi poważnie, ale nie to było tematem ich rozmów.

Generalny plan Maurice'a polegał na tym, żeby odwieść go od pomagania ludziom i zmusić do cieszenia się życiem. Grubas nie rozumiał, co to jest radość, on szukał sensu. Na początku Maurice kazał mu spisać listę dziesięciu rzeczy, których chce najbardziej.

Słowo „chcieć”, tak jak w „chcieć coś zrobić”, sprawiało Grubasowi kłopot.

– Chcę pomóc Sherri – powiedział. – Żeby się znów nie rozchorowała.

– Myślisz, że powinieneś jej pomóc – ryknął Maurice. – Myślisz, że to zrobi z ciebie dobrego człowieka. Nic nigdy nie zrobi z ciebie dobrego człowieka. Nie jesteś nic wart dla nikogo.

Grubas zaprotestował bez przekonania.

– Jesteś nic niewart – powiedział Maurice.

– To ty jesteś gównem wart – odparł Grubas, wywołując uśmiech Maurice'a. Sprowokował reakcję, o którą mu chodziło.

– Posłuchaj mnie – ciągnął Maurice – mówię poważnie. Popał sobie marihuany i przeleć jakąś babę z dużymi cyckami, a nie taką, która umiera. Wiesz przecież, że Sherri umiera, prawda? Ona umrze i co wtedy zrobisz? Wrócisz do Beth? Ona próbowała cię zabić.

– Naprawdę? – zdziwił się Grubas.

– Oczywiście. Zastawiła na ciebie pułapkę. Wiedziała, że jeżeli zabierze syna i odejdzie, spróbujesz się wykończyć.

– Cóż – powiedział Grubas częściowo zadowolony. Znaczyło to, że nie jest paranoikiem. W głębi serca wiedział, że jego próba samobójcza została sprowokowana przez Beth.

– Kiedy Sherri umrze – mówił Maurice – ty też umrzesz. Chcesz umrzeć? Mogę ci to załatwić. – Spojrzał na swój wielki zegarek pokazujący wszystko włącznie z pozycją gwiazd. – Zaraz, jest wpół do trzeciej. Może dziś o szóstej?

Grubas nie był pewien, czy Maurice mówi serio. Ale wierzył, że potrafiłby to zrobić.

– Posłuchaj – powiedział Maurice – mówię poważnie. Są łatwiejsze sposoby odejścia z tego świata niż to, co ty wymyśliłeś. Robisz to najgorzej jak można. Wykoncypowałeś sobie, że Sherri umrze i będziesz miał kolejny pretekst do samobójstwa. Nie potrzebujesz żadnego pretekstu: rozstania z żoną i synem, śmierci Sherri. Śmierć Sherri jest najlepszym wyjściem. W swoim współczuciu i miłości dla niej...

– Ale kto mówi, że Sherri umrze? – przerwał mu Grubas. Wierzył, że za pomocą swoich magicznych właściwości potrafi ją uratować, właściwie to było podstawą całej jego strategii.

Maurice zignorował jego pytanie.

– Dlaczego chcesz umrzeć? – spytał.

– Wcale nie chcę – odparł Grubas, szczerze wierząc w to, co mówi.

– A gdyby Sherri nie miała raka, to chciałbyś z nią zamieszkać? – Maurice nie doczekał się odpowiedzi, głównie dlatego, że Grubas musiał przyznać się w duchu, że nie, nie chciałby. – Dlaczego chcesz umrzeć? – powtórzył Maurice.

– Cóż – powiedział Grubas niepewnie.

– Czy jesteś złym człowiekiem?

– Nie – zaprzeczył Grubas.

– Czy ktoś każe ci umrzeć? Jakiś głos? Czy ktoś wyświetla ci słowo „umrzyj”?

– Nie.

– Czy twoja matka chciała, żebyś umarł?

– Odkąd Gloria...

– Do dupy z Gloria. Kto to jest Gloria? Nawet z nią nigdy nie spałeś. Nawet jej nie znałeś. Już wcześniej szykowałeś się do śmierci. Nie wciskaj

mi tu kitu. – Maurice jak zwykle zaczął wrzeszczeć. – Jak chcesz pomagać ludziom, to jedź do Los Angeles i pomóż katolikom rozdawać zupę, albo przekaz tyle pieniędzy, ile tylko możesz na CARE.* [przyp.: Organizacja pomocy działająca również w Polsce.] Niech ludziom pomagają specjaliści. Oszukujesz siebie, że Gloria coś dla ciebie znaczyła, że ta, jak jej tam... Sherri nie umrze... oczywiście, że umrze. Dlatego chcesz z nią zamieszkać, żeby tam być, kiedy ona umrze. Ona chce cię pociągnąć za sobą i ty też tego chcesz, to jest zmowa między wami. Każdy, kto wchodzi przez te drzwi, chce umrzeć. Na tym właśnie polega choroba umysłowa. Nie wiedziałeś tego? To ci mówię. Chętnie bym ci pottrzymał głowę pod wodą, aż zaczniesz walczyć o życie. Gdybyś nie walczył, to do widzenia. Chciałbym, żeby mi na to pozwolono. Ta twoja przyjaciółka od raka dostała go umyślnie. Rak to umyślnie wyłączenie systemu odpornościowego organizmu. Z powodu straty, straty kogoś bliskiego. Widzisz, jak zaraźliwa jest śmierć? Wszyscy mają w sobie komórki rakowe, ale ich system odpornościowy radzi sobie z nimi.

– Ona miała przyjaciela, który zmarł – przyznał Grubas. – Podczas ataku grand mal.* [przyp.: Dosł. „wielka choroba”. Epilepsja (przyp. tłum.).] A jej matka umarła na raka.

– Więc Sherri czuła się winna, bo umarł jej przyjaciel i matka. Ty poczuwasz się do winy, ponieważ umarła Gloria. Dla odmiany weź wreszcie odpowiedzialność za swoje własne życie. Twoim obowiązkiem jest obrona samego siebie.

– Moim obowiązkiem jest pomóc Sherri – powiedział Grubas.

– Zobaczmy twoją listę. Mam nadzieję, że przygotowałeś tę listę?

Wręczając mu listę dziesięciu rzeczy, które chciałby zrobić, Grubas zapytywał się, czy ten Maurice ma wszystko po kolei. Przecież Sherri wcale

nie chciała umierać, z uporem i odwagą walczyła o życie, przetrzymała nie tylko raka, ale i chemioterapię.

– Chcesz się przespacerować po plaży w Santa Barbara – powiedział Maurice, odczytując listę. – To jest numer jeden.

– Czy coś w tym złego? – spytał Grubas.

– Nie, skąd. A dlaczego tego nie zrobisz?

– Spójrz na numer dwa – powiedział Grubas. – Muszę mieć do towarzystwa piękną dziewczynę.

– Weź Sherri – powiedział Maurice.

– Ona... – zawahał się. Prawdę mówiąc, zaprosił Sherri, żeby pojechała z nim na weekend do Santa Barbara, do jednego z luksusowych nadmorskich hoteli. Odpowiedziała, że nie może ze względu na swoją pracę w kościele.

– Nie chciała pojechać – dokończył za niego Maurice. – Jest zbyt zajęta. Czym?

– Kościołem.

Wymienili spojrzenia.

– Jej życie niewiele się zmieni, kiedy choroba powróci – powiedział Maurice po chwili. – Czy ona opowiada o swoim raku?

– Tak.

– Ekspedientkom w sklepie? Każdemu, kogo spotka?

– Tak.

– Okay, w takim razie jej życie się zmieni, będzie napotykać więcej objawów sympatii. Będzie się lepiej czuła.

– Kiedyś powiedziała mi... – zaczął Grubas z trudnością. Ledwo mógł to z siebie wydusić – że rak jest najlepszą rzeczą, jaka jej się w życiu zdarzyła. Bo od tego czasu...

– Rząd federalny zaczął jej płacić?

Grubas kiwnął głową.

– I nigdy już nie będzie musiała pracować. Pewnie nadal pobiera zasiłek, chociaż choroba się cofnęła.

– Tak – przyznał Grubas ponuro.

– Prędzej czy później zostanie to wykryte. Sprawdzą u jej lekarza i będzie musiała pójść do pracy.

– Nikt jej nie przyjmie – powiedział Grubas zimno.

– Przecież ty jej nienawidzisz – stwierdził Maurice. – A co gorsza, nie masz dla niej za grosz szacunku. To szachrajka, kombinatorka. Ciebie też obrabia, uczuciowo i finansowo. Utrzymujesz ją, prawda? Pobiera też zasiłek. To jest szantaż, rakowy szantaż, a ty jesteś jego ofiarą. – Maurice przyjrzał mu się surowo. – Czy wierzysz w Boga? – spytał nagle.

Z tego pytania możecie wywnioskować, że w czasie sesji terapeutycznych z Maurice'em Grubas powstrzymywał się od gadania o Bogu. Nie chciał ponownie wylądować na Oddziale Północnym.

– W pewnym sensie – odpowiedział. W tej sprawie nie potrafił jednak kłamać, musiał rzecz uściślić. – Mam własną koncepcję Boga – powiedział. – Opartą o moje własne... – zawahał się, dostrzegając pułapkę, którą budował z własnych słów, pułapkę najeżoną drutem kolczastym. – ... przemyślenia – dokończył.

– Czy to jest dla ciebie temat drażliwy? – spytał Maurice.

Grubas nie mógł przewidzieć, co się kryje za tym pytaniem. Nie miał dostępu do swojej kartoteki na Oddziale Północnym, nie wiedział, co ona zawiera i czy Maurice ją zna.

– Nie – powiedział.

– Czy wierzysz, że człowiek jest stworzony na obraz Boga?

– Tak.

– Czy samobójstwo nie jest w związku z tym obrazą Boga? – krzyczał Maurice. – Czy kiedyś o tym myślałeś?

– Myślałem o tym – powiedział Grubas. – Myślałem o tym bardzo dużo.

– Tak? No i co wymyśliłeś? Pozwól, że ci przypomnę, co na ten temat mówi Księga Rodzaju, na wypadek, gdybyś zapomniał. „A wreszcie rzekł Bóg: uczynimy człowieka na Nasz obraz, podobnego Nam. Niech panuje nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym, nad bydłem...”

– W porządku – przerwał mu Grubas – ale to jest demiurg, a nie prawdziwy Bóg.

– Co? – spytał Maurice.

– To jest Valdabaoth, czasami zwany Samaelem, ślepym bogiem. On jest niespełna rozumu.

– Co ty do diabła pleciesz? – powiedział Maurice.

– Valdabaoth jest potworem zrodzonym przez Zofię, która wypadła z Pleromy* [przyp.: Pełnia mistyczna (przyp. tłum.).] – wyjaśnił Grubas. – On sobie wyobraża, że jest jedynym bogiem, ale się myli. Jest kaleki i nie widzi. Tworzy nasz świat, ale przez swoją ślepotę spaprał robotę. Prawdziwy Bóg patrzy na nas z góry i zdjęty litością postanawia nas wybawić. Odbłyśki światła Pleromy...

– Kto to wymyślił? – spytał Maurice, wpatrując się w niego. – Ty?

– Zasadniczo – powiedział Grubas – stoję na gruncie walentynizmu, drugi wiek en e.

– Co to jest en e?

– Nasza era. Skrót zastępujący Anno Domini. Gnostycyzm Walentyna jest bardziej wyrefinowaną odmianą, w przeciwieństwie do irańskiej, która, oczywiście, uległa silnym wpływom dualizmu zaratustrańskiego. Walentyn rozumiał ontologicznie zbawczą rolę gnozy jako odwrócenie pierwotnej niewiedzy, która reprezentuje stan upadku, okaleczenie bóstwa, z którego

wynika nieudane stworzenie świata fenomenalnego czy materialnego. Prawdziwy Bóg, który jest całkowicie transcendentny, nie stworzył naszego świata. Widząc jednak, co zrobił Valdabaoth...

– Kto to jest ten Valdabaoth? Świat stworzył Jehowa! Tak mówi Biblia!

– Demiurg wyobraził sobie, że jest jedynym bogiem – ciągnął Grubas. – Dlatego był zazdrosny i powiedział „Nie będziesz miał cudzych bogów obok Mnie”, na co...

– Czyś ty nie czytał Biblii?! – krzyknął Maurice.

Po chwili milczenia Grubas spróbował innego podejścia. Wyraźnie miał do czynienia z religijnym bęcwałem.

– Posłuchaj – powiedział najspokojniej, jak to było możliwe. – Istnieje parę opinii na temat stworzenia świata. Jeżeli uważasz świat za czyjeś dzieło, co wcale nie musi być słuszne, bo może on być organizmem, jak uważali starożytni Grecy, to i tak nie możesz dojść logicznie do osoby jednego Stwórcy, mogło być wielu stwórców w różnych czasach. Tak twierdzą buddyjscy idealisci. Ale nawet jeżeli...

– Ty nigdy nie czytałeś Biblii – stwierdził Maurice z niedowierzaniem. – Wiesz, co zrobisz? Mówię poważnie. Chcę, żebyś poszedł do domu i zajął się czytaniem Biblii. Chcę, żebyś przeczytał Księgę Rodzaju dwa razy. Słyszysz mnie? Dwa razy. Uważnie. I chcę, żebyś przedstawił na piśmie zarys najważniejszych idei i wydarzeń w niej zawartych, w kolejności od najważniejszego. Kiedy przyjdiesz tutaj za tydzień, będę chciał zobaczyć tę listę. – Widać było, że jest autentycznie wściekły.

Poruszenie tematu Boga nie było dobrym pomysłem, ale Maurice nie mógł tego wiedzieć. Chciał tylko odwołać się do etyki Grubasa. Jako żyd Maurice zakładał, że religia i etyka są nierozdzielne, ponieważ są połączone w hebrajskim monoteizmie. Zasady etyczne Mojżesz otrzymał

bezpośrednio od Jehowy, każdy to wie. Każdy oprócz Konioluba Grubasa, którego problem w danym momencie polegał na tym, że wiedział za dużo.

Dyszając ciężko Maurice zaczął wertować swój notes z zapisem przyjęć. Likwidując syryjskich terrorystów nie patrzył na kosmos jak na wyposażoną w świadomość entelechię, makrokosmiczne odbicie ludzkiego mikrokosmosu.

– Powiem jeszcze tylko jedno – odezwał się Grubas.

Maurice, nadal rozzłoszczony, skinął głową.

– Nasz demiurg jest, być może, szalony i dlatego nasz wszechświat jest szalony. To, co odbieramy jako chaos, jest w istocie irracjonalnością, a to jest różnica – powiedział Grubas i zamilkł.

– Wszechświat ma taki sens, jaki my mu nadamy – powiedział Maurice.

– Liczy się to, co z nim robimy. Twoim obowiązkiem jest zrobić coś, co służy życiu, a nie coś, co je niszczy.

– To jest stanowisko egzystencjalne – powiedział Grubas – wychodzące z założenia, że jesteśmy tym, co robimy, nie zaś tym, co myślimy. Znalazło ono swój pierwszy wyraz w *Fauście* Goethego Część Pierwsza, gdzie Faust mówi: „Im Anfang war das Wort”. Cytuje początek Ewangelii według świętego Jana: „Na początku było Słowo”. Faust mówi dalej: „Nein. Im Anfang war die Tat”. „Na początku był czyn”. Z tego wyrasta cały egzystencjalizm.

Maurice patrzył na niego jak na karalucha.



Jadąc do swojego nowoczesnego mieszkania z dwiema sypialniami i dwiema łazienkami w centrum Santa Ana, apartamentu z zabezpieczonymi drzwiami z budynku z elektryczną bramą, podziemnym parkingiem, z

telewizyjnym podglądem głównego wejścia, gdzie mieszkał z Sherri, Grubas uświadomił sobie, że został zdegradowany z rangi autorytetu z powrotem do skromnej roli osobnika stukniętego. Maurice, starając się mu pomóc, przypadkiem zburzył Grubasowi jego basztę obronną.

Z drugiej jednak strony, mieszkał teraz w tym nowym domu, bezpiecznym jak forteca, bezpiecznym jak więzienie, posadowione w samym środku meksykańskiego barrio. Żeby otworzyć bramę do podziemnego garażu, należało mieć magnetyczną kartę komputerową. To podbudowywało mizerne morale Grubasa. Ponieważ jego mieszkanie mieściło się na ostatnim piętrze, mógł dosłownie spoglądać z góry na całe Santa Ana i wszystkich tych biedniejszych ludzi, których po nocach obrabiali pijacy i narkomani. W dodatku, co ważniejsze, miał przy sobie Sherri. Gotowała znakomite posiłki, choć on musiał zmywać i robić zakupy. Ona nie robiła żadnej z tych rzeczy. Dużo szyła i prasowała, jeździła załatwiać sprawy, rozmawiała przez telefon z dawnymi koleżankami ze szkoły oraz informowała Grubasa o sprawach kościelnych.

Nie mogę ujawnić nazwy kościoła Sherri, bo on naprawdę istnieje (cóż, Santa Ana też), użyję więc nazwy, którą stosowała Sherri: warsztat Jezusa. Przez pół dnia siedziała za biurkiem w parafii, gdzie podlegały jej programy pomocy. Rozdzielała żywność, zasiłki na mieszkanie, porady, jak korzystać z opieki społecznej i oddzielała ćpunów od normalnych ludzi.

Sherri pogardzała narkomanami i miała po temu powody. Codziennie zjawiali się z jakimś nowym łgarstwem. Najbardziej wściekało ją nie tyle to, że wyłudzały od kościoła pieniądze, żeby sobie strzelić w żyłę, co to, że się tym potem przechwalali. Ponieważ jednak wśród ćpunów nie ma żadnej lojalności, zazwyczaj więc ktoś donosił na tego, który wyłudził pieniądze, a potem się tym chwalił. Sherri wciągała ich nazwiska na „listę śmieci”. Zwykle wracała z kościoła pieniąc się na temat panujących tam warunków,

a zwłaszcza tego, co powiedzieli lub zrobili różni zbrodniarze i narkomani, i jak to Larry, czyli pastor, nie reagował.

Po tygodniu życia z Sherri Grubas dowiedział się o niej dużo więcej niż po trzech latach ich przyjaźni, kiedy spotykali się towarzysko. Sherri nienawidziła wszystkich istot na ziemi, w kolejności ich bliskości do niej, to znaczy, im więcej miała z kimś lub z czymś do czynienia, tym bardziej tego kogoś czy czegoś nienawidziła. Wielkie erotyczne zauroczenie jej życia przybrało postać jej pastora Larry'ego. Podczas najcięższych dni, kiedy dosłownie umierała na raka, powiedziała, że jej największym pragnieniem jest pójść z nim do łóżka, na co Larry odpowiedział (to zastanowiło Grubasa, bo uważał, że nie jest to odpowiedź właściwa), że on, Larry, nigdy nie miesza życia towarzyskiego z pracą. (Larry był żonaty, miał troje dzieci i wnuka.) Sherri nadal go kochała i nadal chciała z nim pójść do łóżka, ale wiedziała, że nic z tego nie będzie.

Z drugiej strony, pewnego razu, kiedy mieszkała u swojej siostry, albo mówiąc jej słowami, kiedy umierała u swojej siostry, ojciec Larry przyjechał, żeby odwiedzić ją do szpitala. Kiedy ją wziął na ręce, pocałował ją, a on całował ją po francusku. Sherri wielokrotnie opowiadała o tym Grubasowi. Wspominała tę chwilę z rozmarzeniem.

– Kocham cię – poinformowała Grubasa pewnego wieczoru – ale tak naprawdę kocham Larry'ego, bo mnie uratował, kiedy byłam umierająca.

Grubas wkrótce wyrobił sobie opinię, że w kościele dla Sherri religia była sprawą uboczną. Centrum uwagi zajmowało tam odpowiadanie na telefony i wysyłka paczek. Straszyla w tym kościele pewna liczba nieokreślonych osobników, którzy, jeżeli chodzi o Grubasa, mogli się nazywać Larry, Moe czy Curly i którzy brali pensje większe niż Sherri, za znacznie mniejsze obowiązki. Sherri życzyła im wszystkim śmierci. Często mówiła z radością o ich kłopotach, kiedy na przykład ich samochody nie

chciały zapalić, albo dostali mandaty za przekroczenie szybkości, albo ojciec Larry wyraził im swoje niezadowolenie.

– Eddy zostanie wywalony na zbity pysk – mówiła Sherri wróciwszy do domu. – Dobrze tak temu gnojkwowi.

Jeden z nędzarzy chronicznie działał Sherri na nerwy. Był to niejaki Jack Barbina, który, jak twierdziła, przynosił jej prezenty wygrzebane ze śmietnika. Jack Barbina nachodził ją, kiedy była sama w kancelarii i wręczał jej na przykład napoczętą paczkę daktyli wraz z ambarasującym listem wyrażającym pragnienie nawiązania romansu. Sherri zakwalifikowała go jako niebezpiecznego wariata w dniu, kiedy go zobaczyła i odtąd żyła w strachu, że ją kiedyś zamorduje.

– Zadzwoń po ciebie, kiedy przyjdzie następnym razem – powiedziała do Grubasa. – Nie zostanę tam z nim sam na sam. W całym funduszu dyspozycyjnym biskupa nie ma dość pieniędzy, żeby mi zapłacić za znoszenie widoku Jacka Barbiny, a tym bardziej nie będę tego robić za to, co mi płacą, a to jest połowa tego, co dostaje ten pedzio Eddy. – Dla Sherri świat dzielił się na obiboków, wariatów, ćpunów, homoseksualistów i fałszywych przyjaciół. Nie przepadała też za Meksykanami i czarnymi. Grubasa zadziwiał w niej całkowity brak chrześcijańskiego miłosierdzia, w sensie emocjonalnym. Jak mogła (i dlaczego chciała) pracować w kościele i myśleć o życiu zakonnym, skoro nienawidziła, bała się i pogardzała każdą żyjącą istotą ludzką, a przede wszystkim nieustannie uskarżała się na swój los.

Sherri nie cierpiała nawet swojej własnej siostry, która udzieliła jej schronienia, karmiła ją i pielęgnowała przez cały czas jej choroby. Powód: Mae jeździła mercedesem i miała bogatego męża. Jednak największą niechęć budziła w niej droga życiowa jej najlepszej przyjaciółki Eleanor, która została zakonnica.

– Ja tu wymiotuję w Santa Ana – powtarzała często – a Eleanor spaceruje w habicie po Las Vegas.

– Teraz nie wymiotujesz – wskazał Grubas. – Choroba się cofnęła.

– Ale ona tego nie wie. Zresztą, czy Las Vegas to jest miejsce na klasztor? Pewnie daje dupy...

– Mówisz o zakonnicy – napomniał ją Grubas, który znał i lubił Eleanor.

– Ja też byłabym już zakonnica, gdybym się nie rozchorowała – powiedziała Sherri.



Żeby uciec od zrzędzenia Sherri, Grubas zamknął się w sypialni, której używał jako pokoju do pracy, i wrócił do swojej wielkiej egzegezy. Napisał już prawie 300 000 słów, głównie holograficznie, a teraz z tej magmy zaczął konstruować coś, co nazwał Tractate: Cryptica Scriptura (zob. Dodatek), co znaczy po prostu „traktat tajemny”. Grubas uznał, że po łacinie robi to większe wrażenie.

W tym miejscu dzieła swojego życia, swojego Meisterwerk, zaczął cierpliwie budować swoją kosmogonię, czyli teorię pochodzenia wszechświata. Rzadko kto buduje swoją kosmogonię, zazwyczaj jest to zadanie dla całych kultur, cywilizacji, narodów lub plemion: kosmogonia jest dziełem zbiorowym tworzonym przez stulecia. Grubas dobrze o tym wiedział i był dumny z tego, że wymyślił swoją własną kosmogonię. Nazwał ją „Kosmogonią dwuźródłową”.

W jego dzienniku czyli egzegezie występuje ona pod numerem 47 jako najdłuższy ze wszystkich zapisów:

Kosmogonia dwuzródłowa: Jedno było i nie było, jednocześnie, i zapragnęło oddzielić niebyt od bytu. Wytworzyło więc podwójny worek, który, jak jajko, zawierał parę bliźniąt hermafrodytycznych, obracających się w przeciwnych kierunkach – (taoistyczne yin i yang, a Jedno to tao). Plan Jednego polegał, na tym, żeby oba bliźnięta wyłoniły się do bytu jednocześnie, jednak bliźnię o kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, motywowane chęcią bycia (którą Jedno zasiało w obu) przebiło worek i oddzieliło się przedwcześnie, to jest przed przewidzianym terminem. Było zatem uszkodzone. Było to bliźnię yin, ciemne. We właściwym czasie wyłoniło się mądrzejsze bliźnię.

Każde z bliźniąt stanowiło jednostkową entelechię [przyp.: U Arystotelesa niematerialna siła kształtująca celowo materię (W. Kopaliński).], żywy organizm złożony z psyche i somy, nadal obracające się w przeciwnym kierunku. Dojrzałe bliźnię, nazwane przez Parmenidesa Formą I, rozwijało się prawidłowo, ale bliźnię–wczesniak, albo Forma II, było opóźnione w rozwoju.*

Następny krok w planie Jednego polegał na tym, żeby z Dwóch, poprzez ich dialektycznie wzajemne oddziaływanie, stało się Wiele. Z nich, jako z hiperwszechświatów emanowała hologramopodobna powierzchnia międzyfazowa, będąca tym wieloformalnym wszechświatem, w którym my mieszkamy. Te dwa źródła miały w równowadze podtrzymywać nasz wszechświat, ale Forma II stale ciążyła w stronę choroby, szaleństwa i chaosu. Te jej aspekty rzutowały na nasz świat.

Jedno chciało, żeby nasz hologramatyczny wszechświat służył jako podręcznik, przy pomocy którego różne nowe formy życia mogłyby się doskonalić, póki nie stałyby się izomorficzne z Jednym. Jednak pogarszający się stan hiperwszechświata II wprowadził czynniki rozkładu, które uszkodziły nasz hologramatyczny wszechświat. To jest źródło entropii, niezasłużonego cierpienia, chaosu i śmierci, a także Imperium, Czarne Żelazne Więzienie, krótko mówiąc, naruszenie zdrowia i właściwego rozwoju form życia we wszechświecie hologramatycznym. Została również poważnie osłabiona jego funkcja nauczycielska, ponieważ tylko sygnał z hiperwszechświata I niósł informację, sygnał z hiperwszechświata II zmienił się w szum.

Wówczas psyche hiperwszechświata I wysłała mikroformę samej siebie do hiperwszechświata II, podejmując próbę uleczenia go. Ta mikroforma przejawiała się w naszym hologramatycznym wszechświecie jako Jezus Chrystus. Jednak hiperwszechświat II, będąc szalony, umęczył, poniżył, odrzucił i wreszcie zabił mikroformę leczniczej psyche swojego zdrowego bliźnięcia. Po tym zdarzeniu

hiperwszechświat II dalej rozpadał się na ślepe, odruchowe, bezcelowe i przypadkowe procesy. Wówczas celem Chrystusa (a raczej Ducha Świętego) stało się albo ratowanie żywych form we wszechświecie hologramatycznym, albo odcięcie go od wszelkich wpływów pochodzących z hiperwszechświata II. Podchodząc do swojego zadania z ostrożnością, szykował się do zabicia swojego szalonego bliźnięcia, które nie pozwala się uleczyć, ponieważ nie rozumie, że jest chore. Ta choroba i szaleństwo przenikają nas i robią z nas idiotów żyjących w osobnych, nierzeczywistych światach. Pierwotny plan Jednego może być teraz zrealizowany tylko przez podział hiperwszechświata I na dwa zdrowe hiperwszechświaty, co przekształci wszechświat hologramatyczny w prawidłowo działającą maszynę do uczenia, jaką miał być od początku. My odbierzemy to jako „królestwo Boże”.

W czasie hiperwszechświat II żyje – „Imperium nigdy się nie rozpadło”. Jednak w wieczności, tam gdzie hiperwszechświaty istnieją, numer II został zabity – z konieczności – przez swoje zdrowe bliźnię, które jest naszym obrońcą. Jedno opłakuje tę śmierć, ponieważ Jedno kochało oboje bliźniąt. To dlatego informacja Umysłu stanowi tragiczną opowieść o śmierci kobiety, która napawa smutkiem wszystkie istoty wszechświata hologramatycznego, nie rozumiejące, dlaczego tak się dzieje. Ten smutek zniknie, kiedy zdrowe bliźnię ulegnie podziałowi i zapanuje „królestwo Boże”. Maszyneria tej transformacji – przejście w czasie od Wieku Żelaza do Wieku Złotego – jest w toku. W wieczności transformacja już się dokonała.

Niedługo potem Sherri zdruzgotało się, że Grubas dniami i nocami przesiaduje nad swoją egzegezą. Wściekła się też, kiedy poprosił, żeby dołożyła coś ze swojej renty do mieszkania, ponieważ na skutek wyroku sądu musiał płacić wysokie alimenty na rzecz Beth i Christophera. Sherri znalazła mieszkanie, za które płaciły władze miejskie. Będzie w nim mogła mieszkać za darmo, i nie będzie musiała gotować Grubasowi obiadów. Będzie też mogła spotykać się z innymi mężczyznami, do czego Grubas miał zastrzeżenia, kiedy mieszkali razem. W odpowiedzi na jego zaborczość Sherri zareagowała gwałtownie pewnego wieczoru, kiedy

wróciła ze spaceru za rączkę z innym mężczyzną i zastała Grubasa wściekłego.

– Nie muszę się godzić z tym gównem! – powiedziała.

Grubas obiecał, że nie będzie zgłaszał więcej pretensji do spotkań Sherri z innymi mężczyznami i że nie będzie żądał od niej pieniędzy na mieszkanie i wyżywienie, mimo że miał wtedy na koncie w banku zaledwie dziewięć dolarów. Wszystko na nic, Sherri była wściekła.

– Wyprowadzam się – poinformowała go.

Po jej odejściu Grubas musiał zdobyć pieniądze na zakup mebli, naczyń, telewizora, ręczników i innego wyposażenia. Po rozwodzie został bez niczego i spodziewał się, że skorzysta z rzeczy Sherri. Nie trzeba dodawać, że czuł się bez niej bardzo samotny. Samotne życie w tym mieszkaniu z dwiema sypialniami i dwiema łazienkami przygnębiało go jak diabli. Przyjaciele martwili się o niego i próbowali podnieść go na duchu. W lutym porzuciła go Beth, a teraz, na początku września, odeszła od niego Sherri. Znowu powoli umierał. Siedział jedynie przy maszynie do pisania albo z notatnikiem i piórem w ręce, pracując nad swoją egzegezą, nic innego nie pozostało w jego życiu. Beth przeniosła się do odległego o siedemset mil Sacramento, nie mógł więc widywać Christophera. Myślał o samobójstwie, ale niezbyt intensywnie, bo wiedział, że Maurice nie aprobował takich myśli. Kazałby mu sporządzić jeszcze jedną listę.

Najbardziej niepokoiło Grubasa przecucie, że choroba Sherri wkrótce powróci. Studia w Santa Ana College i praca w kościele wykańczały ją fizycznie. Ilekroć się z nią spotkał, a robił to możliwie jak najczęściej, widział, jak jest zmęczona i wycieńczona. W listopadzie uskarżała się na grypę, miała bóle w piersiach i ciągle kasłała.

– Ta cholerna grypa – mówiła Sherri.

W końcu zmusił ją do pójścia do lekarza, na prześwietlenie i próby krwi. Wiedział już wtedy, że Sherri ma nawrót choroby. Ledwo powłóczyła nogami.

Grubas był przy niej w dniu, kiedy dowiedziała się, że znów ma raka.

Ponieważ miała wizytę wyznaczoną na ósmą rano, Grubas przesiedział z nią całą noc. Zawiózł ją do lekarza razem z Edną, starą przyjaciółką Sherri. Siedział z Edną w poczekalni, podczas gdy Sherri konferowała z doktorem Applebaumem.

– To tylko grypa – powiedziała Edna.

Grubas milczał. On wiedział, co to jest. Trzy dni wcześniej poszedł z Sherri po zakupy, ledwo szła. Grubas nie miał najmniejszych wątpliwości. Kiedy tak siedział z Edną w zatłoczonej poczekalni, napełniło go przerażenie i miał ochotę zapłakać. Na dodatek były jego urodziny.

Sherri wyszła z gabinetu doktora Applebauma, przyciskając do oczu papierową chusteczką. Grubas z Edną podbiegli do niej i Grubas podtrzymał Sherri.

– Mam nawrót – mówiła. – Mam znów raka. – Miała zaatakowane gruczoły limfatyczne w szyi i w prawym płucu złośliwą narośl, która ją dusiła. Miała rozpocząć chemioterapię i naświetlania od następnego dnia.

– Byłam pewna, że to tylko grypa – mówiła wstrząśnięta Edna. – Chciałam, żeby pojechała do Melodylandu i opowiedziała, jak Jezus ją uleczył.

Grubas nie skomentował tej wypowiedzi.

Można by w tym momencie zauważyć, że w tym czasie Grubas nie miał żadnych moralnych zobowiązań wobec Sherri. Opuściła go pod najbliższym pretekstem, zostawiając go pogrążonego w smutku i rozpacz, nie mającego nic do roboty poza pisaniem swojej egzegezy. Podkreślali to wszyscy przyjaciele Grubasa. Mówiła o tym nawet Edna, kiedy Sherri nie

było w pokoju. Ale Grubas nadal ją kochał. zaproponował jej, żeby z powrotem sprowadziła się do niego i żeby mógł się nią zajmować, bo była już za słaba i nie mogła sama sobie szykować posiłków, a po chemioterapii będzie się czuć jeszcze gorzej.

– Nie, dziękuję – powiedziała Sherri bezbarwnym głosem.

Któregoś dnia Grubas poszedł do jej kościoła porozmawiać z ojcem Larrym. Błagał go, żeby ten wywarł wpływ na ludzi z opieki społecznej, żeby przysłali kogoś, kto by szykował Sherri posiłki i sprzątał jej mieszkanie, bo Sherri się nie godzi na pomoc z jego strony. Ojciec Larry obiecał, że coś zrobi, ale nic z tego nie wyszło. Grubas poszedł do niego jeszcze raz, żeby ustalić, co można zrobić dla Sherri i w trakcie tej rozmowy nagle się rozplakał.

– Ja wyplakałem już wszystkie łzy, jakie miałem dla tej kobiety – powiedział ojciec Larry zagadkowo.

Grubas nie wiedział, czy to znaczy, że Larry przepalił sobie ze smutku bezpieczniki, czy też z rozsądku, w celu samoobrony, ukrócił swój smutek. Nie wie tego do dzisiaj. Jego własny smutek osiągnął masę krytyczną. Wkrótce Sherri zabrano do szpitala. Grubas odwiedził ją i zobaczył w łóżku coś żalospnego i małego, połowę tego, do czego przywykł. To coś kasłało rozdzierająco i miało nieszczęsne, pozbawione nadziei spojrzenie. Grubas nie był po tym w stanie prowadzić auta i odwiózł go do domu Kevin. Kevin, który zwykle zachowywał postawę cynika, teraz nie mógł z siebie wydusić słowa. Poklepał tylko Grubasa po ramieniu, co jest jedynym sposobem, w jaki mężczyźni mogą sobie okazać miłość.

– Co ja teraz zrobię? – powiedział Grubas, mając na myśli „Co ja zrobię, kiedy ona umrze?”

Naprawdę kochał Sherri, mimo tego, jak go traktowała, jeżeli rzeczywiście, jak twierdzili jego przyjaciele, traktowała go podle. On sam

nie miał na ten temat zdania i mało go to obchodziło. Wiedział tylko, że ona leży w szpitalu przeżarta mnożącymi się nowotworami. Odwiedzał ją codziennie, podobnie jak wszyscy jej znajomi.

Wieczorami robił jedyną rzecz, jaką jeszcze mógł robić: pracował nad swoją egzegezą. Doszedł właśnie do ważnego zapisu numer 48.

48. O NASZEJ NATURZE. Można powiedzieć, że jesteśmy zwojami pamięci (nosicielami DNA zdolnymi do uczenia się) w komputeropodobnym systemie myślącym, który – chociaż prawidłowo zapisaliśmy i zmagazynowaliśmy tysiące lat doświadczeń i każde z nas posiada zestawy informacji nieco różne od innych form żywych – ma jedno uszkodzenie: zablokowaną pamięć. Na tym polega kłopot w naszym podobwodzie. „Zbawienie” przez gnozę, a właściwie anamnezę (odblokowanie pamięci), chociaż posiada indywidualne znaczenie dla każdego z nas (skok jakościowy w percepcji, tożsamości, poznawaniu, rozumieniu, doświadczeniu świata i samego siebie włącznie z nieśmiertelnością) ma daleko większe znaczenie dla systemu jako całości, ponieważ ta pamięć to bezcenne dane niezbędne dla jego funkcjonowania.

System zatem jest w trakcie samonaprawy, która obejmuje odbudowę naszego podobwodu przez zmiany w czasie linearnym i nielinearnym, jak również stałe sygnalizowanie do nas, żeby pobudzić nasze zablokowane banki pamięci i odzyskać to, co się w nich kryje.

Zewnętrzna informacja czyli gnosis składa się zatem z instrukcji odblokowujących, których zasadnicza treść jest w nas już zakodowana. (Jak pierwszy zauważył Platon, że uczenie się jest formą przypominania.)

Starożytni posiadali techniki (sakramenty i rytuały) stosowane głównie w grecko-rzymskich misteriach religijnych i we wczesnym chrześcijaństwie w celu pobudzenia i odzyskania pamięci, głównie z myślą o leczniczej wartości tego zabiegu dla poszczególnych osób, gnostycy jednak prawidłowo dostrzegali ontologiczne znaczenie odzyskania pamięci dla tego, co nazywali Boskością, dla całości.

Ta Boskość jest osłabiona. Na samym początku zdarzyła się jakaś katastrofa, której nie rozumiemy.

Grubas przerobił zapis numer 29 i dodał go do zapisu „O naszej naturze”.

29.Nie upadliśmy z powodu błędu moralnego, upadliśmy z powodu błędu intelektualnego, polegającego na tym, że braliśmy świat fenomenów za rzeczywisty. Jesteśmy zatem moralnie czysti. To Imperium w swoich zamaskowanych poliformach wmawia nam, że zgrzeszyliśmy. „Imperium wcale się nie rozpadło”.

W tym czasie Grubas do reszty postradał zmysły. Mógł tylko pracować nad swoją egzegezą czyli traktatem, słuchać stereo i odwiedzać Sherri w szpitalu. Zaczął wprowadzać do traktatu zapisy bez logicznego początku lub sensu.

30.Świat fenomenów nie istnieje. Jest tylko hipostaza informacji przetwarzanej przez Umysł.

27.Jeżeli wyrzucić stulecia fałszywego czasu, to naprawdę mamy nie rok 1978 A.D. lecz 103 A.D. To dlatego Nowy Testament mówi, że Królestwo Ducha przyjdzie, zanim umrą niektórzy z obecnie żyjących. Żyjemy zatem w czasach apostołskich.

20.Hermetyczni alchemicy znali tajemnicę rasy trzyokich przybyszów, ale mimo wysiłków nie potrafili się z nimi skontaktować. Dlatego ich zabiegi na rzecz Fryderyka V, elektora Palatyńskiego i króla Czech skończyły się niepowodzeniem. „Imperium wcale się nie rozpadło”.

21.Bractwo Różokrzyżowców pisało: „Ex Deo nascimur, in Jesu mortimur, per Spiritum Sanctum reviviscimus”, czyli „Z Boga się rodzimy, w Jezusie umieramy, przez Ducha Świętego się odradzamy”. Oznacza to, że

odkryli na nowo zagubioną formułę nieśmiertelności zniszczoną przez Imperium. „Imperium wcale się nie rozpadło”.

10. Apoloniusz z Tyany, piszący jako Hermes Trismegistos, powiedział: „Jako na górze, tako i na dole”. Chciał nam przez to powiedzieć, że nasz wszechświat jest hologramem, ale brakowało mu tego określenia.

12. Nieśmiertelny był znany Grekom jako Dionizos, Żydom jako Eljasz, chrześcijanom jako Jezus. Kiedy jego kolejny ludzki nosiciel umiera, przenosi się i w ten sposób nigdy nie zostaje zabity ani schwytyany. Dlatego Jezus na krzyżu powiedział „Eli, Eli, lama sabachthani”, na co niektórzy obecni słusznie mówili „Patrzcie, wola Eljasza”. Eljasz go opuścił i umarł samotny.

Kiedy Grubas pisał ten fragment, też umierał samotny. Eljasz czy jakaś inna boska obecność, która wepchnęła mu pod czaszkę tony informacji w roku 1974, teraz go rzeczywiście opuściła. Przerazające pytanie, które Grubas zadawał sobie nieustannie, nigdy nie znalazło się w jego dzienniku czyli traktacie. Można by je ująć następująco:

Skoro boska obecność wiedziała o wadze wrodzonej Christophera i zadziałała, żeby ją naprawić, to dlaczego nie robiła nic w sprawie raka Sherri? Jak mogła ją zostawić umierającą?

Grubas nie potrafił sobie na to odpowiedzieć. Dziewczyna chodziła przez cały rok z błędną diagnozą. Dlaczego Zebra nie podrzucił tej informacji Grubasowi albo lekarzowi Sherri, albo samej Sherri... komukolwiek?

Podrzucił w takim czasie, żeby można ją było uratować!

Pewnego razu, kiedy Grubas odwiedził Sherri w szpitalu, zastał przy jej łóżku uśmiechniętego od ucha do ucha głupka. Grubas znał tego barana z

czasu, kiedy mieszkali z Sherri, a ten kręcił się koło niej, obejmował, całował i mówił, żeby machnęła ręką na Grubasa, bo on ją kocha. Ten przyjaciel Sherri z dzieciństwa, w momencie kiedy wszedł Grubas, mówił do niej:

– Co zrobimy, kiedy ja będę królem świata, a ty królową?

Na to Sherri, półprzytomna z bólu, wymamrotała:

– Chcę tylko pozbyć się tych narośli w gardle.

Grubas nigdy w życiu nie był tak bliski zamordowania kogoś. Kevin, który mu towarzyszył, musiał go siłą odciągnąć.

W drodze powrotnej do pustego mieszkania Grubasa, w którym tak krótko żyli z Sherri, Grubas powiedział do Kevina:

– Czuję, że wariuję. Ja tego dłużej nie wytrzymam.

– To normalna reakcja – powiedział Kevin, który w tych dniach zatracił gdzieś swoją cyniczną postawę.

– Powiedz mi – ciągnął Grubas – dlaczego Bóg jej nie pomaga. – Informował Kevina na bieżąco o postępach swojej egzegezy, Kevin wiedział o jego spotkaniu z Bogiem w roku 1974, mógł więc z nim mówić otwarcie.

– Niezbadane są drogi Wielkiego Punty – powiedział Kevin.

– A któż to jest, u diabła? – spytał Grubas.

– Ja nie wierzę w Boga – powiedział Kevin. – Wierzę w Wielkiego Puntę. A drogi Wielkiego Punty są niezbadane. Nikt nie wie, dlaczego coś robi, albo czegoś nie robi.

– Kpisz sobie ze mnie?

– Nie – powiedział Kevin.

– Skąd się wziął ten Wielki Punta?

– Tylko Wielki Punta wie.

– Czy on jest miłosierny?

- Jedni mówią, że tak, inni, że nie.
- Czy mógłby pomóc Sherri, gdyby zechciał?

- Tylko Wielki Punta to wie – powiedział Kevin i obaj wybuchnęli śmiechem.



Pełen myśli o śmierci, odchodząc od zmysłów z żalu i zmartwienia o Sherri, Grubas sporządził zapis 15 w swoim traktacie.

15.Sybilla z Kume ochroniała Republikę Rzymską i dawała na czas ostrzeżenia. W pierwszym wieku po Chrystusie przewidziała morderstwo braci Kennedych, doktora Kinga i biskupa Pike'a. Widziała dwie wspólne cechy w tych czterech zamordowanych: po pierwsze, stawali w obronie wolności Republiki, a po drugie, każdy z nich był przywódcą religijnym. Za to zostali zabici. Republika na powrót stała się Imperium pod wodzą cezara. „Imperium wcale się nie rozpadło”.

16.Sybilla powiedziała w marcu 1974 roku: Spiskowcy zostali zdemaskowani i zostanie im wymierzona sprawiedliwość”. Ujrzała ich trzecim okiem, ajna, okiem Sziwy, które daje wewnętrzne rozróżnienie, ale skierowane na zewnątrz razi spopielającym żarem. W sierpniu 1974 roku zapowiedzianej przez Sybillę sprawiedliwości stało się zadość.

Grubas postanowił zapisać w swoim traktacie wszystkie prorocze stwierdzenia, jakimi wypełnił jego głowę Zebra.

7.Apollo niedługo wróci. Święta Zofia urodzi się powtórnie, dotychczas była nie do przyjęcia. Budda jest w parku. Siddhartha śpi, ale wkrótce się obudzi. Nadszedł czas, na który czekaliście.

Ta wiedza, pochodząca bezpośrednio od bóstwa, czyniła Grubasa współczesnym prorokiem. Jednak ponieważ był wariatem, wprowadzał również do swego traktatu najprzeróżniejsze absurdy.

51. Pierwotne źródło wszystkich naszych religii znajduje się wśród przodków plemienia Dogonów. Otrzymali oni swoją kosmogonię i kosmologię bezpośrednio od trójokich przybyszów, którzy najechali ziemię dawno temu. Trójocy najeźdźcy są głuchoniemymi telepatami, nie mogą oddychać naszym powietrzem, mają wydłużone czaszki Echnatona i pochodzą z planety w układzie Syriusza. Chociaż zamiast rąk mają kleszcze jak kraby, byli wspaniałymi budowniczymi. Tajnie kierują biegiem naszej historii w stronę pomyślnego jej zakończenia.

W tym czasie Grubas całkowicie stracił kontakt z rzeczywistością.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Można więc zrozumieć, dlaczego Grubas przestał odróżniać fantazje od Bożych objawień (zakładając, że jest między nimi jakaś różnica, co nigdy nie zostało udowodnione). Wyobraził sobie, że Zebra przybył z planety w układzie gwiazdnym Syriusza, obalił tyranię Nixona w sierpniu 1974 roku i ustanowił na Ziemi królestwo sprawiedliwości i pokoju, w którym nie będzie chorób, cierpienia ani samotności, a wszelka zwierzyzna będzie płaszać z radości.

Grubas wynalazł hymn Echnatona i przepisał fragmenty do swojego notatnika, a później do traktatu.

*...Kiedy pisklę w jajku ćwierka w skorupce,
Ty dajesz mu powietrze w jej wnętrzu, aby żyć mogło.
Kiedy wzmacniasz go tak, że może rozbić skorupkę,
Wychodzi z jajka, ćwierka na całe gardło
I staje na własnych nogach.
Niepoliczone są Twoje dzieła!
Jedyny Boże, którego potędze nic nie dorówna.
Ty stworzyłeś ziemię, według swego upodobania,*

*Kiedy byłeś sam,
Ludzi, wszelką zwierzynę dużą i małą,
Wszystko, co chodzi po ziemi,
Wszystko, co lata w powietrzu na skrzydłach.
Jesteś w moim sercu,
A nikt Cię nie zna, prócz Twojego syna Echnatona.
W swoich planach i w swojej mocy
Napełniłeś go mądrością.
Świat jest w Twojej dłoni...**

* [przyp.: Przekład T. Andrzejewskiego.]

Zapis 52 dowodzi, że Grubas w tym punkcie swojego życia gotów był wszędzie szukać cienia nadziei, która podbudowałaby jego wiarę, że gdzieś istnieje jakieś dobro.

53.Nasz świat jest nadal tajnie rządzony przez ukrytą rasę potomków Echnatona i jego wiedza jest informacją samego Makro-Umysłu.

*Bydło spoczywa na swoich pastwiskach,
Drzewa i zioła rozkwitają,
Ptaki wlatują nad bagnami,
Ich skrzydła trzepocą w adoracji Ciebie.
Wszystkie owce tańczą na swoich nogach,
Wszystkie skrzydlate stworzenia wlatują,
Żyją dzięki temu, że Ty świecisz na niebie.**

* [przyp.: Przekład T. Andrzejewskiego.]

Wiedza Echnatona przeszła na Mojżesza, z Mojżesza na Eljasza, Człowieka Nieśmiertelnego, który stał się Chrystusem. Ale pod wszystkimi tymi imionami jest tylko jeden Nieśmiertelny Człowiek i to my nim jesteśmy.

Grubas nadal wierzył w Boga i w Chrystusa, i w wiele innych rzeczy, ale chciał wiedzieć, dlaczego Zebra (tak nazywał Wszechmogącego) nie dał

wczesnego ostrzeżenia o stanie Sherri, a potem jej nie uzdrowił. Ta zagadka dręczyła mózg Grubasa i doprowadzała go do szaleństwa.

Grubas, który szukał śmierci, nie potrafił zrozumieć, dlaczego Sherri pozwolono umrzeć i to umrzeć straszną śmiercią.

Ja sam jestem gotów tu wystąpić i zaproponować kilka możliwości. Mały chłopiec z zagrażającą wadą wrodzoną to nie to samo co dorosła kobieta, która pragnie śmierci, która gra w złośliwą grę, równie złośliwą, jak jej fizyczny odpowiednik, niszcząca jej ciało białaczka. Ostatecznie, Wszechmocny nie wkroczył, żeby interweniować w sprawie samobójstwa samego Grubasa, Wszechmocny pozwolił Grubasowi łyknąć czterdzieści dziewięć tabletek skoncentrowanego wyciągu z naparstnicy, nie powstrzymał też Beth od odejścia z synem, tym samym synem, dla którego informacja medyczna została Grubasowi objawiona.

Wzmianka o trzyokich najeźdźcach z kleszczami zamiast dłoni, głuchoniemych, telepatycznych istotach z kosmosu, zaciekała mnie. W tej kwestii Grubas wykazywał naturalną powściągliwość, był wystarczająco przytomny, żeby nie gadać o tym na lewo i na prawo. W marcu 1974, w czasie swojego spotkania z Bogiem (a właściwie Zebra) miał kilka bardzo plastycznych snów o trzyokich istotach, wiem to od niego. Wyglądały jak cyborgi, otoczone przezroczystymi powłokami ugiwały się pod masą wyposażenia technicznego. Czasem w tych wizyjnych snach pojawiał się dziwny aspekt, zastanawiający zarówno Grubasa, jak mnie. Otóż zdarzało mu się widzieć sowieckich techników śpieszących naprawić uszkodzenia skomplikowanej aparatury łącznościowej, otaczającej trzyokie istoty.

– Może Rosjanie kierowali na ciebie swoje krótkofalowe sygnały psychogeniczne, czy jak je tam – powiedziałem pod wrażeniem artykułu o rzekomym nadawaniu przez Sowietów telepatycznych sygnałów na falach ultrakrótkich.

– Wątpię, żeby Związek Sowiecki interesował się przepukliną Christophera – stwierdził kwaśno Grubas.

Prześladowało go jednak wspomnienie, że w tych wizjach albo snach hipnogogicznych słyszał rosyjskie słowa i widział setki stron czegoś, co wyglądało na rosyjskie instrukcje techniczne – wiedział to z powodu rysunków – opisujące zasady działania i budowę urządzeń.

– Może podsłuchiwałeś rozmowę między Rosjanami a jakąś istotą pozaziemską? – zasugerowałem.

– Takie to już moje szczęście – skomentował Grubas.

Podczas tych zdarzeń ciśnienie podskoczyło Grubasowi do poziomu wylewu i poszedł na krótko do szpitala. Lekarz ostrzegł go, żeby nie brał środków pobudzających.

– Nie biorę środków pobudzających – zaprotestował Grubas zgodnie z prawdą.

Podczas jego pobytu w szpitalu lekarz przeprowadził wszystkie możliwe badania, żeby określić fizyczną przyczynę wzrostu ciśnienia krwi, ale nic nie znalazł. Stopniowo ciśnienie spadło. Lekarz wciąż podejrzewał, że Grubas wrócił do nałogu i zażywa środki pobudzające, ale Grubas i ja wiedzieliśmy, że to nieprawda. Jego ciśnienie wynosiło 280 na 178, co oznacza poziom śmiertelny. Normalnie Grubas miał 135 na 90, co mieści się w normie. Przyczyna tego przejściowego wzrostu pozostaje tajemnicą do dzisiaj. Podobnie jak śmierć jego zwierząt domowych.

Sprzedaję za tyle, za ile kupiłem. Wszystko to jest prawda, tak było.

Zdaniem Grubasa jego mieszkanie zostało nasycone wysoką dawką jakiegoś promieniowania. Nawet je widział, błękitne światło tańczące jak ognie świętego Elma.

Co więcej, zorza biegająca po mieszkaniu zachowywała się, jakby była żywa i rozumna. Kiedy wnikała w przedmioty, naruszała w nich łańcuchy

przyczynowo–skutkowe. A kiedy dotarła do głowy Grubasa, przekazała mu nie tylko informację, lecz także osobowość, która nie była osobowością Grubasa. Stał się osobą z innymi wspomnieniami, zwyczajami, gustami.

Po raz pierwszy i jedyny w życiu Grubas przestał pić wino i kupił sobie piwo, zagraniczne. I mówił o swoim psie „on”, a o kocie „ona”, chociaż wiedział, albo wiedział poprzednio, że miał sukę i kocura. Beth to denerwowało.

Grubas inaczej się ubierał i starannie przystrzygł brodę. Kiedy w czasie tej czynności spojrzął w lustro, zobaczył w nim nieznanego osobnika, chociaż fizycznie się nie zmienił. Również klimat był jakby nie ten, powietrze wydawało mu się zbyt suche i gorące. Nie ta wysokość i nie ta wilgotność. Grubas miał subiektywne wrażenie, że jeszcze chwilę temu mieszkał nie w hrabstwie Orange w Kalifornii, ale w jakimś wyżynnym, chłodnym i wilgotnym regionie świata.

A jeszcze to, że jego wewnętrzne rozważania przybrały formę greki koine, której nie rozumiał jako języka ani jako fenomenu zachodzącego w jego głowie.

Miał również wielkie kłopoty z prowadzeniem samochodu, wszystko było jakby w niewłaściwym miejscu.

Chyba jednak najbardziej niezwykły był pewien szczególnie plastyczny sen (jeżeli to był sen) o sowieckiej kobiecie, która miała się z nim skontaktować listownie. We śnie pokazano mu jej fotografię, miała jasne włosy i, jak mu powiedziano, nazywała się Sadassa Ulno. Grubas odebrał w głowie pilny komunikat, że musi odpowiedzieć na jej list, kiedy go otrzyma.

W dwa dni później nadszedł ze Związku Sowieckiego list polecony, który wprowadził Grubasa w stan przerażenia. Nadawcą listu był ktoś, o kim Grubas słyszał po raz pierwszy (zresztą i tak nie był przyzwyczajony do

otrzymywania listów ze Związku Sowieckiego), kto prosił o: 1) fotografię Grubasa, 2) próbkę jego pisma, a w szczególności jego podpis.

– Dziś mamy poniedziałek – powiedział Grubas do Beth. – W środę przyjdzie następny list. Tym razem od kobiety.

W środę Grubas otrzymał kupę listów, siedem. Nie otwierając ich wyłowił jeden bez nazwiska nadawcy i adresu zwrotnego.

– To ten – powiedział do Beth, która też się od niego zaraziła szaleństwem. – Otwórz i przeczytaj, ale nie pozwól mi zobaczyć jej nazwiska i adresu, bo będę musiał odpowiedzieć.

Beth otworzyła kopertę. Zamiast listu per se znalazła kserokopie dwóch recenzji z lewicowej nowojorskiej gazety „The Daily World”. Recenzent przedstawiał autora książek jako Rosjanina mieszkającego w Stanach. Z recenzji wynikało, że autor ten jest członkiem partii.

– Mój Boże – powiedziała Beth odwracając kartkę. – Na odwrocie jest nazwisko i adres autora.

– Kobieta? – spytał Grubas.

– Tak.

Nigdy nie dowiedziałem się od Grubasa i Beth, co zrobili z tymi dwoma listami. Z pewnych uwag Grubasa wywnioskowałem, że w końcu odpowiedział na pierwszy, uznawszy, że jest niegroźny. Co zrobił z kserokopią, która w ścisłym tego słowa znaczeniu nie była listem, do dzisiaj nie wiem i nie chcę wiedzieć. Może ją spalił, a może przekazał policji albo FBI, albo CIA.* [przyp.: Przekazał FBI (przyp. tłum.).]

Po pierwsze, odmówił spojrzenia na odwrotną stronę kartki, gdzie zapisano nazwisko i adres nadawczyni. Grubas był przekonany, że gdyby zobaczył tę informację, musiałby odpowiedzieć, czy chciałby tego, czy nie. Może i tak. Kto to może wiedzieć? Najpierw na człowieka wali się z nieznanego źródła osiem godzin informacji graficznej w postaci jaskrawych

fosfenowych błysków w osiemdziesięciu kolorach układających się na kształt współczesnego malarstwa abstrakcyjnego, potem ma sen o trzyokich istotach w przezroczystych powłokach i z elektronicznym wyposażeniem, potem jego pokój wypełnia się plazmatyczną energią w postaci ogni świętego Elma, które sprawiają wrażenie żywych i myślących, jego zwierzęta umierają, on sam jest opanowany przez odmienną osobowość, która myśli po grecku, śnią mu się Rosjanie i wreszcie w ciągu trzech dni dostaje dwa listy od Sowietów, których nadejście mu zapowiedziano. Ogólne wrażenie jednak nie jest złe, gdyż część tej informacji ratuje życie jego synowi. Aha, i jeszcze jedno: Grubas stwierdził, że widzi starożytny Rzym nakładający się na Kalifornię roku 1974. Cóż, powiem tyle: może i Grubas nie zetknął się z Bogiem, ale z czymś się zetknął.

Nic dziwnego, że zaczął skrobać strona za stroną swoją egzegezę. Ja zrobiłbym to samo. Nie było to z jego strony jakieś teoretyzowanie, on usiłował odpowiedzieć sobie na pytanie, co też mu się, u diabła, przytrafiło.

Gdyby Grubas był po prostu wariatem, na pewno znalazłby jakąś unikalną i oryginalną odpowiedź. Przechodząc wówczas terapię (Grubas zawsze przechodził terapię) poprosił, żeby przeprowadzono na nim test Rorschacha, dla stwierdzenia, czy popadł w schizofrenię. Test wykazał jedynie łagodną nerwicę. Tyle co do tej teorii.

W swojej powieści *Jak w zwierciadle* * [przyp.: *A Scanner Darkly*. Nie tłumaczona.], wydanej w roku 1977, ukradłem Grubasowi jego opowieść o ośmiogodzinnym seansie fosfenowych światła.

„Kilka lat temu eksperymentowałem z substancjami odblokowującymi, działającymi na tkankę nerwową, i pewnego wieczoru po zastrzyku dożylnym, uważanym za bezpieczny i łagodnie euforyczny, przeżyłem katastrofalny spadek płynu GABA w mózgu. Subiektywnie, był świadkiem gry jaskrawych fosfenowych światła na przeciwległej ścianie sypialni,

gorączkowego montażu obrazów, które wówczas uznał za przykłady współczesnego malarstwa abstrakcyjnego.

Przez jakieś sześć godzin S. A. Powers jak zaczarowany oglądał tysiące obrazów Picassa przemykających z błyskawiczną szybkością, a potem zaserwowano mu Paula Klee, więcej niż artysta namalował przez całe życie. S. A. Powers, teraz oglądający obrazy Modiglianiego zmieniające się z szaleńczą prędkością, wymyślił sobie (człowiek do wszystkiego potrzebuje teorii), że to Różokrzyżowcy wysyłają do niego telepatyczne obrazy, prawdopodobnie wzmocnione najnowszymi układami elektronicznymi, ale kiedy zaczęły go napastować obrazy Kandinsky'ego, przypomniał sobie, że największe muzeum sztuki w Leningradzie specjalizuje się w takich modernistycznych abstrakcjach i uznał, że to Sowietci usiłują się z nim skontaktować telepatycznie.

Rano przypomniał sobie, że gwałtowny spadek poziomu płynu GABA w mózgu wywołuje takie właśnie zjawiska fosfenowe. Nikt nie szukał z nim kontaktu telepatycznego, ani z mikrofalowym wzmocnieniem, ani bez”.



Mózgowy płyn GABA chroni obwody przed przepaleniem, utrzymuje je w stanie uśpienia, dopóki odpowiedni bodziec nie dotrze do organizmu, w tym przypadku Konioluba Grubasa. Innymi słowy, istnieją obwody nerwowe przeznaczone do reagowania na dany sygnał w określonym czasie. Czyżby Grubas otrzymał odpowiedni bodziec przed zjawiskiem jaskrawych fosfenowych świateł – oznaką drastycznego spadku poziomu płynu GABA w jego mózgu – a zatem i uruchomienia dotychczas zablokowanych obwodów, metaobwodów, że tak powiem?

Wszystko to wydarzyło się w marcu 1974 roku. Miesiąc wcześniej Grubasowi usunięto zęb mądrości. W tym celu dentysta zaaplikował mu dożylnie środek znieczulający. Później tego samego dnia w domu, cierpiąc wielki ból, Grubas poprosił Beth, żeby zatelefonowała do apteki po jakiś środek przeciwbólowy. Mimo swojego żalosego stanu Grubas sam poszedł do drzwi, kiedy zapukał goniec z apteki. Otworzywszy stwierdził, że stoi oko w oko z piękną ciemnowłosą kobietą, trzymającą w dłoni małą białą torebkę z darvonem N. Nie bacząc na potworny ból, Grubas nie zwracał uwagi na pigułki, ponieważ całą jego uwagę przykuł lśniący złoty naszyjnik kobiety. Nie mógł oderwać od niego oczu. Otepiały z bólu i na skutek środka znieczulającego, oraz wyczerpany przebytą męczarnią, Grubas mimo to zdołał zapytać, co symbolizuje złoty znak pośrodku naszyjnika. Był to profil ryby.

– To jest znak używany przez pierwszych chrześcijan – powiedziała kobieta, dotykając szczupłym palcem złotej ryby.

Grubas natychmiast doznał olśnienia. Przypomnił sobie coś przez ułamek sekundy. Przypomnił sobie starożytny Rzym i siebie jako jednego z pierwszych chrześcijan. Cały starożytny świat i potajemne życie chrześcijanina prześladowanego przez rzymskie władze przemknęło przez jego umysł... a potem był z powrotem w Kalifornii w roku 1974 i odbierał małą białą torebkę z pigułkami przeciwbólowymi.

W miesiąc później, kiedy leżał w łóżku nie mogąc zasnąć i słuchając w półmroku radia, zaczął widzieć pulsujące kolory. Z radia popłynęły pod jego adresem paskudne, ohydne słowa. A po dwóch dniach takich zjawisk rozmyte kolory zaczęły pędzić na niego, jakby on sam mknął przed siebie z coraz większą prędkością i, jak to przedstawiłem w powieści *Jak w zwierciadle*, nieostre kolory nagle nabrały ostrości i zastygły w formie

nowoczesnych obrazów abstrakcyjnych, dosłownie dziesiątków milionów błyskawicznie zmieniających się obrazów.

Metaobwody w mózgu Grubasa zostały odblokowane przez znak ryby i słowa wypowiedziane przez kobietę.

Proste.

W kilka dni później Grubas obudził się i zobaczył starożytny Rzym nałożony na Kalifornię w roku 1974, i myślał w języku koine, lingua franca wschodniej części rzymskiego świata, tej części, którą widział. Nie wiedział wtedy, że greka koine odgrywała rolę wspólnego języka, myślał, że była to łacina. W dodatku, jak już powiedziałem, nie rozpoznał nawet języka swoich myśli jako języka.

Koniolub Grubas żyje w dwóch różnych czasach i w dwóch różnych miejscach, to jest w dwóch kontynuach czasoprzestrzennych. To właśnie wyszło na jaw w marcu 1974 roku za przyczyną starożytnego znaku ryby okazanego mu miesiąc wcześniej: jego dwa kontinua czasoprzestrzenne nałożyły się na siebie. Połączyły się też jego dwie tożsamości–osobowości. Później usłyszał w głowie głos:

– Żyje we mnie ktoś inny i on nie jest z tego czasu.

Ta inna osobowość zorientowała się, o co chodzi. Ta druga osobowość myślała i Grubas mógł, zwłaszcza w nocy tuż przed zaśnięciem, odbierać głos tej drugiej osobowości jeszcze miesiąc temu, co znaczy cztery i pół roku po usunięciu ściany dzielącej jego dwie osoby.



Grubas wyraził to bardzo dobrze na początku roku 1975, kiedy to po raz pierwszy mi się zwierzył. Nazwał tę osobowość żyjącą w innym wieku i w innym miejscu „Thomasem”.

– Thomas – powiedział mi Grubas – jest inteligentniejszy ode mnie i wie więcej niż ja. Z nas dwóch Thomas jest osobowością dominującą. – Uważał, że to dobrze, biada komuś, kto nosi w sobie drugą osobowość głupią albo złą!

– Chcesz powiedzieć, że byłeś kiedyś Thomasem, że jesteś jego nowym wcieleniem i że przypomniałeś sobie jego...

– Nie, on żyje teraz. Żyje teraz w starożytnym Rzymie. I nie jest mną. Reinkarnacja nie ma tu nic do rzeczy.

– Ale twoje ciało... – zacząłem.

Grubas zapatrzył się na mnie i kiwnął głową.

– Słusznie. To znaczy, że albo moje ciało jest w dwóch kontinuuach czasoprzestrzennych jednocześnie, albo mojego ciała nie ma nigdzie.

Zapis 14 z traktatu:Wszechświat jest informacją i my jesteśmy w niej nieruchomi, nie trójwymiarowi, poza czasem lub przestrzenią. Z informacji, którą otrzymujemy, tworzymy sobie świat fenomenów.

Zapis 30 formułuje to samo inaczej:Świat fenomenów nie istnieje. Jest to tylko hipostaza informacji przetwarzanej przez Umysł.



Grubas napędził mi cholernego stracha. Wysnuł zapis 14 i zapis 30 z własnego doświadczenia, wydedukował je z odkrycia, że ktoś inny istnieje w jego głowie i że ten ktoś żyje w innym miejscu i w innym czasie, dwa tysiące lat temu i w odległości ośmiu tysięcy mil.

Nie jesteśmy osobnikami. Jesteśmy komórkami jednego Umysłu. Powinniśmy zawsze być od siebie oddzieleni, jednak Grubas otrzymał przypadkiem sygnał (znak złotej ryby) przeznaczony dla Thomasa. To Thomas posługiwał się znakiem ryby, nie Grubas. Gdyby kobieta nie

wyjaśniła znaczenia symbolu, nie nastąpiłoby naruszenie bariery. Ale wyjaśniła, i stało się. Przestrzeń i czas zostały ujawnione Grubasowi (i Thomasowi!) Jako nic innego tylko mechanizmy oddzielające. Grubas stwierdził, że ogląda podwójną ekspozycję dwóch nakładających się rzeczywistości i Thomas prawdopodobnie stwierdził to samo. Thomas zapewne zastanawiał się, cóż to za obcy język słyszy, u diabła, w swojej głowie. Po chwili uświadomił sobie, że to nawet nie jest jego głowa:

„Żyje we mnie ktoś inny i on nie jest z tego czasu”. To myślał Thomas, nie Grubas, ale stosowało się to również do Grubasa.

Thomas miał jednak przewagę nad Grubasem, ponieważ, jak powiedział Grubas, Thomas był inteligentniejszy. Jako osobowość dominująca przejął Grubasa, przestawił go z wina na piwo, przystrzygł mu brodę i miał kłopoty z jego samochodem... ale, co ważniejsze, Thomas pamiętał (jeżeli to jest właściwe słowo) inne wcielenie, jedno z nich, bardzo dawne, na Krecie minojskiej, które trwało w latach 3000 przed Chrystusem do 1100 przed Chrystusem. Pamiętał nawet wcielenie jeszcze wcześniejsze, to, które przybyło na tę planetę z Kosmosu.

Thomas był jednym z niewielu znających prawdę ludzi w epoce postneolitycznej. Jako wczesny chrześcijanin żyjący w czasach apostoelskich nie oglądał wprawdzie Jezusa, ale znał ludzi, którzy Go widzieli... mój Boże, czuję, że tracę kontrolę nad tym, co usiłuję tu zapisać. Thomas znalazł sposób na odrodzenie się po fizycznej śmierci. Wszyscy pierwsi chrześcijanie umieli to robić. Działo to przez anamnezę, czyli utratę amnezji, która... otóż system powinien działać następująco: kiedy Thomas stwierdziłby, że umiera, miał wryć sobie w pamięć chrześcijański znak ryby, zjeść coś dziwnego w kolorze różowym (jak światło, które widział Grubas), napić się ze świętego dzbana przechowywanego w chłodnym miejscu i dopiero wtedy umrzeć, a kiedy się narodzi powtórnie,

miał rosnąć i być innym człowiekiem, nie sobą, póki nie zostanie mu przekazany znak ryby.

Oczekiwał, że zdarzy się to w czterdzieści lat po jego śmierci. Mylił się. Zajęło to prawie dwa tysiące lat.

W ten sposób, za pomocą tego mechanizmu został obalony czas. Albo, inaczej mówiąc, została obalona tyrania śmierci. Obietnica wiecznego życia, którą Chrystus dał swojej nielicznej gromadce, nie była oszustwem. Chrystus nauczył ich, jak to robić, było to związane z nieśmiertelnym plazmatem, o którym mówił Grubas, z żywą informacją drzemiącą przez stulecia w Nag Hammadi. Rzymianie wytropili i wymordowali wszystkie homoplazmaty, wszystkich pierwszych chrześcijan skrzyżowanych z plazmatem. Oni zginęli, a plazmat schronił się do Nag Hammadi i spał jako informacja zakodowana w rękopisach.

Aż w roku 1945 biblioteka została znaleziona, odkopana i przeczytana. Tak więc Thomas musiał czekać nie czterdzieści, a dwa tysiące lat, bo znak złotej ryby nie wystarczył. Nieśmiertelność, wyjście poza czas i przestrzeń, możliwe są tylko przez Logos czyli plazmat, tylko on jest nieśmiertelny.

Mówimy o Chrystusie. Jest on pozaziemską formą życia, która przybyła na tę planetę przed tysiącami lat i, jako żywa informacja, przeszła w mózgi ludzi już tu żyjących, rdzennej ludności. Mówimy o symbiozie na skalę kosmiczną.

Przed Chrystusem był Eljasz. Żydzi wiedzieli wszystko na temat Eljasza, jego nieśmiertelności... i jego zdolności do przekazywania nieśmiertelności innym przez „podział swojego ducha”. Ludzie z Qumran wiedzieli i szukali sposobu na uzyskanie części ducha Eljasza.

„Widzisz, mój synu, tutaj czas zmienia się w przestrzeń”.

Najpierw zmienia się go w przestrzeń, a potem idzie się przez nią, ale, jak zauważył Parsifal, on się nie poruszał, on stał w miejscu, to krajobraz

się zmieniał, podlegał metamorfozie. Przez chwilę Parsifal, podobnie jak Grubas, niewątpliwie doświadczył podwójnej ekspozycji, nakładania się rzeczywistości. To jest właśnie czas snu, który istnieje teraz, nie w przeszłości, to jest miejsce, w którym bogowie i herosi żyją i dokonują swoich czynów.

Absolutnie najbardziej zaskakującym wnioskiem, do jakiego doszedł Grubas, była koncepcja wszechświata irracjonalnego, rządzonego przez irracjonalny umysł demiurga. Gdyby jednak uznawać wszechświat za racjonalny, to wówczas czynnik włamujący się do niego z zewnątrz mógłby zostać uznany za irracjonalny, ponieważ nie pasowałby do reszty. Grubas jednak, któremu się wszystko pokręciło, widział element racjonalny włamujący się do irracjonalnego. Nieśmiertelny plazmat dokonał inwazji naszego świata i plazmat jest całkowicie racjonalny, podczas gdy nasz świat nie. Ta konstrukcja stanowi podstawę rozumienia świata przez Grubasa. To jest podstawa wszystkiego.

Przez dwa tysiące lat jedyny racjonalny element w naszym świecie trwał w uśpieniu. W roku 1945 obudził się, wyszedł ze stadium uśpionego ziarna i zaczął rosnąć. Rósł w sobie i zapewne w innych ludziach, a także rósł na zewnątrz, w makroświecie. Jak już powiedziałem, Grubas nie potrafił ocenić jego rozległości. Kiedy coś zaczyna pochłaniać nasz świat, to sprawa jest poważna. Jeżeli pochłaniająca go istota jest zła albo szalona, to sprawa jest nie tylko poważna, jest ponura. Grubas jednak patrzył na ten proces od innej strony. Widział go dokładnie tak, jak Platon w swojej kosmologii: oto racjonalny umysł (noos) wypiera to, co irracjonalne (przypadek, ślepy determinizm, ananke) w kosmos.

Proces ten został przerwany przez Imperium.

Imperium wcale się nie rozpadło. Aż do teraz, aż do sierpnia 1974 roku, kiedy Imperium otrzymało miażdżący, może śmiertelny cios z ręki, że tak

powiem, nieśmiertelnego plazmatu, który odrodził się w swojej formie czynnej i wykorzystuje ludzi jako swoich fizycznych agentów.

Koniolub Grubas był jednym z tych agentów. Był, można powiedzieć, rękami plazmatu, wyciągniętymi, żeby zdusić Imperium.

Grubas wywnioskował z tego, że ma do wypełnienia misję, że inwazja plazmatu na niego dowodzi zamiaru wykorzystania go dla realizacji zbawiennych celów.



Ja też miałem sny o innym miejscu, o jeziorze gdzieś na północy, o chatkach i małych wiejskich domach stojących nad jego południowym brzegiem. We śnie przyjeżdżam tam z Południowej Kalifornii, gdzie mieszkam. Tu jest miejscowość wakacyjna, ale bardzo staromodna. Wszystkie domy są drewniane, pokryte brązowymi gontami tak popularnymi w Kalifornii przed drugą wojną światową. Drogi są polne, samochody też są starsze. Dziwne jest to, że w północnej części Kalifornii nie ma takiego jeziora. W prawdziwym życiu przejechałem całą trasę na północ aż do Oregonu i w samym Oregonie. Siedemset mil bez żadnego jeziora.

Gdzie naprawdę jest to jezioro wraz z domami i drogami wokół niego? Śniłem o nim niezliczone razy. Ponieważ we śnie wiem, że jestem na wakacjach, że na stałe mieszkam w Południowej Kalifornii, to czasem w tych snach wracam samochodem tutaj, do hrabstwa Orange. Kiedy jednak przybywam na miejsce, okazuje się, że mam tu dom, podczas gdy w rzeczywistości mam mieszkanie. We śnach jestem żonaty, w rzeczywistości żyję samotnie. Co dziwniejsze, moją żoną jest kobieta, której na jawie nigdy nie widziałem.

W jednym śnie jesteśmy we dwoje w ogródku przy domu, gdzie podlewamy i pielęgnujemy róże. Widzę sąsiedni dom, jest to dworek i mamy z nim wspólną betonową ścianę zaporową. Pod ścianą, żeby ją upiększyć, zostały posadzone dzikie róże. Przechodząc z grabiami obok pojemników na śmiecie, z zielonego plastyku, wypełnionych obciętymi gałązkami, patrzę na żonę, która podlewa węzem, patrzę na krzewy dzikich róż na tle ściany zaporowej i jest mi dobrze. Myślę, że nie mógłbym być szczęśliwy w Południowej Kalifornii, gdybyśmy nie mieli tego ładnego domu z pięknym ogródkiem. Lepiej byłoby mieć ten sąsiedni dworek, ale i tak mogę na niego patrzeć i mogę zawsze przejść do jego większego ogrodu. Żona ma na sobie dżinsy, jest szczupła, i ładna.

Budząc się myślę, że warto by wybrać się na północ nad jezioro. Choć tu jest pięknie, z żoną, ogródkiem i dzikimi różami, to nad jeziorem jest jeszcze piękniej. Nagle uświadamiam sobie, że mamy styczeń i autostrada będzie zaśnieżona, jak tylko wyjadę poza Strefę Zatoki. To nie jest odpowiednia pora na wyprawę do chaty nad jeziorem, powinienem z tym poczekać do lata, należą przecież do ostrożnych kierowców. Chociaż samochód mam dobry, prawie nowe, czerwone capri. Wtedy budzę się bardziej i dociera do mnie, że w Południowej Kalifornii mam mieszkanie, nie dom, i jestem samotny. Nie mam żony. I że nie ma takiego domku z ogródkiem i krzewami dzikich róż na tle wysokiej ściany zaporowej. Co dziwniejsze, nie tylko nie posiadam chaty nad jeziorem na północy stanu, ale w Kalifornii nie ma takiego jeziora. Mapa, którą mam w umyśle w swoim śnie, jest fałszywa, nie przedstawia Kalifornii. Jaki zatem stan przedstawia? Waszyngton? Na północy stanu Waszyngton jest duże jezioro, przelatywałem nad nim w drodze do Kanady i potem do Seattle.

I skąd ta żona? Nie tylko jestem teraz samotny, ale ta kobieta nigdy nie była moją żoną i nigdy jej nie widziałem na oczy. A jednak we snach

kochałem ją uczuciem głębokim, swobodnym i poufałym, jakie rodzi się tylko po upływie wielu wspólnie spędzonych lat. Tylko, skąd ja to wiem, skoro nie miałem nikogo, do kogo żywiłbym taką miłość?

Wstawszy z łóżka (odbywałem wczesnowieczorną drzemkę), wchodzę do saloniku i staję ogłuszony sztucnością mojego życia. Stereo (to syntetyka); telewizor (to niewątpliwie syntetyka); książki, przeżycia z drugiej ręki, na pewno w porównaniu z jazdą wąską polną drogą biegnącą wzdłuż jeziora, pod gałęziami drzew, do mojej chaty. Jaka chata? Jakie jezioro? Pamiętam nawet, jak zostałem tam przywieziony po raz pierwszy przez matkę. Teraz czasami udaję się tam samolotem. Jest bezpośrednio połączenie lotnicze między Południową Kalifornią a jeziorem... to tylko kilka mil od lotniska. Jakiego lotniska? Ale, co najważniejsze, jak mogę znieść to sztuczne życie w tym plastikowym mieszkaniu, przede wszystkim bez niej, mojej szczupłej żony w dżinsach?

Gdyby nie Koniolub Grubas i jego spotkanie z Bogiem, Zebrą czy Logosem, gdyby nie ta druga osoba żyjąca w głowie Grubasa, ale w innym czasie i miejscu, przeszedłbym nad swoimi snami do porządku. Pamiętam artykuły o ludziach, którzy osiedlili się nad jeziorem. Należą oni do łagodnie nastawionej grupy religijnej, przypominającej kwakrów (zostałem wychowany jako kwakier), poza jedną regułą, że dzieci nie wolno kłaść do drewnianych kołyszek. Była to ich szczególna, heretycka cecha. Również mówi się o nich (mam przed oczami stronę gazety z tym artykułem), że „co jakiś czas rodzi się wśród nich jeden lub dwóch ludzi obdarzonych magiczną mocą”, co ma jakiś związek z ich awersją do drewnianych kołyszek. Jeżeli włoży się do takiej kołyski przyszłego czarodzieja, to stopniowo utraci on swoją moc.

Sny o innym świecie? Ale gdzie? Stopniowo wyobrażona mapa fałszywej Kalifornii blaknie, a wraz z nią jezioro, domy, drogi, ludzie,

samochody, lotnisko, klan wyznawców łagodnej religii z ich szczególną niechęcią do drewnianych kołyszek. Ale żeby to wszystko wyblakło, musi też wyblaknąć dużo powiązanych ze sobą snów, obejmujących długie lata rzeczywistego czasu.

Jedyny związek między tym krajobrazem ze snów i światem rzeczywistym to moje czerwone capri.

Dlaczego ten jeden element był taki sam w obu światach?

Mówi się o snach, że są „kontrolowaną psychozą” albo, innymi słowy, psychoza jest snem, który dochodzi do głosu na jawie. Co to oznacza w przypadku mojego snu o jeziorze, snu o obejmowaniu kobiety, której nigdy nie znałem i do której czuję prawdziwą i spokojną miłość? Czy w moim mózgu są też dwie osoby, jak w mózgu Grubasa? Rozdzielone, tylko w moim przypadku nie było odblokowującego symbolu, który by przypadkowo pobudził „tego drugiego” do przedarcia się przez ściankę działową do mojego świata i mojej osobowości?

Czy wszyscy jesteśmy jak Koniolub Grubas, tylko tego nie wiemy?

W ilu światach jednocześnie żyjemy?

Półprzytomny po drzemce włączam telewizor i próbuję oglądać program zatytułowany „Stare dobre dni Dicka Clarke’a, część druga”. Na ekranie pojawiają się kretyni i przygłupy, bełkocą jakieś brednie, zbaraniałe szczeniaki wrzeszczą w ekstatycznej aprobacie dla totalnego banału. Wyłączam telewizor. Mój kot domaga się jedzenia. Jaki kot? W snach moja żona i ja nie mamy żadnych zwierząt domowych. Mamy pięknie urządzone dom z dużym, dobrze utrzymanym ogrodem, w którym spędzamy wolne chwile. Mamy garaż na dwa samochody... nagle uświadamiam sobie ze zdziwieniem, że to jest drogi dom, że w swoich powiązanych snach jestem człowiekiem zamożnym. Prowadzę życie kogoś z górnej klasy średniej. To nie jestem ja. Nigdy bym nie prowadził takiego życia, a gdybym prowadził,

to czułbym się skrajnie głupio. Dorastałem w Berkeley i mam typowo berkeleyjską lewicowo socjalistyczną świadomość z jej podejrzliwym stosunkiem do zbyt wygodnego życia.

Osoba ze snu jest też właścicielem nieruchomości nad jeziorem. Ale cholerne capri jest takie samo. Na początku roku pojechałem i kupiłem nowiutkie capri ghia, na które w zasadzie mnie nie stać. Jest to samochód pasujący do tej osoby ze snu. Ten sen ma więc swoją logikę. Jako tamta osoba miałbym takie właśnie auto.

W godzinę po przebudzeniu się z tego snu wciąż widzę oczami duszy (cokolwiek to jest, może trzecie oko, ajna?), widzę, jak moja żona ubrana w dżinsy ciągnie węża ogrodowego po betonowym podjeździe. Drobnie szczegóły, żadnej akcji. Chciałbym być właścicielem tego pałacyku obok. Ja? W rzeczywistym życiu za nic nie chciałbym mieć pałacyku. Pogardzam bogaczami. Kim więc jestem? Ilu jest we mnie ludzi? Gdzie ja jestem? To plastikowe mieszkanie w Południowej Kalifornii nie jest moim domem, ale teraz, kiedy się obudziłem (jak sądzę), mieszkam tutaj z moim telewizorem (cześć, Dicku Clarke), z moim stereo (cześć, Oliwio Newton–John) i z moimi książkami (cześć, dziewięć milionów nadętych tytułów). W porównaniu z moim życiem we snach to życie jest samotne, puste i bezwartościowe, niegodne człowieka inteligentnego i wykształconego. A co z różami? Co z jeziorem? Gdzie jest szczupła, uśmiechnięta, urocza kobieta zwijająca zielonego ogrodowego węża? Osoba, którą jestem teraz, w porównaniu z osobą ze snów, jest zagubiona, przegrana i tylko jej się wydaje, że żyje pełnią życia. We snach widzę, na czym polega pełnia życia i nie ma to nic wspólnego z moim życiem na jawie.

Potem olśniła mnie dziwna myśl. Nie jestem w zbyt dobrych stosunkach z ojcem, który nadal żyje, jest po osiemdziesiątce i mieszka w Menlo Park w Północnej Kalifornii. Odwiedziłem go tylko dwukrotnie i było to przed

dwudziestu laty. Jego dom był podobny do tego, który posiadam we śnie, jego aspiracje i osiągnięcia pasują do tej osoby ze snu. Czyżbym we śnie zmieniał się w swojego ojca? Ten człowiek ze snu, ten drugi ja, jest w moim wieku albo młodszy. Tak, sądząc po tej kobiecie, po mojej żonie, dużo młodszy. W swoich snach cofnąłem się w czasie nie do swojej własnej młodości, ale do młodości ojca! We snach wyznaję poglądy ojca na to, jak sprawy powinny wyglądać i na czym polega dobre życie. Te jego poglądy są tak silne, że utrzymują się we mnie jeszcze przez godzinę po przebudzeniu. Rzecz jasna, że czuję wtedy niechęć do swojego kota, mój ojciec nienawidzi kotów.

W dziesięcioleciu przed moim urodzeniem ojciec jeździł na północ nad jezioro Tahoe. Może mieli tam z matką chatę. Nie wiem, bo nigdy tam nie byłem.

Pamięć filogenetyczna, pamięć gatunkowa. Nie moja własna, ontogenetyczna. „Ontogeneza jest powtórzeniem filogenezy”, jak się to ujmuje. Każdy osobnik nosi w sobie historię całego swojego gatunku, aż do jego narodzin. Do Rzymu starożytnego, do Krety minojskiej, do gwiazd. Ja doszedłem tylko do tego, że cofnąłem się we śnie o jedno pokolenie. To jest pamięć banku genetycznego, pamięć DNA. To wyjaśnia kluczowe doświadczenie Konioluba Grubasa, w którym symbol chrześcijańskiej ryby odhamował osobowość sprzed dwóch tysięcy lat... Dlatego, że symbol pochodził sprzed dwóch tysięcy lat. Gdyby mu pokazano starszy symbol, cofnęłyby się jeszcze dalej, przecież warunki do tego były idealne, bo właśnie kończyło się działanie na niego pentatholu sodu, zwanego „serum prawdy”.

Grubas ma inną teorię. On uważa, że mamy naprawdę rok 103 naszej ery (albo, jak ja piszę Anno Domini, do diabła z Grubasem i jego modernizmami). Żyjemy faktycznie w czasach apostołskich, ale, maya,

albo to, co Grecy nazywali dokos, przesłania nam obraz świata. To jest podstawowy koncept dla Grubasa: dokos, zasłona ułudy, tego, co się tylko wydaje. Sytuacja ta wiąże się z czasem, z tym, czy czas jest rzeczywisty.

Zacytuję Heraklita na własną odpowiedzialność, bez oglądania się na pozwolenie Grubasa. „Czas jest dzieckiem rzucającym kości. Królestwo jest w ręku dziecka”. Jezu Chryste! Co to znaczy? Edward Hussey mówi o tym fragmencie: „Tutaj, jak zapewne i u Anaksymandra, «czas» jest synonimem Boga, z etymologiczną sugestią jego wieczności. Nieskończenie stary Bóg jest dzieckiem grającym w grę planszową i przesuwającym kosmiczne pionki zgodnie z regułami walki”. Chryste, co się tu dzieje? Gdzie my jesteśmy i kiedy my jesteśmy, i kim my jesteśmy? Iloma ludźmi w ilu miejscach i w ilu czasach? Pionki na planszy przesuwane ręką „nieskończenie starego Boga”, który jest dzieckiem!

Wracam do butelki koniaku. Koniak mnie uspokaja. Czasami, zwłaszcza po wieczorze spędzonym na rozmowie z Grubasem, czuję, że świruję i potrzebuję czegoś na uspokojenie. Mam mrozące krew w żyłach uczucie, że on trafił na coś prawdziwego i autentycznie przerażającego. Co do mnie, to nie mam ambicji dokonywania wiekopomnych odkryć teologicznych ani filozoficznych, ale stało się, że spotkałem Konioluba Grubasa, musiałem poznać jego i jego poronione pomysły zrodzone z jego szczególnego spotkania z Bóg wie czym. Może z najwyższą rzeczywistością. Cokolwiek to było, na pewno było to coś żywego i myślącego. I w żadnym razie nie było podobne do nas, wbrew temu, co mówi święty Jan (1 J 3, 1–2).

Rację miał Ksenofanes.

„Jest jeden Bóg, w niczym nie podobny do istot śmiertelnych, ani pod względem ciała, ani umysłu”.



Czy nie jest oksymoronem powiedzenie „nie jestem sobą”? Czy nie jest to werbalna sprzeczność, wypowiedź semantycznie pozbawiona sensu? Okazało się, że Grubas jest Thomasem, ja zaś, przemyślawszy informacje zawarte w moich snach, doszedłem do wniosku, że jestem własnym ojcem, ożenionym z moją matką, kiedy była jeszcze młoda, przed moim urodzeniem. Jak sądzę, zagadkowa uwaga, że „co jakiś czas rodzi się jeden lub dwóch ludzi obdarzonych magiczną mocą” miała mi dać do myślenia. Odpowiednio wyprzedzająca nas technika musiałaby się nam wydać formą czarów, wskazał to kiedyś Arthur C. Clarke. Czarownik ma do czynienia z czarami, ergo, „czarownik” to ktoś władający wysoko rozwiniętą techniką, której nie rozumiemy. Ktoś gra w grę planszową z czasem, ktoś dla nas niewidzialny. To nie Bóg. Jest to archaiczna nazwa nadana tej istocie przez dawne społeczeństwa i przez ludzi współczesnych, którzy ugrzęźli w anachronicznym myśleniu. Potrzebujemy nowej nazwy, ale to, z czym mamy do czynienia, to nic nowego.

Koniolub Grubas potrafi wędrować przez czas, potrafi cofać się w czasie o tysiące lat. Ci trzyocy ludzie prawdopodobnie żyją w dalekiej przyszłości i są naszymi wysoce rozwiniętymi potomkami. Zapewne to ich technika pozwoliła Grubasowi na odbycie tych jego podróży w czasie. W istocie dominująca osobowość Grubasa, Thomas, może wcale nie żyć w przeszłości, tylko w przyszłości i ujawniać się poza nim w postaci Zebry. Chcę powiedzieć, że ognie świętego Elma, rozpoznane przez Grubasa jako coś żywego i myślącego, to prawdopodobnie jedno z naszych własnych dzieci, które wróciło do naszego czasu.



ROZDZIAŁ ÓSMY

Nie zdecydowałem się na poinformowanie Grubasa, że jego spotkanie z Bogiem było, moim zdaniem, spotkaniem z nim samym z dalekiej przyszłości. Tak rozwiniętym, tak zmienionym, że nie był już istotą ludzką. Grubas sięgał pamięcią wstecz do gwiazd i spotkał istotę gotową na powrót do gwiazd, a po drodze kilka swoich wcieleń, kilka punktów na tej samej linii. Wszystkie one są tą samą osobą.

Zapis 13 w traktacie:

Pascal powiedział: „Cała historia to jeden nieśmiertelny człowiek, który nieustannie się uczy”. To jest ten Nieśmiertelny, którego czcimy, nie znając jego imienia. „Żył dawno temu, ale jest wciąż żywy” i „Apollo niedługo wróci”. Imię się zmienia.

Na pewnym poziomie Grubas odgadł prawdę: spotkał swoje przeszłe i przyszłe wcielenia, dwa przyszłe wcielenia. Jedno wczesne w postaci trzykolejnych istot i potem Zembrę, który jest bezcielesny.

W jakiś sposób przekroczył czas i nagromadzenie wcieleń wzdłuż liniowej osi czasu spowodowało, że wielość wcieleń złączyła się we wspólną osobowość.

Z tego połączenia wcieleń zrodził się Zebra, który jest ponad- albo pozaczasowy. Czysta energia, czysta żywa informacja. Istota nieśmiertelna, miłosierna, rozumna i skora do pomocy. Esencja racjonalnej istoty ludzkiej. W środku irracjonalnego wszechświata rządzonego przez irracjonalny Umysł staje człowiek racjonalny, a Koniolub Grubas jest tylko jednym jego przykładem. Ta wdzierająca się do naszego świata boska istota, z którą Grubas się zetknął w roku 1974, to był on sam. Grubas jednak był szczęśliwy żyjąc w przekonaniu, że spotkał Boga. Po pewnym namyśle postanowiłem nie dzielić się z nimi swoimi przemyśleniami. Mogłem się przecież mylić.

Wszystko to wiązało się z czasem. „Czas można pokonać”, pisał Mircea Eliade. O to właśnie chodzi. Wielka tajemnica misteriów eleuzyńskich, orfików, religii Serapisa, wczesnych chrześcijan, mistycznych kultów grecko-rzymskich, wyznawców Hermesa Trismegistosa i renesansowych hermetycznych alchemików, bractwa Różokrzyżowców, Apoloniusza z Tyany, Szymona Maga, Asklepiosa, Paracelsusa, Bruna polega na pokonaniu czasu. Istnieją odpowiednie techniki. Dante omawia je w swojej komedii. Jest to związane z pozbyciem się amnezji. Kiedy uwalniamy się od zapomnienia, prawdziwa pamięć rozszerza się w obie strony, na przeszłość i przyszłość, a także, o dziwo, na wszechświaty równoległe, nie tylko wzdłuż, ale i w poprzek.

To dlatego można zgodnie z prawdą powiedzieć, że Eljasz jest nieśmiertelny: przeszedł on do górnego Królestwa (jak to nazywa Grubas) i nie podlega już czasowi. Czas równa się temu, co starożytni nazywali „astralnym determinizmem”. Celem wszystkich misteriów było uwolnienie

inicjowanego od astralnego determinizmu, który, z grubsza, znaczy tyle co los. Grubas pisał o tym w swoim traktacie:

49. Istnieją dwa królestwa, górne i dolne. Górne, pochodzące z hiperwszechświata I czyli yang, Forma I u Parmenidesa, jest obdarzone świadomością i wolą. Dolne królestwo, czyli yin, Forma II u Parmenidesa, jest instynktowne, kierowane ślełą siłą, jest deterministyczne i pozbawione rozumu, ponieważ pochodzi z martwego źródła. W czasach starożytnych nazywano to „astralnym determinizmem”. Jesteśmy wprawdzie uwięzieni w dolnym królestwie, ale przez sakramenty, mocą plazmatu, możemy być z niego wyzwoleni. Dopóki astralny determinizm działa, nie zdajemy sobie nawet z niego sprawy, tak jesteśmy zaślepieni. „Imperium wcale się nie rozpadło”.

Siddhartha czyli Budda pamiętał wszystkie swoje poprzednie wcielenia. To dlatego otrzymał tytuł buddy, co znaczy „przebudzony”. Od niego wiedza na temat tego, jak to osiągnąć, przeszła do Grecji i ujawnia się w nauczaniu Pitagorasa, który zachowywał wiele ze swojej okultystycznej, mistycznej gnozy w tajemnicy. Jego uczeń Empedokles zerwał jednak ze związkiem pitagorejskim i ujawnił swoją wiedzę. Empedokles mówił prywatnie swoim przyjaciołom, że jest wcieleniem Apolla. On również, podobnie jak Budda i Pitagoras pamiętał swoje przeszłe wcielenia. Żaden z nich nie wspomniał jednak o zdolności do pamiętania przyszłych wcieleń.

Ci trójcy ludzie, których Grubas widywał, to był on sam na etapie oświecenia po rozwoju przez swoje różne i liczne wcielenia. W buddyzmie nazywa się to „nadludzkie boskie oko” (dibba-cakkhu), zdolność widzenia śmierci i odradzania się istot. Budda Gautama (Siddhartha) osiągnął ją w czasie swojego środkowego czuwania (między dziesiątą wieczorem a drugą w nocy). W czasie pierwszego czuwania (od szóstej rano do dziesiątej wieczorem) posiadał znajomość wszystkich, powtarzam, wszystkich swoich poprzednich wcieleń (pubbeni-vasanussati-nana). Nie powiedziałem tego Grubasowi, ale technicznie rzecz biorąc, został buddą. Uznałem, że

informowanie go o tym nie byłoby najlepszym pomysłem. Zresztą, jeżeli się jest buddą, to powinno się wpaść na to samemu.

Wydaje mi się ciekawym paradoksem, że budda, a więc ktoś przebudzony, nawet po czterech i pół latach może nie zauważyć, że się obudził. Grubas tymczasem ugrzązł totalnie w swojej olbrzymiej egzegezie, usiłując na próżno określić, co mu się przytrafiło. Bardziej przypominał człowieka potrąconego przez samochód niż Buddę.

– Ja pierdziele! – jak by to ujął Kevin po spotkaniu z Zebrą. – Co to było?

Kevin nie dałby się zwieść żadnemu ćpunowi. Miał do nich taki stosunek jak jastrzęb do królików. Egzegeza Grubasa nie robiła na nim żadnego wrażenia, ale, mimo to, pozostawał jego przyjacielem. Kevin kierował się zasadą „potępiaj uczynek, nie sprawcę”.

W tym czasie Kevin miał dobre samopoczucie. Jego negatywna opinia o Sherri znalazła potwierdzenie. To go zbliżyło z Grubasem. Kevin poznał się na niej, niezależnie od jej raka. I w rezultacie fakt, że umierała, nie miał dla niego najmniejszego znaczenia. Przemyślał to dobrze i doszedł do wniosku, że ten jej rak to lipa.

Obsesją Grubasa w tych dniach, podczas gdy coraz bardziej przejmował się Sherri, była myśl, że Zbawiciel wkrótce przyjdzie na świat, albo że już się narodził. Wkrótce gdzieś na świecie będzie znów stąpał po ziemi, albo już po niej stąpa.

Co Grubas zamierzał zrobić, kiedy Sherri umrze? Maurice krzyknął to kiedyś do niego w formie pytania. Czy miał zamiar umrzeć również?

Bynajmniej. Grubas rozmyślając i pisząc, grzebiąc po bibliotekach, otrzymując strzępki informacji w stanach hipnogogicznych i w snach od Zebry i próbując uratować cokolwiek z wraku swojego życia, postanowił

wyruszyć na poszukiwania Zbawiciela. Musi go odnaleźć, gdziekolwiek on jest.

To była ta misja, ten święty cel, jaki Zebra wyznaczył mu w marcu 1974 roku; to było to słodkie jarzmo, to radosne brzemie. Grubas, teraz już jako święty mąż, miał stać się jednym ze współczesnych trzech królów. Brakowało mu tylko znaku, jakiejś wskazówki, gdzie szukać. To nic, Zebra mu powie, znak przyjdzie od Boga. To był cały cel objawienia Zebry, wyprowadzić Grubasa w drogę.

– Czy to będzie Chrystus? – spytał usłyszawszy o tym nasz przyjaciel David, demonstrując tym samym swój katolicyzm.

– To jest piąty Zbawiciel – odpowiedział Grubas enigmatycznie. Ostatecznie Zebra wspominał o przyjściu Zbawiciela na kilka w pewnym sensie sprzecznych sposobów: jako o świętej Zofii, która jest Chrystusem, jako o Apollu, jako o Buddzie czyli Siddharthcie.

Będąc eklektykiem w swojej teologii, Grubas wyliczał cały szereg Zbawicieli. Byli tam Budda, Zaratustra, Jezus i Abu Al-Kasim Muhammad Ibn Haszim. Czasami dołączał też Maniego, następnym Zbawicielem nosiłby zatem numer piąty według krótszej listy lub numer szósty według listy dłuższej. Kiedy indziej Grubas włączał też Asklepiosa, co po dodaniu go do dłuższej listy dawałoby następnemu Zbawicielowi numer siódmy. Tak czy inaczej, ten nadchodzący Zbawiciel miał być ostatnim, miał panować jako król i sędzia nad wszystkimi narodami. Został ustawiony Zaratustrański most odsiewający dusze dobre (należące do światła) od dusz złych (należących do ciemności). Ma'at położyła pióro na szali wagi, aby porównać je z sercem każdego człowieka stojącego przed sądem Ozyrysa. Nastąpił czas gorączkowej działalności.

Grubas miał zamiar wziąć w tym udział, może podając Najwyższemu Sędziemu, Przedwiecznemu, Księżę Prawdy wspomnianą w Księdze

Daniela.

Wskazywaliśmy Grubasowi, że Księga Prawdy, zawierająca imiona wszystkich zbawionych, będzie, jak dobrze pójdzie, za ciężka dla jednego człowieka, że potrzebny będzie solidny dźwig. Grubasa to nie śmieszyło.

– Zaczekajcie, aż Najwyższy Sędzia zobaczy mojego przejechanego kota – powiedział Kevin.

– Do diabła z twoim zafajdanym, przejechanym kotem – powiedziałem.

– Mamy dosyć rozmów o twoim kocie.

Słuchając, jak Grubas rozwija przemyślnie plany odszukania Zbawiciela, choćby musiał jechać za nim na koniec świata, uświadomiłem sobie rzecz oczywistą: Grubas w istocie szukał swojej zmarłej przyjaciółki Glorii, za której śmierć ponosił, jak mu się zdawało, odpowiedzialność. Życie religijne całkowicie mu się pomieszało z życiem emocjonalnym. Dla niego „zbawiciel” znaczyło tyle, co „zmarła przyjaciółka”. Miał nadzieję, że się z nią połączy, jeszcze po tej stronie grobu. Skoro nie może pójść do niej na tamtą stronę, to odnajdzie ją tutaj. Tak więc, choć przeszła mu mania samobójcza, nadal był wariatem. Uważałem to mimo wszystko za postęp, thanatos przegrywał z erosem. Jak to ujął Kevin: „Może po drodze Grubas sobie gdzieś podupczy”.

Grubas, wyruszając w swoją świętą misję, miał szukać już dwóch nieżyjących kobiet: Glorii i Sherri. Ta unowocześniona wersja sagi o Graalu skłoniła mnie do zastanawiania się, czy podobnie erotyczne motywy nie kierowały poszukującymi Graala rycerzami z Montsavat, zamku, do którego zawędrował Parsifal. Wagner mówi, że trafiają tam tylko ci, których wezwał sam Graal. Krew Chrystusa umierającego na krzyżu została zebrana do tego samego kielicha, z którego pił na Ostatniej Wieczerzy, tak więc dosłownie napełnił się on jego krwią. W istocie to nie Graal, tylko ta krew wzywała rycerzy, krew, która nigdy nie umarła. Podobnie jak Zebra,

zawartość Graala to była plazma, a raczej, jak to nazywał Grubas, plazmat. Najpewniej Grubas miał gdzieś w swojej egzegezie zapisane, że Zebra równa się plazmat, równa się święta krew ukrzyżowanego Chrystusa.

Grubasa, który, podobnie jak Parsifal, był kompletnym szaleńcem, wzywała krew kobiety roztrzaskanej o chodnik przed budynkiem szpitala Synanon w Oakland. Rzekomo słowo „parsifal” ma pochodzić od arabskiego „falparsi”, co znaczy „czysty głupiec”. To, oczywiście, nie jest prawda, choć w operze Kundry zwraca się do Parsifala w ten sposób. Faktycznie imię Parsifal pochodzi od Percevala, co jest po prostu imieniem własnym. Pozostaje w tym wszystkim jedna interesująca kwestia: poprzez Persję Graal jest utożsamiany z przedchrześcijańskim lapis exilix, czyli kamieniem filozoficznym. Kamień ten występuje później w alchemii hermetycznej, i za jego pomocą człowiek dostępuje przemiany.

Uwzględniając koncepcję Grubasa na temat symbiozy kosmicznej (istota ludzka skrzyżowana z Zebłą, Logosem czy plazmatem, żeby stać się homoplazmatem), można dostrzec w tym pewną logikę. Grubas uważał, że on został skrzyżowany z Zebłą, stał się zatem tym, o co chodziło hermetycznym alchemikom. Było więc naturalne, że poszukiwał Graala, chciał odnaleźć przyjaciela, samego siebie i swój dom.

Kevin, nieustannie wyśmiewając idealistyczne dążenia Grubasa, odgrywał rolę złego czarownika Klingsora. Zdaniem Kevina Grubas był napalony. W Grubasie thanatos–śmierć walczyła z erosem, utożsamianym przez Kevina nie z życiem, a z kopulacją. Nie było to tak całkiem głupie, mam na myśli zasadnicze przedstawienie dialektycznej walki toczącej się w psychice Grubasa. Jedna jej część pragnęła śmierci, druga pragnęła żyć. Thanatos może przybierać bardzo różne formy, może zabić erosa, pragnienie życia, a potem zająć jego miejsce. W takim przypadku człowiek znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie: myśli, że jest kierowany przez

erosa, podczas gdy w rzeczywistości jest to zamaskowany thanatos. Chciałem wierzyć, że Grubas nie wpadł w tę pułapkę, miałem nadzieję, że jego potrzeba odnalezienia Zbawiciela wynikała z erosa.

Prawdziwy Zbawiciel, czy też prawdziwy Bóg jest nosicielem życia, jest życiem. Każdy „zbawiciel”, każdy „bóg”, który niesie śmierć, jest tylko thanatosem w masce erosa. Dlatego Jezus ujawniał się jako prawdziwy Zbawiciel, nawet, kiedy nie chciał się tak nazywać, poprzez swoje uzdrawiające cuda. Ludzie wiedzieli, ku czemu te cuda prowadzą. Na samym końcu Starego Testamentu jest wspaniały fragment, który tę kwestię wyjaśnia. Bóg mówi: „A dla was, czczących moje imię, wszędzie słońce sprawiedliwości i uzdrowienie w jego skrzydłach. Wyjdziecie i będziecie podskakiwać jak wypuszczone na łąkę cielęta”.

W pewnym sensie Grubas miał nadzieję, że Zbawiciel uleczy to, co chore. Scali to, co zostało złamane. Na pewnym poziomie autentycznie wierzył, że zmarła Gloria może być przywrócona do życia. To dlatego okrutne cierpienie Sherri i jej rozrastający się rak zбивały Grubasa z tropu i podważały jego duchową nadzieję i wiarę. Zgodnie z systemem wyłożonym w jego egzegezie, opartej na jego spotkaniu z Bogiem, Sherri powinna była zostać uzdrowiona.

Grubas szukał czegoś naprawdę bardzo wielkiego. Chociaż technicznie rozumiał, dlaczego Sherri miała raka, duchowo nie mógł tego pojąć. Prawdę mówiąc, nie potrafił zrozumieć, dlaczego Syn Boży, Jezus, został ukrzyżowany. Ból i cierpienie nie miały dla niego sensu, nie pasowały mu do wielkiego planu. Stąd, rozumował, istnienie równie okropnych przypadłości było dowodem nieracjonalności we wszechświecie, stanowiło obrazę rozumu.

Grubas ponad wszelką wątpliwość traktował swoją projektowaną misję poważnie. Zgromadził na koncie prawie dwadzieścia tysięcy dolarów.

– Nie wyśmiewaj się z niego – powiedziałem kiedyś do Kevina. – Dla niego to ważne.

– Dla mnie też jest ważne przelecenie jakiejś laski – powiedział Kevin z właściwym mu prześmiewczo cynicznym błyskiem w oku.

– Daj spokój – powiedziałem. – Nie jesteś zabawny.

Kevin tylko szczyrzył zęby w uśmiechu.

W tydzień później Sherri nie żyła.

Teraz, tak jak przewidywałem, Grubas uważał, że ma dwie śmierci na sumieniu. Nie potrafił uratować żadnej z tych dwóch kobiet. Kiedy się jest Atlasem, trzeba dźwigać wielki ciężar, a kiedy się go upuści, wielu jest poszkodowanych, cały świat ludzi, cały świat cierpienia. To przytłaczało obecnie Grubasa duchowo, nie fizycznie, taki ciężar. Ciągnął za sobą dwa trupy wzywające pomocy, krzyczące, chociaż nieżywe. Krzyk umarłych to coś naprawdę przerażającego, lepiej go nie słyszeć.

Bąłem się powrotu Grubasa do myśli o samobójstwie, a gdyby mu się nie udało, nowego pobytu w wyściełanej celi.

Ku mojemu zdziwieniu, kiedy go odwiedziłem, był całkowicie opanowany.

– Wyjeżdżam – powiedział.

– W swojej misji?

– Zgadłeś – powiedział Grubas.

– Dokąd?

– Nie wiem. Wyruszę i Zebra mnie poprowadzi.

Nie miałem żadnego powodu, żeby go zniechęcić do podróży, jakie miał inne wyjście? Siedzieć samotnie w mieszkaniu, które dzielił z Sherri? Wysłuchiwać, jak Kevin szydzi z bólu świata? Albo, jeszcze gorzej, słuchać paplaniny Davida o tym, jak to Bóg czyni dobro ze zła. Jeżeli coś mogło wpędzić Grubasa do domu wariatów, to na pewno znalezienie się w ogniu

krzyżowym między Kevinem i Davidem, między głupim, pobożnym i łatwowiernym a cynicznie okrutnym. A co ja mogłem dodać? Śmierć Sherri mną też wstrząsnęła, rozłożyła mnie na czynniki pierwsze, jak zabawkę rozebraną do stanu, w jakim znajdowała się w kolorowym pudełku w sklepie. Miałem ochotę powiedzieć: „Zabierz mnie ze sobą, Grubas. Wskaż mi drogę do domu”.

Podczas gdy tak siedzieliśmy z Grubasem pogrążeni w smutku, zadzwonił telefon. Była to Beth, która chciała się upewnić, czy Grubas wie, że spóźnia się o tydzień z alimentami.

– Moje byłe żony pochodzą od szczurów – powiedział Grubas odkładając słuchawkę.

– Powinieneś się stąd wynieść – powiedziałem.

– Zgadzasz się więc, że powinienem wyjechać?

– Tak.

– Mam dość pieniędzy, żeby pojechać, dokąd tylko zechcę. Myślałem o Chinach. Pomyślałem, gdzie jest najmniej prawdopodobne miejsce jego narodzin? W komunistycznym kraju, takim jak Chiny. Albo we Francji.

– Dlaczego we Francji? – spytałem.

– Bo zawsze chciałem zobaczyć Francję.

– No to jedź do Francji – powiedziałem.

– Co tu robić? – mruknął Grubas.

– Słucham?

– Nic, przypomniała mi się telewizyjna reklama czeków podróżnych American Express. „Co tu robić? Co tu robić?” Tak się teraz czuję. Oni mają rację.

– Mnie się podoba ta – powiedziałem – w której okradziony starszy mężczyzna mówi: „Miałem w portfelu sześćset dolarów. To najgorsza

rzecz, jaka mi się w życiu przytrafiła”. Jeżeli to jest najgorsza rzecz, jaka mu się przytrafiła...

– Tak – kiwnął głową Grubas. – Żył, jak u Pana Boga za piecem.

Wiedziałem, jaki obraz pojawił się przed oczami Grubasa, obraz umierających kobiet. Jednej zmiażdżonej upadkiem i drugiej rozerwanej od środka. Przebiegł mnie dreszcz i poczułem łzy w gardle.

– Ona się udusiła – powiedział wreszcie Grubas po chwili niskim głosem. – Ona się, psia mać, udusiła. Nie miała już czym oddychać.

– To okropne.

– Wiesz, co powiedział lekarz, żeby mnie pocieszyć? Że są choroby gorsze niż rak.

– Czy pokazał ci slajdy?

Obaj się roześmialiśmy. Kiedy człowiek prawie wariuje ze smutku, każda okazja do śmiechu jest dobra.

– Chodźmy na Sombrero Street – powiedziałem. Była tam dobra restauracja i bar, do którego lubiliśmy zaglądać. – Postawię ci drinka.

Doszliśmy do Main Street, a potem usiedliśmy w barze na Sombrero.

– Co słyhać u tej drobnej rudej pani, z którą pan tu przychodził? – spytała kelnerka przynosząc nam drinki.

– Wyjechała do Cleveland – powiedział Grubas i znów obaj wybuchnęliśmy śmiechem. Kelnerka pytała o Sherri. Było to zbyt okropne, żeby można to brać na poważnie.

– Znałem pewną kobietę – powiedziałem do Grubasa, podczas gdy sączyliśmy swoje drinki – i opowiadając jej o tym, że zdechł mi kot, wyraziłem się „spoczywa teraz w wieczności”, na co ona natychmiast z całą powagą mówi: „A mój kot jest pochowany w Glendale”. Wszyscy obecni włączyli się i zaczęliśmy porównywać pogodę w Glendale do pogody w wieczności. – Obaj z Grubasem tak ryczeliśmy ze śmiechu, że ludzie

zaczęli się na nas oglądać. – Musimy przestać się wygłupiać – powiedziałem.

– Czy w wieczności nie jest zimniej? – spytał Grubas.

– Tak, ale za to nie ma smogu.

– Może tam go znajdziemy – powiedział Grubas.

– Kogo? – spytałem.

– Jego. Piątego Zbawiciela.

– Czy pamiętasz wtedy u ciebie, kiedy Sherri zaczynała chemioterapię i włosy jej wypadały do kocięj miski z wodą, a biedny kot nie wiedział, co o tym myśleć?

– Co to jest, do cholery? – mówił Grubas cytując to, co kot by powiedział, gdyby umiał mówić. – Co to pływa w mojej misce? – Szczrzył zęby, ale w tym jego grymasie nie było śladu radości. Obu nam przeszła chęć do żartów. – Potrzebujemy Kevina, żeby nam poprawił humor – powiedział Grubas. – Choć z drugiej strony – burknął – może lepiej nie.

– Musimy się jakoś trzymać i tyle – powiedziałem.

– Wiesz co, Phil – zwierzył się Grubas. – Jak go nie znajdę, to umrę.

– Wiem – powiedziałem. To była prawda. Tylko Zbawiciel stał między Koniolubem Grubasem a nicością.

– Zostałem zaprogramowany na samozniszczenie. Guzik został wciśnięty.

– Uczucia, jakich doznajesz... – zacząłem.

– To jest racjonalne – powiedział Grubas. – W kontekście sytuacji. To prawda. To nie jest szaleństwo. Muszę go odnaleźć, gdziekolwiek jest, albo umrzeć.

– Wtedy ja też umrę – powiedziałem. – Jak ty umrzesz.

– To prawda – Grubas kiwnął głową. – Masz rację. Nie możesz istnieć beze mnie, tak jak ja nie mogę istnieć bez ciebie. Jedziemy na tym samym

wózku. Cholera. Co to za życie? Dlaczego takie rzeczy się zdarzają?

– Sam powiedziałaś. Wszechświat...

– Znajdę go – przerwał mi Grubas. Dopił swojego drinka, odstawił pustą szklankę i wstał. – Chodźmy do mnie. Chcę, żebyś posłuchał nowej płyty Lindy Ronstadt „Żyjąc w USA”. Jest naprawdę dobra.

– Kevin mówi, że Ronstadt jest skończona – powiedziałem, kiedy wychodziliśmy z baru.

– To Kevin jest skończony – powiedział Grubas przystając w drzwiach.

– Wyszarpnie tego cholernego kota spod marynarki na Sądzie Ostatecznym i wyśmieją go tak, jak on wyśmiewa się z nas. To jest coś, na co sobie zasłużył: Wielki Sędzia taki sam jak on.

– Niezły pomysł teologiczny – zauważyłem. – Człowiek staje przed samym sobą. Myślisz, że go znajdziesz?

– Zbawiciela? Tak, znajdę. Jak mi się skończy forsa, wrócę do kraju, popracuję trochę i znów wyjadę go szukać. Musi gdzieś być. Tak powiedział Zebra. I Thomas w mojej głowie... on wiedział... Pamiętał, że Jezus był tam całkiem niedawno i wiedział, że niedługo wróci. Oni byli wszyscy tacy radośni, byli przepełnieni radością, szykując się na jego powrót. Powrót oblubieńca. To było takie święto, Phil. Wszyscy biegli absolutnie szczęśliwi i podnieceni. Uciekali z Czarnego Żelaznego Więzienia z uśmiechem na twarzy, rozradowani, że rozwalili tej cholernie mury, całe więzienie. Wysadzili je w powietrze i uciekli śmiejąc się, całkowicie, absolutnie szczęśliwi. A ja byłem jednym z nich.

– I jeszcze będziesz – powiedziałem.

– Będę, kiedy go znajdę – powiedział Grubas. – A do tego czasu nie będę, nie mogę być, nie ma takiej możliwości. – Przystanął na chodniku z rękami w kieszeniach. – Tęsknię za nim, Phil, cholernie za nim tęsknię. Chcę z nim być, chcę czuć jego dłoń na ramieniu. Nikt inny nie może tego

zrobić. Widziałem go... w pewien sposób... i chcę go znów zobaczyć. Ta miłość, to ciepło... ta radość z jego strony, że to jestem ja, że mnie widzi, jego zadowolenie z tego, że mnie poznaje. Słuchaj, on mnie zna!

– Wiem – powiedziałem z zażenowaniem.

– Nikt nie wie, jak to jest: zobaczyć go, a potem go nie widzieć. Minęło prawie pięć lat... – Zrobił nieokreślony gest. – Pięć lat czego? A co było przedtem?

– Znajdziesz go – powiedziałem.

– Muszę – rzekł Grubas. – Albo zginę. I ty też, Phil. Obaj to wiemy.

Przywódca rycerzy Graala, Amfortas, miał nie gojącą się ranę, odkąd Klingsor ugodził go włócznią, którą przebito bok Chrystusa. Kiedy później Klingsor rzuca tą samą włócznią w Parsifala, ten czysty głupiec chwytą włócznię, która zawisa w powietrzu i robi nią znak krzyża, na co Klingsor i cały jego zamek znikają. Bo nigdy naprawdę nie istniały, były złudzeniem, tym, co Grecy nazywali dokos, a co Hindusi nazywają zasłoną mai.

Dla Parsifala nie ma teraz rzeczy niemożliwych. Na końcu opery dotyka włócznią rany Amfortasa i rana się goi. Amfortas, który już tylko modlił się o śmierć, zostaje uleczony. Powtarzane są wtedy bardzo tajemnicze słowa, których nie rozumiem, mimo że potrafię czytać po niemiecku.

*Gesegnet sei dein Leiden,
Das Mitleids höchste Kraft,
Und reinsten Wissens Macht
Den zagen Toren gab!*

Jest to jeden z kluczy do historii Parsifala, czystego głupca, który rozwiewa złudzenia czarownika Klingsora i jego zamku oraz leczy ranę Amfortasa. Ale jak to rozumieć?

Błogosławione twoje cierpienie,

*Które dało nieśmiałemu głupcowi
Litości najwyższą moc
I siłę najczystszej wiedzy.*

Nie wiem, jak to rozumieć, ale wiem, że w naszym przypadku czysty głupiec, czyli Koniolub Grubas, miał nie gojącą się ranę i odczuwał związane z tym cierpienie. No dobrze, rana była zadana włócznią, która przebiła bok Zbawiciela i tylko ta sama włócznia może ją uleczyć. W operze po uleczeniu Amfortasa otwiera się zamknięta od niepamiętnych czasów kaplica i ukazuje się Graal, przy czym niebiańskie głosy śpiewają:

Erlösung dem Erlöser!

Co jest bardzo dziwne, bo znaczy „zbawienie dla Zbawiciela”, czyli Zbawiciel zbawiony. Innymi słowy Chrystus zbawił siebie. Jest na to termin techniczny: *Salvator salvandus*.

„Fakt, że dla wykonania tego zadania wieczny posłaniec musi sam przyjąć na siebie los wcielenia i kosmicznego wygnania i dalszy fakt, że przynajmniej w irańskiej wersji tego mitu jest on w pewnym sensie identyczny z tymi, których wzywa – zbłąkanymi cząstkami swojej boskiej osoby – dał początek wstrząsającej idei »zbawionego zbawiciela« (*salvator salvandus*)”.

Moje źródło jest szacowne: *Encyklopedia filozofii*, Nowy Jork 1967, artykuł o gnostycyzmie. Usiłuję zrozumieć, jak się to ma do Grubasa. Co to jest ta „litości moc najwyższa”? W jaki sposób litość ma moc leczenia ran? I czy Grubas może ulitować się nad sobą i przez to samo uleczyć swoją ranę? Czy to oznaczałoby, że Koniolub Grubas jest zbawicielem, zbawicielem zbawionym? To chyba jest myśl, którą wyraża Wagner. Idea zbawionego zbawiciela ma źródło gnostyckie. A jak trafiła do *Parsifala* ?

Może Grubas szukał samego siebie, kiedy wyruszał na poszukiwanie Zbawiciela. Żeby uleczyć ranę zadaną mu najpierw przez śmierć Glorii, a potem przez śmierć Sherri. Tylko co we współczesnym świecie jest odpowiednikiem wielkiego kamiennego zamku Klingsora?

To, co Grubas nazywa Imperium? Czarne Żelazne Więzienie?

Czyżby Imperium, które „nigdy się nie rozpadło”, było złudzeniem?

Wypowiedziane przez Parsifala słowa, które powodują zniknięcie wielkiego kamiennego zamku (i samego Klingsora), brzmią:

Mit diesem Zeichen bann' Ich deinen Zauber.

(Tym znakiem obalam twoje czary.)

Ten znak to, oczywiście, znak krzyża. Zbawicielem Grubasa jest, jak już do tego doszedłem, sam Grubas. Zebra to wszystkie jego wcielenia wzdłuż osi czasu łączone w jedną ponad- albo pozaczasową jaźń, która nie może umrzeć i która wróciła, żeby uratować Grubasa. Nie mam jednak odwagi powiedzieć mu, że szuka samego siebie. On nie jest przygotowany na wzięcie pod uwagę takiej możliwości, gdyż podobnie jak my wszyscy szuka zewnętrznego zbawiciela.

„Litości moc najwyższa” to bzdura. Litość nie ma żadnej mocy. Grubas czuł ogromną litość dla Glorii i czuł ogromną litość dla Sherri i w obu przypadkach guzik to pomogło. Czegoś brakowało. Każdy to wie, każdy, kto przyglądał się bezradnie choremu albo umierającemu człowiekowi, czy choremu albo umierającemu zwierzęciu, czując ogromną litość, przemożną litość i zdając sobie sprawę, że ta litość, choćby największa, jest całkowicie bezsilna.

A więc ranę uleczyło coś innego.

Dla mnie, Davida i Kevina, była to sprawa poważna, ta rana Grubasa, która nie chciała się zagoić, ale która musiała się zagoić, żeby Grubas mógł wyzdrowieć, a mogła się zagoić tylko pod warunkiem, że Grubas odnajdzie swojego Zbawiciela. Czy w przyszłości kryła się jakaś magiczna scena, w której Grubas odzyskuje zmysły, odkrywa, że to on sam jest Zbawicielem i tym samym automatycznie zostaje uleczony? Mało prawdopodobne. Ja bym na to nie liczył.

Parsifal jest jednym z tych spiralnie pokrętnych dzieł kultury, po kontakcie z którym człowiek ma poczucie, że czegoś się dowiedział, czegoś cennego, a może nawet bezcennego, ale po głębszej analizie nagle drapie się w głowę i powiada: „Chwileczkę, przecież to nie ma sensu”. Już widzę, jak Ryszard Wagner stoi przed bramą do Raju. „Wpuśćcie mnie, powiada. Jestem autorem *Parsifala*. Jest tam o świętym Graalu, Chrystusie, cierpieniu, litości i uzdrowieniu”. A oni na to: „Wiemy, czytaliśmy i to się nie trzyma kupy”. I TRZASK mu bramę przed nosem. Wagner ma rację i oni mają rację. To kolejna chińska pułapka na palec.

Albo może to ja czegoś nie rozumiem. Może mamy do czynienia z paradoksem zen. Najwięcej sensu ma to, co nie ma sensu, a ja popadam w najcięższy z grzechów, używam Arystotelesowskiej dwuwartościowej logiki: „Coś jest albo A, albo nie-A”. Prawo wyłącznego środka. Wszyscy wiedzą, że Arystotelesowska dwuwartościowa logika jest gównem warta. Chcę powiedzieć – że...

Kevin w tym miejscu powiedziałby „tere-fere kuku”. Mówi tak zawsze, kiedy Grubas czyta nam na głos fragmenty swojej egzegezy. Dla Kevina nie ma spraw głębokich. On ma rację. Przecież moje próby zrozumienia, jak Koniolub Grubas uleczy-zbawi Konioluba Grubasa, to nic innego, jak powtarzanie w kółko tere-fere kuku. Ponieważ Grubas nie może być zbawiony. Uzdrowienie Sherri miało stanowić rekompensatę za utratę

Glorii, ale Sherri umarła. Po śmierci Glorii Grubas połknął czterdzieści dziewięć tabletek trucizny, a my teraz mamy nadzieję, że śmierć Sherri go nie załamie, że Grubas odnajdzie Zbawiciela (jakiego Zbawiciela?) i zostanie uleczony, uleczony z rany, która jeszcze przed śmiercią Sherri była nieuleczalna. Teraz nie ma już Konioluba Grubasa, jest tylko ta rana.

Koniolub Grubas nie żyje. Został wciągnięty do grobu przez dwie złośliwe kobiety. A dał się wciągnąć, bo jest głupcem. To kolejna nonsensowna rzecz w *Parsifalu*, pomyśl, że głupota ma moc zbawczą. Dlaczego? W *Parsifalu* cierpienie dało nieśmiałemu głupcowi „litości najwyższą moc”. W jaki sposób? Dlaczego? Może mi to ktoś wyjaśni?

Proszę mi pokazać, w jaki sposób cierpienie Glorii i cierpienie Sherri wzbogaciło czymś Grubasa, kogokolwiek, cokolwiek. To kłamstwo. To złe kłamstwo. Cierpienie należy zlikwidować. Co prawda, Parsifal to właśnie zrobił lecząc ranę Amfortasa. Jego cierpienie ustało.

Potrzeba nam lekarza, nie cudownej włóczni. Przytoczę zapis 45 z traktatu Grubasa.

45.Ujrzawszy w wizji Chrystusa słusznie powiedziałem do niego „Potrzebujemy pomocy medycznej”. W tej wizji był też szalony stwórca niszczący to, co stworzył, bez celu, czyli inaczej mówiąc, irracjonalnie. To jest ten element szaleństwa w Umyśle. Chrystus jest naszą jedyną nadzieją, gdyż nie możemy już zwrócić się do Asklepiosa. Asklepios przyszedł przed Chrystusem i wskrzesił człowieka z martwych. Za ten czyn Zeus kazał cyklopom zabić go piorunem. Chrystus też został za to zamordowany, za wskrzeszenie człowieka z martwych. Eljasz też wskrzesił chłopca i wkrótce po tym zniknął w wichrze ognistym. „Imperium wcale się nie rozpadło”.

46.Lekarz przybywał do nas nie raz pod różnymi imionami, ale my nie jesteśmy jeszcze uleczeni. Imperium rozpoznawało go i wydalalo. Tym razem on zabije Imperium za pomocą fagocytozy.

Pod wieloma względami egzegeza Grubasa jest bardziej logiczna niż *Parsifal*. Grubas odbiera wszechświat jako żywy organizm, do którego dostała się trująca molekula. Ta trująca molekula, składająca się z ciężkiego metalu, zagnieżdżyła się w organizmie wszechświata i zatruwa go. Organiczny wszechświat wysyła białe ciało, którym jest Chrystus. Otacza on trującą metalową molekułę, Czarne Żelazne Więzienie, i zaczyna ją niszczyć.

41.Imperium jest kodyfikacją, jest instytucją obłądu. Samo jest obłąkane i narzuca nam swój obłąd za pomocą gwałtu, ponieważ gwałt leży w jego naturze.

42.Walczyć z Imperium znaczy zarazić się jego obłądem. Jest to paradoks – każdy, kto pokona fragment Imperium, staje się częścią Imperium. Imperium rozmnaża się jak wirus, narzucając swoją formę wrogom. W ten sposób zmienia się w swoich wrogów.

*43.Przeciwko Imperium występuje żywa informacja, plazmat czyli lekarz, którego znamy jako Ducha Świętego albo Chrystusa bezcielesnego. To są dwa pierwiastki, ciemność (Imperium) i światło (plazmat). W końcu Umysł przyzna zwycięstwo światłu. Każdy z nas zginie albo przeżyje w zależności od tego, po której stronie stanie. Każdy z nas nosi w sobie element obu tych pierwiastków. W końcu jeden z nich zatryumfuje w każdym człowieku. Zaratustra to wiedział, bo został poinformowany przez Mądry Umysł. Był pierwszym zbawicielem. * [przyp.: Grubas opuścił Buddę, może dlatego, że nie rozumie, kim i czym jest Budda.]Było ich dotychczas czterech. Wkrótce urodzi się piąty, który będzie się różnił od poprzednich – on będzie panował i sądził.*

Kevin może sobie mówić „tere–fere kuku”, ilekroć Grubas cytuje swój traktat, ale, moim zdaniem, coś w tym jest. Grubas widzi proces kosmicznej fagocytozy, w którym każdy z nas w mikroformie ma swój udział. Trująca metalowa molekula tkwi w każdym z nas. „Jako na górze (makrokosmos), tako i na dole” (mikrokosmos, czyli człowiek). Wszyscy jesteśmy ranni i

wszyscy potrzebujemy lekarza: Żydzi Eljasza, Grecy Asklepiosa, chrześcijanie Chrystusa, gnostycy Zaratustry, wyznawcy Maniego... i tak dalej. Umieramy, ponieważ rodzimy się chorzy, z metalowym odłamkiem, ranni jak Amfortas. A kiedy zostaniemy uzdrowieni, będziemy nieśmiertelni, tak byłoby od początku, gdyby odłamek trującego metalu nie wdarł się w makrokosmos i jednocześnie w jego mikrokosmiczne formy, czyli w nas.

Weźcie kota, który drzemie wam na kolanach. Jest zraniony, ale na razie tego nie widać. Coś go zżera, podobnie jak Sherri. Chcecie się założyć, że to nieprawda? Nałóżcie na siebie wszystkie obrazy kota z czasu linearnego w jedną całość, a otrzymacie coś zmasakrowanego i nieżywego. Ale zdarza się cud i niewidzialny lekarz przywraca kota do życia.

„Tak więc wszystko trwa jedynie przez chwilę i zmierza ku śmierci. Roślina i owad giną z końcem lata, zwierzę i człowiek po kilku latach, śmierć zbiera swoje żniwo niestrudzenie. A jednak mimo to, jakby zadając temu kłam, wszystko jest na swoim miejscu, zupełnie jakby wszystko było niezniszczalne... Jest to nieśmiertelność doczesna. W konsekwencji tego, mimo tysięcy lat śmierci i rozkładu, nic nie zostało utracone, ani jeden atom materii, a tym bardziej nic z istoty wewnętrznej, przejawiającej się jako natura. Możemy zatem w każdej chwili radośnie wykrzyknąć: «Wbrew czasowi, śmierci i rozkładowi jesteśmy wciąż wszyscy razem» (Schopenhauer).

Schopenhauer chce nam powiedzieć, że kot, którego widzimy teraz na podwórku, jest tym samym kotem, który chodził po podwórku trzysta lat temu. Grubas zetknął się z tym w przypadku Thomasa, trójkich ludzi i przede wszystkim bezcielesnego Zebry. Starożytny argument na rzecz nieśmiertelności brzmiał tak: Jeżeli każda istota rzeczywiście umiera, jak się nam wydaje, to życie nieustannie ucieka ze wszechświata i zanika. W

końcu wszelkie życie zaniknie, bo od śmierci nie ma wyjątków. Ergo, wbrew temu, co widzimy, życie w jakiś sposób nie podlega śmierci.

Wraz z Glorią i Sherri Grubas umarł, lecz mimo to żył dalej jako Zbawiciel, którego postanowił odnaleźć.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Oda Wordswortha nosi podtytuł: *Przebłąski nieśmiertelności ze wspomnień wczesnego dzieciństwa*. W przypadku Grubasa „przebłąski nieśmiertelności” pochodziły ze wspomnień przyszłości.

W dodatku Grubas mimo najlepszych chęci nie potrafił za cholerę pisać wierszy. Uwielbiał *Odę* Wordswortha i chciałby móc stworzyć coś podobnego, ale mu nie wychodziło.

Tak czy inaczej Grubas zaczął myśleć o podróży. Myśli te przybrały określony kierunek. Pewnego dnia pojechał do Światowego Biura Podróży (oddział w Santa Ana) i wdał się w rozmowę z damą za kontuarem, z damą i jej komputerem.

– Tak, możemy panu zarezerwować miejsce na statku do Chin – powiedziała radośnie.

– A w samolocie? – spytał Grubas.

– Czy udaje się pan do Chin w celach zdrowotnych?

Grubas był zaskoczony tym pytaniem.

– Wiele osób z krajów zachodnich udaje się do Chin, żeby korzystać z usług lekarskich – wyjaśniła dama. – Nawet ze Szwecji, jak słyszałam. Koszty leczenia są w Chinach wyjątkowo niskie... ale może pan to już wie. Czy jest pan zorientowany? Ponieważ operacja kosztuje około trzydziestu dolarów w pewnych przypadkach. – Zaczęła szukać wśród broszur, uśmiechając się radośnie.

– Możliwe – powiedział Grubas.

– Potem może pan to odliczyć z podatku dochodowego. Widzi pan, jak dbamy o klientów w naszym biurze?

Grubas silnie odczuwał ironię tej marginalnej sprawy. Oto on, który szukał piątego Zbawiciela, miał prawo odliczyć koszty swoich poszukiwań z podatku stanowego i federalnego. Kiedy wieczorem wpadł do niego Kevin, Grubas opowiedział mu o tym, spodziewając się, że Kevin będzie złośliwie rozbawiony.

Kevin jednak miał w zanadrzu coś zupełnie innego.

– A może byśmy tak jutro poszli do kina? – spytał zagadkowym tonem.

– Na co? – Grubas wykrył w głosie przyjaciela jakiś podskórny ładunek. Znaczyło to, że Kevin coś knuje. Ale oczywiście, zgodnie ze swoim charakterem, niczego nie wyjaśnił.

– To film fantastyczno–naukowy – powiedział i to było wszystko.

Następnego wieczoru on, ja i Kevin pojechaliśmy do małego kina na Tustin Avenue. Uznałem, że skoro mają oglądać film fantastyczno–naukowy, to powinienem pójść z nimi ze względów zawodowych.

Kevin zaparkował swoją małą czerwoną hondę i zobaczyliśmy reklamę nad kinem.

– „Valis” – przeczytał Grubas. – „Mother Goose”. Co to jest „Mother Goose”?

– Grupa rockowa – powiedziałem rozczarowany. Nie wyglądało to na coś, co mogłoby mi się podobać. Kevin miał dziwne upodobania muzyczne i filmowe. Widocznie tutaj udało mu się je połączyć.

– Widziałem ten film – powiedział Kevin zagadkowo. – Chodźcie ze mną, nie będziecie rozczarowani.

– Widziałeś to – zdziwił się Grubas – i chcesz pójść jeszcze raz?

– Chodźcie – powtórzył Kevin.

Zajmując miejsca w kinie zauważyliśmy, że widownia składa się głównie z nastolatków.

– Mother Goose to Eric Lampton – mówił Kevin. – Jest autorem scenariusza i gra główną rolę.

– Śpiewa? – spytałem.

– Nie – odparł Kevin i to było wszystko, co miał do powiedzenia. Potem zamilkł.

– Co my tu robimy? – spytał Grubas.

Kevin spojrzał na niego bez słowa.

– Czy to coś w rodzaju twojego nagrania z bekaniem? – spytał Grubas. Kiedyś, kiedy był szczególnie przygnębiony, Kevin przyniósł mu kasetę, która, jak zapewniał, na pewno poprawi mu humor. Grubas musiał założyć swoje elektryczne słuchawki i natychmiast zaczął słuchać. Okazało się, że zapis składał się wyłącznie z odgłosów bekania.

– Nie – powiedział Kevin.

Światła przygasły, młodzieżowa widownia ucichła i ukazały się napisy.

– Czy mówi wam coś nazwisko Brent Mini? – spytał Kevin. – On robił muzykę. Mini pracuje z komputerowo wytwarzanymi przypadkowymi dźwiękami, które nazywa „muzyką synchroniczną”. Wypuścił trzy longplaye. Mam dwa ostatnie, ale nie mogę zdobyć pierwszego.

– A więc to coś poważnego – wtrącił Grubas.

– Sam zobaczysz.

Rozległy się elektryczne dźwięki.

– O Boże – jęknąłem z odrazą. Na ekranie pojawił się wielki kolorowy kleks rozlewający się na wszystkie strony. Tandetny kicz fantastyczno-naukowy, pomyślałem. Oto co psuje opinię całej dziedzinie naszej twórczości.

Film zaczął się gwałtownie, napisy znikły za jednym zamachem. Pokazało się rozległe pole, spalone, brunatne, z kilkoma źdźbłami zieleni tu i ówdzie. Pomyślałem sobie, wiem, co zaraz zobaczymy. Jeep z dwoma żołnierzami podskakujący na wybojach. I wtedy przemknie przez niebo coś świecącego. „Wygląda na meteor, kapitanie – powie jeden żołnierz. – Tak – powie drugi żołnierz marszcząc czoło, lepiej jednak sprawdzić”.

Mylłem się.



Film „Valis” przedstawiał małą firmę płytową pod nazwą Meritone Records w miejscowości Burbank. Jej właścicielem był elektroniczny geniusz Nicholas Brady. Modele samochodów i styl muzyki rockowej sugerowały okres końca lat sześćdziesiątych lub początku siedemdziesiątych, ale pełno też było dziwnych niekonsekwencji. Na przykład Richard Nixon zdawał się nie istnieć. Prezydent Stanów Zjednoczonych nazywał się Ferris F. Fremount i cieszył się wielką popularnością. W pierwszej części filmu ukazywały się raptownie wstawki telewizyjnych sprawozdań z ożywionej kampanii wyborczej Fremounta.

Sam Mother Goose – autentyczna gwiazda rockowa, w rzeczywistości stawiana na równi z takimi jak Bowie, Zappa i Alice Cooper – przybrał postać znarkotyzowanego autora piosenek, wyraźnego rozbitka życiowego.

Jedynie fakt, że Brady nadal mu płacił, pozwalał mu przetrwać materialnie. Goose miał ładną i wyjątkowo krótkowłosą żonę, kobietę o niezziemskiej powierzchowności, dzięki prawie łysej głowie, i wielkich, świetlistych oczach.

Brady nieustannie starał się omotać Lindę, żonę Goose'a. W filmie Goose z jakiegoś powodu występował pod swoim prawdziwym nazwiskiem jako Eric Lampton i stąd cała historia dotyczyła mało znanych Lamptonów. Linda Lampton była jakaś dziwna, to stawało się jasne na samym początku. Odniosłem wrażenie, że Brady jest skurwielem mimo całej swojej audioelektronicznej maestrii. Miał zestaw laserów, które odprowadzały informację – czyli różne kanały muzyki – do miksera nie przypominającego żadnego istniejącego urządzenia, przekłeta machina wzniosła się niczym jakiś bunkier. Brady wchodził do środka przez drzwi i tam pławił się w promieniach laserów, które przechodząc przez jego mózg, jak przez transformator, przekształcały się w dźwięk.

W jednej scenie Linda Lampton rozbierała się. Była pozbawiona organów płciowych.

Brady tymczasem zastawiał na nią sieci, nie mając pojęcia, że nie będzie mógł nic z nią zdziałać z powodów anatomicznych. Bawiło to Mother Goose'a czyli Erica Lamptona, który ćpał narkotyki i pisał piosenki najgorsze, jakie sobie można wyobrazić. Po jakimś czasie stało się jasne, że mózg mu się kompletnie zlasował, z czego sam nie zdawał sobie sprawy. Nicholas Brady zaczął dokonywać tajemniczych manewrów sugerujących, że ma zamiar za pomocą swojego bunkro-miksera wylaserować Erica Lamptona na tamten świat, aby utorować sobie drogę do łóżka Lindy Lampton, która i tak nie miała organów płciowych.

Tymczasem Ferris Fremount ukazywał się w zastanawiających przebitkach. Był coraz podobniejszy do Brady'ego, a Brady zdawał się

przekształcać we Fremounta. Pojawiały się sceny ukazujące Brady'ego na olbrzymich przyjęciach, niewątpliwie międzynarodowych, zagraniczni dyplomaci kręcili się ze szklankami w dłoni, a w tle unosił się nieustanny niski pomruk – elektroniczny dźwięk, przypominający odgłos miksera Brady'ego.

Nic z tego nie rozumiałem.

– Czy ty coś rozumiesz? – spytałem szeptem Grubasa, pochylając się w jego stronę.

– Nic a nic – powiedział Grubas.

Zwabiwszy Erica Lamptona do wnętrza miksera, Brady załadował do otworu dziwną czarną kasetę i przycisnął kilka guzików. Widownia ujrzała zbliżenie eksplodującej, dosłownie eksplodującej, głowy Erica Lamptona, tylko zamiast mózgu wyleciały z niej na wszystkie strony miniaturyzowane części elektroniczne. Wtedy Linda Lampton weszła do miksera po prostu przez ścianę, zrobiła coś z przedmiotem, który miała w ręku i dla Erica Lamptona czas przebiegł w odwrotnym kierunku. Jego głowa implodowała, części elektroniczne wskoczyły na swoje miejsce i czaszka się zasklepiła. Brady tymczasem wybiegł z budynku Meritona na ulicę z nieprzytomnym wzrokiem... cięcie na Lindę Lampton zlepiającą męża w bunkrze miksera.

Eric Lampton otwiera usta, żeby coś powiedzieć i odzywa się głosem Ferrisa F. Fremounta. Linda cofa się nieprzyjemnie zdziwiona.

Cięcie – Biały Dom. Ferris Fremount nie wygląda już jak Nicholas Brady, wrócił do swojej własnej postaci.

– Chcę, żeby Brady został zlikwidowany – mówi z ponurą zaciętością – i to natychmiast. Dwaj ludzie w obcisłych, lśniących uniformach i z futurystyczną bronią w milczeniu kiwają głowami.

Cięcie na Brady'ego zmierzającego szybkim krokiem przez parking do samochodu. Jest zupełnie skołowany. Zbliżenie na czarno ubranych ludzi na

dachu, którzy biorą go na cel. Brady siada za kierownicą i usiłuje zapuścić silnik.

Zaciemnienie. Wielki tłum dziewcząt w czerwono–biało–niebieskich strojach – zagrzewaczek kibiców. Ale te dziewczęta nie wznosiły okrzyków sportowych, tylko skandowały „Śmierć Brady’emu! Śmierć Brady’emu!”

Zwolnione zdjęcia. Dwaj czarno ubrani osobnicy strzelają ze swojej broni. Eric Lampton stoi przed wejściem do budynku Meritone. Zbliżenie jego twarzy. Z jego oczami dzieje się coś niesamowitego. Ludzie w czerni zwęglają się na popiół, a ich broń ulega stopnieniu.

„Śmierć Brady’emu! Śmierć Brady’emu!” Tysiące dziewcząt w identycznych czerwono–biało–niebieskich strojach. Niektóre zdzierają je z siebie w przystępie szału.

Są pozbawione organów płciowych.

Zaciemnienie. Upływ czasu. Dwóch Ferrisów F. Fremountów siedzi naprzeciwko siebie za wielkim orzechowym stołem. Między nimi – sześcian pulsującego różowego światła. To hologram.

Grubas obok mnie postępuje. Pochyla się zapatrzony. Ja też wpatruję się w ekran. Poznaję to różowe światło, kolor opisywany przez Grubasa w związku z Zebłą.

Eric Lampton nagi w łóżku z Lindą. Zrywają z siebie jakieś plastikowe błony i odsłaniają organy płciowe. Akt płciowy, po którym Eric wymyka się z łóżka. Idzie do salonu i wstrzykuje sobie narkotyk. Siedzi ze spuszczoną głową. Przygnębienie.

Długie ujęcie. Dom Lamptonów w dole. Zdjęcie z pozycji tak zwanej „trzeciej kamery”. Strumień energii trafia w dom. Szybkie cięcie na Erica Lamptona, który wstrząsa się jak ugodzony. Obejmuje rękami głowę, skręcając się z bólu. Zbliżenie twarzy, jego oczy eksplodują. Widownia, włącznie z Grubasem i ze mną, wydaje jęk.

Inne oczy zastępują te, które wybuchły. Wtedy bardzo powoli tworzy się na czole Erica otwór. Ukazuje się trzecie oko, które zamiast źrenicy ma pionową szczelinę.

Uśmiech Erica Lamptona.

Scena w studiu muzycznym, jakaś grupa rockowa. Grają utwór, który ich autentycznie bierze.

– Nigdy dotąd nie pisałeś czegoś takiego – mówi do Lamptona człowiek kierujący nagraniem.

Kamera najeżdża na mikrofony, dźwięk narasta. Cięcie na aparaturę. Nicholas Brady przegrywa taśmę z nagraniem grupy rockowej. Brady daje znak technikowi przy bunkropodobnym mikserze. Promienie laserowe strzelają we wszystkich kierunkach, ścieżka dźwiękowa podlega złowieszczyzm przekształceniom. Brady marszczy czoło, przewija taśmę, przegrywa ją ponownie. Słyszemy słowa.

„Śmierć... Fremountowi... śmierć... Fremountowi...” Raz po raz. Brady zatrzymuje taśmę, przewija, puszcza znów. Tym razem oryginalna piosenka Lamptona bez słów o zabijaniu Fremounta.

Zaciemnienie. Ani dźwięku, ani obrazu. Potem, powoli, pojawia się zacięta twarz Ferrisa F. Fremounta. Jakby słyszał taśmę.

Fremount pochyla się i włącza mikrofon na biurku.

– Dajcie mi sekretarza obrony – mówi. – Ściągnijcie go tu natychmiast. Muszę z nim porozmawiać.

– Tak jest, panie prezydencie.

Fremount odchyła się na oparcie fotela, otwiera teczkę. Zdjęcia Erica Lamptona, Lindy Lampton, Nicholasa Brady’ego, dane o nich. Fremount studiuje dane i wtedy promień różowego światła z góry dotyka na ułamek sekundy jego głowy. Fremount porusza się na fotelu, rozgląda się nieprzytomnie, potem sztywno jak robot wstaje i wrzuca teczkę wraz z jej

zawartością do urządzenia niszczącego tajne dokumenty. Jego twarz jest całkowicie pozbawiona wyrazu, wszystko zapomniał.

- Panie prezydencie, przyszedł sekretarz obrony.
- Ja go nie wzywałem – mówi zaskoczony Fremount.
- Ale, panie prezydencie...

Cięcie na bazę sił powietrznych. Startują rakiety. Zbliżenie dokumentu z nadrukiem „tajne”. Widzimy, że jest otwierany.

Projekt VALIS

Głos zza kamery.

- VALIS? Co to jest, generale?
- Vast Active Living Intelligence System.* [przyp.: Rozległy Czynny Żywy System Informatyczny.] Nie wolno panu pod żadnym...

Cały budynek eksploduje tym samym różowym światłem. Na zewnątrz pocisk raketowy nastawiony przed startem nagle zatrzymuje się. Rozlega się głos syren. Krzyk „Alarm odwołany! Alarm odwołany!”

Widzimy teraz Ferrisa F. Fremounta wygłaszającego przemówienie na bankiecie przedwyborczym. Słuchają go elegancko ubrani ludzie. Oficer w mundurze szepce coś prezydentowi na ucho. Fremount mówi głośno:

- Więc jak, zastrzeliliśmy VALISa?
- Nastąpiła jakaś awaria, panie prezydencie – mówi oficer zdenerwowany. – Satelita nadał... – Jego głos tonie w gwarze rozmów. Tłum wyczuwa, że dzieje się coś niedobrego. Elegancko ubrani ludzie zmienili się w dziewczęta w strojach czerwono-biało-niebieskich i stoją bez ruchu. Jak wyłączone roboty.

Scena finałowa. Rozentuzjasmowany tłum. Ferris Fremount, tyłem do kamery, unosi obie ręce z palcami rozcapierzonymi w znak victorii. Niewątpliwie wygrał wybory. Krótkie ujęcie stojących na baczność ludzi w czarnych strojach. Ogólna radość.

Dziecko podchodzi do pani Fremount z kwiatami. Ta odwraca się, żeby je przyjąć. Fremount odwraca się także. Najazd kamery.

Twarz Brady'ego.



W drodze do domu Kevin pierwszy przerwał długotrwałe milczenie.

– Widziałeś różowe światło?

– Tak – powiedział Grubas.

– I trzecie oko z migawką?

– Czy scenariusz napisał Mother Goose? – spytałem.

– Napisał scenariusz, reżyserował i zagrał główną rolę.

– Czy wcześniej robił jakieś filmy? – spytał Grubas.

– Nie.

– Był to przekaz informacji – powiedziałem.

– W filmie? – spytał Kevin. – Chodzi ci o fabułę, czy masz na myśli przekaz z obrazu i ścieżki dźwiękowej do widowni?

– Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem... – zacząłem.

– W tym filmie jest zawarty materiał podświadomościowy – powiedział Kevin. – Następnym razem pójde go obejrzeć z magnetofonem. Myślę, że informacja została zakodowana w synchronistycznej muzyce Mini'ego.

– To były alternatywne Stany Zjednoczone – powiedział Grubas. – Gdzie zamiast Nixona prezydentem był Ferris Fremount.

– Czy Eric i Linda Lampton byli istotami ludzkimi, czy nie? – spytałem.

– Początkowo wyglądali na ludzi, potem okazało się, że nie mają tych... wiecie, organów płciowych. A potem zdarli z siebie te błony i okazało się, że jednak wszystko mają.

– Ale, kiedy mu wybuchła głowa – zauważył Grubas – była pełna części elektronicznych.

– A czy zauważyliście dzbanuszek? – spytał Kevin. – Na biurku Nicholasa Brady’ego. Mały gliniany dzbanuszek, jak ten, który ta dziewczyna...

– Stephanie – odpowiedział Grubas.

– ...zrobiła dla ciebie.

– Nie – powiedział Grubas. – Nie zauważyłem. Była w tym filmie masa szczegółów, które sypały się na mnie, to znaczy na widownię, zbyt szybko.

– Za pierwszym razem nie zauważyłem tego dzbanka – powiedział Kevin. – Występuje potem w różnych miejscach. Nie tylko na biurku Brady’ego, ale na przykład w gabinecie Fremounta, gdzie się go widzi kątem oka. Pokazuje się też w różnych częściach domu Lamptonów, jak choćby w saloniku. I w scenie, kiedy Eric Lampton zatacza się i wpada na meble i...

– Dzbanek z wodą – powiedziałem.

– Tak. Występuje również jako dzbanek z wodą, który Linda Lampton wyjmuje z lodówki.

– Nie, to było zwykłe plastikowe naczynie – zaprotestował Grubas.

– Mylisz się – powiedział Kevin. – To był znów ten dzbanek.

– Niemożliwe, żeby to było to samo naczynie – upierał się Grubas.

– Na samym początku filmu – mówił Kevin. – Na spalonym polu, z boku. Rejestruje się go tylko w podświadomości, jeżeli się go specjalnie nie szuka. Wzór na naczyniu z lodówki jest ten sam co na dzbanku. Kobieta zanurza go w strumieniu, bardzo małym, prawie wyschłym strumieniu.

– Zdawało mi się, że dostrzegam na nim chrześcijański znak ryby – powiedziałem. – Jako zdobienie.

– Nie – stwierdził Kevin kateorycznie.

– Nie? – zdziwiłem się.

– Ja też tak myślałem za pierwszym razem – powiedział Kevin. – Teraz przyjrzałem się lepiej. Wiecie, co to jest? Podwójna spirala.

– Molekuła DNA.

– Słusznie – potwierdził Kevin szczerząc zęby. – W formie powtarzającego się wzoru biegnącego na szyjce dzbanka.

Zamilkliśmy wszyscy i po chwili powiedziałem:

– DNA. Pamięć genetyczna.

– Słusznie – powiedział Kevin. I dodał: – Przy strumieniu, kiedy nabiera wody do dzbanka...

– Kto? – spytał Grubas. – Kto to był?

– Kobieta. Potem już więcej nie występuje. Nigdy nie oglądamy jej twarzy, ale ma długą szatę i jest boso. Tam, gdzie napełnia dzbanek, jakiś mężczyzna łowi ryby. Pokazuje się tylko przez krótką chwilę, ale jest. Dlatego wydało ci się, że widzisz znak ryby. Bo zobaczyłeś człowieka łowiącego ryby. Może nawet koło niego leżały jakieś ryby. Będę musiał dobrze się przyjrzeć następnym razem. Zobaczyłeś tego człowieka podświadomie i twój mózg, twoja prawa półkula, skojarzyła go z rysunkiem podwójnej spirali na dzbanku.

– Ten satelita – powiedział Grubas. – Ten VALIS. Czy on przekazuje im informacje?

– Więcej – wyjaśnił Kevin. – W pewnych sytuacjach on nimi kieruje. Kiedy chce, może przejąć nad nimi kontrolę.

– A oni usiłują go zestrzelić? Tą rakieta?

– Pierwsi chrześcijanie – powiedział Kevin – ci prawdziwi, mogą sprawić, że zrobisz wszystko, co oni zechcą. I zobaczysz, albo nie zobaczysz to, co zechcą. Tak rozumiem ten film.

– Ale oni nie żyją – powiedziałem – a film jest osadzony we współczesności.

– Oni nie żyją, jeżeli się wierzy w realność czasu. Zauważyliście chyba zaburzenia czasowe. – Nie – powiedzieliśmy obaj z Grubasem unisono.

– To suche, nagie pole. To był parking, przez który Brady biegł do samochodu, kiedy ci dwaj w czerni mieli go zastrzelić.

Nie zauważyłem tego.

– Skąd wiesz? – spytałem Kevina.

– Rosło tam to samo drzewo.

– Nie widziałem żadnego drzewa – powiedział Grubas.

– Cóż, będziemy musieli wszyscy pójść na ten film jeszcze raz – zawyrokował Kevin. – Ja w każdym razie pójdę. Dziewięćdziesiąt procent szczegółów obliczono na to, że umkną uwadze widza za pierwszym razem. Właściwie wymykają się tylko naszej świadomości, ale są rejestrowane w podświadomości. Chętnie bym przestudiował ten film klatka po klatce.

– W takim razie chrześcijański znak ryby to jest podwójna spirala Cricka i Watsona. Cząsteczka DNA przechowująca pamięć genetyczną. To jest to, co Mother Goose chciał powiedzieć. I dlatego...

– Chrześcijanie – zgodził się Kevin – którzy nie są istotami ludzkimi, tylko czymś pozbawionym organów płciowych, co ma wyglądać jak ludzie. Ale potem okazuje się, że oni są ludźmi, mają organy płciowe i kopulują.

– Mimo że ich czaszki wypełniają zamiast mózgu części elektroniczne – powiedziałem.

– Może oni są nieśmiertelni? – wtrącił Grubas.

– Dlatego Linda Lampton może złożyć swojego męża z powrotem – powiedziałem. – Kiedy mikser Brady’ego go rozwala. Oni potrafią odwracać bieg czasu.

– Słusznie – powiedział Kevin bez uśmiechu. – Czy teraz widzisz, dlaczego chciałem, żebyś zobaczył „Valis”?

– Tak – powiedział Grubas ponuro w głębokim zamyśleniu.

– Jakim cudem Linda Lampton mogła przejść przez ścianę miksera? – spytałem.

– Nie wiem – powiedział Kevin. – Może w rzeczywistości wcale jej tam nie było, a może nie było miksera. Może to był jej hologram.

– Hologram – zawtórował Grubas.

– Ten satelita kontrolował ich od samego początku – powiedział Kevin. – Mógł sprawić, że widzieli to, co on chciał. Na końcu, kiedy się okazuje, że Fremount to Brady, nikt tego nie zauważa! Jego własna żona nie zauważa zmiany. Satelita zamrocył wszystkich, całe popieprzone Stany Zjednoczone.

– Jezu – jęknąłem. To mi nie przyszło do głowy, ale teraz zaczynało mi coś świtać.

– Racja – powiedział Kevin. – My widzimy Brady’ego, a oni widocznie nie i dlatego nie zdają sobie sprawy z tego, co się stało. To walka o władzę między Bradym i jego elektroniką a Fremountem z jego tajną policją (ludzie w czerni to tajna policja). A te dziewczęta jak z zespołów dopingujących pełnią jakąś rolę po stronie Fremounta, ale nie wiem jaką. Zorientuję się następnym razem.– Podniósł głos. – Muzyka Miniego niesie informację, podczas gdy obserwujemy wydarzenia na ekranie, muzyka... rany, to nie jest muzyka, to są dźwięki przedzielone określonymi interwałami... dostarcza nam informacji. Dopiero ta muzyka nadaje wszystkiemu sens.

– Czyżby Mini rzeczywiście zbudował ten wielki mikser? – spytałem.

– Bardzo możliwe – powiedział Kevin. Mini jest absolwentem Instytutu Technologii z Massachusetts.

– Co jeszcze o nim wiesz? – spytał Grubas.

– Niewiele – powiedział Kevin. – Jest Anglikiem. Odwiedził kiedyś Związek Sowiecki. Mówił, że chce zapoznać się z pewnymi doświadczeniami nad krótkofalowymi przekazami informacji na wielkie odległości. Mini opracował system, w którym...

– Coś sobie nagle uświadomiłem – przerwałem mu. – Na końcu jest wymieniony Robin Jamison jako autor fotosów. Ja go znam. Robił mi kiedyś zdjęcie do wywiadu dla „London Daily Telegraph”. Opowiadał, że fotografował koronację, to jeden z najlepszych fotografów na świecie. Mówił, że przeprowadza się z rodziną do Vancouver i że to jedno z najpiękniejszych miast świata.

– To prawda – potwierdził Grubas.

– Jamison dał mi swoją wizytówkę, żebym mógł napisać do niego po negatywy po opublikowaniu wywiadu.

– Na pewno zna Lindę i Erica Lamptonów, a może i Miniego – zauważył Kevin.

– Powiedział mi, żebym się z nim skontaktował. Był bardzo miły, zasiedział się i długo rozmawialiśmy. Miał aparaty z silniczkami, ich odgłos fascynował moje koty. Pozwolił mi popatrzeć przez obiektyw szerokokątny. To nie do wiary, jakie on miał obiektywy.

– Kto wypuścił satelitę? – spytał Grubas. – Rosjanie?

– To nie jest nigdzie wyjaśnione – powiedział Kevin. – Z rozmowy nie wynika, żeby to byli Rosjanie. Jest jedna scena, kiedy Fremount otwiera list starożytnym nożem do papieru i nagle mamy cięcie na rozmowę wojskowych na temat satelity. Jeżeli połączy się jedno z drugim, ma się sugestię, ja tak to odebrałem, że satelita jest bardzo stary.

– To się zgadza – powiedziałem. – Rozchwianie czasu, bosa kobieta w długiej szacie czerpiąca wodę z potoku glinianym dzbanem. Było tam

zdjęcie nieba, zauważyłeś Kevin?

– Niebo – mruknął Kevin. – Tak, długim obiektywem, panorama. Niebo i pole... to pole wygląda jak coś dawnego... może Bliski Wschód, może Syria. I masz rację, dzbanek wzmacnia to wrażenie.

– Satelity nie widać ani razu – powiedziałem.

– Nieprawda – zaprzeczył Kevin.

– Jak to nieprawda?

– Pięć razy – powiedział Kevin. – Raz pokazany jest jako zdjęcie w kalendarzu ściennym. Raz krótko jako zabawka na wystawie sklepowej. Raz na niebie, ale to jest ułamek sekundy, za pierwszym razem tego nie zauważyłem. Raz w postaci rysunku, kiedy prezydent Fremount przegląda papiery spółki Meritone Records... Piątego nie mogę sobie teraz przypomnieć – zmarszczył czoło.

– Przedmiot przejechany przez taksówkę – powiedziałem.

– Co? – zdziwił się Kevin. – A, tak. Kiedy taksówka jedzie ulicą West Alameda. Myślałem, że to była puszka od piwa. Wpadła z grzechotem do rynsztoka. – Zastanowił się i kiwnął głową. – Masz rację, to był znów satelita, zmiażdżony pod kołami. Odgłos był taki, jakby to była puszka od piwa, to mnie zmyliło. Znów Mini i ta jego cholerna muzyka, czy co to jest. Słyszysz się odgłos zgniecionej puszki po piwie i automatycznie widzi się puszkę po piwie. – Wyszczерzył zęby w uśmiechu. – Usłysz, to zobaczysz. Nieźle. – Mimo że prowadził w dużym ruchu, zamknął na chwilę oczy. – Tak, to był satelita, miał anteny, tylko pogięte i połamane. I... cholera! Są na nim jakieś słowa, jakby etykieta. Co to za słowa? Trzeba by wziąć pieprzone szkło powiększające i oglądać taśmę klatka po klatce. I może nakładać klatki. Mamy opóźnienie siatkówkowe, to efekt tych laserów Brady'ego. Światło jest tak ostre, że powoduje... – Kevin urwał.

– Rozbłysk fosfenowy – dokończyłem. – Na siatkówkach widzów. O to ci chodzi. To dlatego lasery odgrywają taką rolę w tym filmie.



– W porządku – powiedział Kevin, kiedy wróciliśmy do mieszkania Grubasa. Każdy z nas siedział z butelką holenderskiego piwa. Zrzuciwszy buty gotowi byliśmy do wyjaśniania tego, co zobaczyliśmy.

Treść filmu Mother Goose'a była w części identyczna z relacją Grubasa o jego spotkaniu z Bogiem. Taka jest prawda. Powiedziałbym święta prawda, ale nie sądzę, w każdym razie na pewno nie sądziłem wtedy, że Bóg ma z tym cokolwiek wspólnego.

– Niezbadane są drogi Wielkiego Punty – powiedział Kevin, ale tym razem w jego głosie nie było szyderstwa. – Ja pierdołę. Zawsze uważałem cię za wariata – zwrócił się do Grubasa. – Miałem prawo, przecież bywałeś w wariatkowie. – Spokojnie – powiedziałem.

– Weźmy ten film – ciągnął Kevin. – Idę sobie do kina, żeby odpocząć na chwilę od tych zwariowanych bzdur, którymi Grubas nas tu raczy, siedzę w tym cholernym kinie, oglądam sobie fantastyczno–naukową chałę z Mother Goose'em i co widzę? To zakrawa na spisek.

– Nie miej pretensji do mnie – powiedział Grubas.

– Musisz porozmawiać z tym facetem od Goose'a – powiedział Kevin.

– Jak mam to zrobić?

– Phil skontaktuje się z Jamisonem. Możesz spotkać Goose'a, to jest Erica Lamptona przez Jamisona. Phil jest słynnym pisarzem, może to zaaranżować. Czy któreś z twoich książek są aktualnie zaklepane przez producentów filmowych? – zwrócił się do mnie.

– Tak – powiedziałem. *Czy androidy śnią o elektrycznych owcach i Trzy stygmaty.*

– Doskonale – powiedział Kevin. – Wobec tego Phil ma powód do rozmowy. Jak się nazywa ten twój znajomy producent? – zwrócił się do mnie. – Ten z MGM?

– Stan Jaffly.

– Czy masz z nim nadal kontakt?

– Tylko osobisty. Wytwórnia pozwoliła, żeby jej opcja na *Człowieka z Wysokiego Zamku* wygasła. On czasem do mnie pisuje, kiedyś przysłał mi wielki zestaw nasion ziół. Obiecywał, że przyśle mi też worek torfu, ale, na szczęście, tego nie zrobił.

– Skontaktuj się z nim – powiedział Kevin.

– Poczekajcie – odezwał się Grubas. – Nie rozumiem. Były w tym filmie... – zrobił gest – rzeczy, które zdarzyły mi się w marcu siedemdziesiątego czwartego roku. Kiedy... – Znów zrobił gest i umilkł z wyrazem zakłopotania na twarzy. Prawie cierpienia. Zastanawiałem się dlaczego.

Może Grubas uważał, że to pomniejsza znaczenie jego spotkania z Bogiem, z Zebra, jeżeli jego elementy odnajdują się w fantastyczno-naukowym filmie z gwiazdą rocka imieniem Mother Goose w roli głównej. Ale był to pierwszy niepodważalny dowód, na jaki natrafiliśmy, że coś jest do rzeczy. I to właśnie Kevin, który potrafił zdemaskować każdą mistyfikację, zwrócił nam na to uwagę.

– Ile elementów rozpoznałeś? – spytałem Grubasa.

Po chwili Grubas wyprostował się w fotelu i powiedział:

– Zgoda.

– Zapiszemy je – zaproponował Kevin wyjmując wieczne pióro. Kevin zawsze używa wiecznych piór, ostatni z ginącej rasy ludzi wytwornych. –

Papier? – spytał, rozglądając się wkoło.

Kiedy przyniesiono papier, Grubas rozpoczął wyliczanie.

– Trzecie oko z migawką.

– Dobrze. – Kevin zapisał to kiwając głową.

– Różowe światło.

– Dobrze.

– Znak ryby. Którego nie zauważyłem, ale który, jak mówisz, był...

– Podwójna spirala – wtrącił Kevin.

– Oczywiście – powiedziałem.

– Coś jeszcze? – spytał Grubasa Kevin.

– Cóż, cały ten cholerny przekaz informacji z VALISa. Z satelity. Mówisz, że on nie tylko daje im zastrzyki informacji, ale i przejmuje nad nimi kontrolę.

– To jest cała myśl filmu – powiedział Kevin. – Satelita... poczekaj, jaka jest treść filmu? Mamy tyrana, wzorowanego niewątpliwie na Richardzie Nixonie, nazwiskiem Ferris F. Fremount. Rządzi on Stanami Zjednoczonymi przy pomocy tej czarnej, tajnej policji, no wiesz, tych ludzi w czarnych uniformach ze snajperskimi karabinkami i tych pieprzonych dziewczuch w sportowych strojach. Bojówki Ferrisa Fremounta. Wszystkie jednakowe i jednakowo patriotyczne. Jednakże satelita wysyłając strumienie informacji ratuje życie Brady'emu. Potem satelita umożliwia Brady'emu zastąpienie Fremounta, kiedy ten wygrywa ponownie wybory. W rzeczywistości to Brady jest prezydentem, nie Fremount. I Fremount o tym wie. Była scena, kiedy on przegląda akta ludzi z Meritone Records. Wiedział, co się dzieje, ale nie mógł temu zapobiec. Wydał wojskowym rozkaz strącenia VALISa, ale rakieta zatrzymała się na wyrzutni. Wszystko było zorganizowane przez VALISa. I kiedy Brady został prezydentem jako Ferris Fremount, w rzeczywistości to satelita był prezydentem. Kim albo

czym jest ten satelita? Kto albo co to jest VALIS? Wskazówkę daje gliniany dzbanek. Znak ryby, który umysł widza musi poskładać z osobnych fragmentów informacji. Znak ryby, chrześcijanie. Starodawna szata kobiety. Zaburzenia czasowe. Istnieje jakiś związek między VALISEm a pierwszymi chrześcijanami, tylko nie mogę zrozumieć jaki. W każdym razie są w filmie takie aluzje. Na przykład, kiedy Fremount przegląda akta ludzi z Meritone... czy zdążyliście przeczytać coś z tych akt?

– Nie – odpowiedzieliśmy zgodnie.

– „Żył dawno temu, ale jest wciąż żywy” – powiedział Kevin ze ściśniętym gardłem.

– Tak było napisane? – spytał Grubas.

– Tak, tak było napisane.

– A więc nie tylko ja spotkałem Boga – powiedział Grubas.

– Zebnę – poprawił go Kevin. – Nie wiesz, czy to był Bóg. W ogóle głównie wiesz, co to było.

– Może satelita? – powiedziałem. – Bardzo stary satelita do przekazywania informacji.

– Chcieli, żeby to był film fantastyczno–naukowy – zirytował się Kevin.

– Tak się to robi w stylu science fiction, jeżeli się miało podobne przeżycie. Ty to powinieneś wiedzieć, Phil, prawda?

– Tak – przyznałem.

– Więc nazwali to VALIS – ciągnął Kevin – i zrobili z tego starożytnego satelitę. Który przejmuje kontrolę nad ludźmi, żeby obalić tyranię dławiącą Stany Zjednoczone, niewątpliwie wzorowaną na rządach Nixona.

– Zgadza się – powiedział Kevin.

Zwróciłem się teraz do Grubasa i spytałem:

– Czy trójka Sybilla, którą widziałeś we śnie, nie mówiła o spiskowcach, że są obserwowani i zostaną powstrzymani?

– W sierpniu 1974 – powiedział Grubas.

– To jest miesiąc i rok, w którym Nixon ustąpił – rzekł Kevin ochrypłym głosem.

Później, kiedy Kevin odwoził mnie do domu, rozmawialiśmy we dwójkę na temat Grubasa i VALISA, korzystając z tego, że żaden z nich nie mógł nas usłyszeć.

Kevin przyznał się, że przez cały czas uważał za rzecz oczywistą, iż Grubas po prostu zwariował. Widział sytuację tak: poczucie winy i żal po samobójstwie Glorii zrujnowały psychikę Grubasa, który nigdy już nie wróci do równowagi. Beth to był kawał cholery i małżeństwo z nią było krokiem rozpaczliwym, który jeszcze Grubasa pogrążył. Wreszcie w roku 1974 rozsypał się ostatecznie. Wstąpił w barwny, schizofreniczny epizod mający rozjaśnić jego ponure życie: widział ładne kolory i słyszał słowa pocieszenia rodzące się w jego własnej podświadomości, która wypłynęła na powierzchnię i dosłownie zalała go, pogrążyła jego świadomość. Grubas błąkał się po świecie w tym psychotycznym stanie, czerpiąc wielką pociechę ze swojego wyimaginowanego „spotkania z Bogiem”. Dla Grubasa pełna psychoza była błogosławieństwem. Zatraciwszy wszelką więź z rzeczywistością, mógł wierzyć, że sam Chrystus pociesza go w swoich ramionach. Ale Kevin poszedł do kina i teraz nie był już tak pewien swego. Film zachwiał jego pewnością.

Zastanawiałem się, czy Grubas nadal planuje wyjazd do Chin w poszukiwaniu tego, kogo nazywał „piątym Zbawicielem”. Zdawałoby się, że nie musi jechać dalej jak do Hollywoodu, gdzie nakręcono „Valis”, albo do Burbank, centrum amerykańskiego przemysłu płytowego, gdzie mógł znaleźć Erica i Lindę Lamptonów.

Piąty Zbawiciel gwiazdą rock-and-rolla.

– Kiedy „Valis” był wypuszczony? – spytałem Kevina.

– Film? Czy satelita?

– Film, oczywiście.

– W 1977 – powiedział Kevin.

– A Grubas przeżył swoje spotkanie w roku 1974.

– Zgadza się – powiedział Kevin. – Niewątpliwie przed powstaniem scenariusza, sądząc z tego, co czytałem w recenzjach. Goose twierdzi, że napisał scenariusz w ciągu dwudziestu dni. Nie powiedział, kiedy to dokładnie było, ale niewątpliwie chciał jak najszybciej przystąpić do realizacji filmu. Jestem pewien, że to było po roku 1974.

– Ale nie wiesz na pewno.

– Możesz się tego dowiedzieć od tego fotosisty Jamisona – powiedział Kevin. – On będzie wiedział.

– A jeżeli się okaże, że to było w tym samym czasie? W marcu siedemdziesiątego czwartego?

– A co ja na to, kurwa, poradzę? – powiedział Kevin.

– Nie myślisz chyba, że to jest rzeczywiście satelita informacyjny, który skierował transmisję na Grubasa? – spytałem.

– Nie, to jest fantastyczno–naukowy chwyt, fantastyczno–naukowy sposób wyjaśnienia zjawiska. – Kevin się zamyślił. – Chyba. Ale w filmie występują naruszenia ciągłości czasu i Goose zdawał sobie sprawę, że czas ma z tym coś wspólnego. To jedyny sposób na zrozumienie tego filmu... ta kobieta napełniająca dzban. Skąd Grubas miał ten dzbanuszek? Dostał od jakiejś baby?

– Która go ulepiła, wypaliła i dała mu w roku siedemdziesiątym czwartym, kiedy odeszła od niego żona.

– Nie Beth?

– Nie, któraś z poprzednich żon.

– Po śmierci Glorii.

– Tak. Grubas mówi, że Bóg spał w tym dzbanuszkę i wyszedł w marcu siedemdziesiątego czwartego. To była teofania.

– Znam wielu ludzi, którzy uważają, że Bóg jest w garnku – powiedział Kevin.

– Głupi dowcip.

– Więc ta bosa kobieta była ze starożytnego Rzymu. Dzisiaj zobaczyłem na filmie coś, czego nie zauważyłem poprzednio i o czym wam nie powiedziałem. Nie chciałem, żeby Grubas zaczął chodzić po ścianach. Otóż, kiedy ta kobieta stoi nad potokiem, w tle widać niejasne zarysy. Może wasz przyjaciel fotosista ma to na zdjęciu. Są to zarysy budowli. Starożytnych budowli z czasów, powiedzmy, rzymskich. Wyglądały jak chmury, ale są chmury i chmury. Oglądając film za pierwszym razem widziałem chmury, a za drugim razem, dzisiaj, zobaczyłem budowle. Czy ten cholerny film zmienia się za każdym razem, kiedy się go ogląda? Ja pierdołę, co ja gadam? Inny film za każdym razem? To niemożliwe.

– Podobnie jak promień różowego światła, który przekazuje do twojego mózgu informację medyczną o wadzie wrodzonej twojego syna – zauważyłem.

– A gdybym ci powiedział, że w roku 1974 mogło nastąpić naruszenie ciągłości czasu i świat Rzymu starożytnego wlał się do naszego świata?

– Masz na myśli temat do filmu?

– Nie, naprawdę.

– W rzeczywistym świecie?

– Tak.

– Nawiązał kontakt z naszym światem i znów się oddzielił?

– Zostawiając Richarda Nixona spacerującego po kalifornijskiej plaży w garniturze i w krawacie, i zastanawiającego się, co się stało.

– A więc byłoby to celowe.

– Zaburzenie czasu? Oczywiście.

– W takim razie nie byłoby to zaburzenie. Znaczyłoby to, że ktoś albo coś rozmyślnie manipuluje czasem.

– O to chodzi – powiedział Kevin.

– Odszedłeś o 180 stopni od teorii, że Grubas zwariował.

– Cóż, Nixon wciąż snuje się po plaży w Kalifornii i zastanawia się, co się stało. Pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych wyrzucony z posady. Najpotężniejszy człowiek na świecie. Wiesz, dlaczego prezydent nazywa się Ferris F. Fremount? Doszedłem do tego. F jest szóstą literą angielskiego alfabetu. F równa się sześć. Tak więc FFF, inicjały Fremounta odpowiadają liczbie 666. Dlatego Goose go tak nazwał.

– Wielki Boże – powiedziałem.

– Właśnie.

– To by znaczyło, że żyjemy w Ostatnich Dniach.

– Cóż, Grubas jest przekonany, że Zbawiciel wkrótce powróci, albo już powrócił. Wewnętrzny głos, który utożsamia z Zebłą albo Bogiem, powiedział mu to na różne sposoby. I sprowadza się to mniej więcej do tego: „Czas, na który czekaliście...”

– „wypełnił się” – dokończyłem.

– Wszystko to jest jedno wielkie gówno – powiedział Kevin. – Mamy wśród nas Eljasza, nowego Jana Chrzciciela wołającego na puszczy „Prostujcie drogę Pańską”. A może autostradę – roześmiał się.

Nagle przypomniało mi się coś, co zobaczyłem na filmie. Był to obraz, zbliżenie samochodu, którym jedzie Fremount na końcu filmu. Fremount powtórnie wybrany, ale faktycznie już Nicholas Brady, wysiada z samochodu, żeby przemówić do tłumu.

– Thunderbird – powiedziałem.

– Wino?

– Samochód. Ford.

– Cholera – powiedział Kevin. – Masz rację. Wsiadł z forda i to był Brady. Jerry Ford.

– Może to zbieg okoliczności.

– W tym filmie nie ma zbiegów okoliczności. Kamera robi najazd na samochód i pokazuje napis Ford. Ile jeszcze jest w tym „Valisie” rzeczy, które uszły naszej uwagi? Które uszły naszej świadomości. Nie sposób powiedzieć, co to się wyprawia z naszą podświadomością. Ten cholerny film – Kevin się skrzywił – może nas szpiczować diabli wiedzą jaką informacją, wizualną i dźwiękową. Muszę nagrać taśmę za ścieżką dźwiękową tego filmu. Następnym razem przyjdę go oglądać z magnetofonem. Zrobię to w najbliższych dniach.

– Jaką muzykę nagrywa Mini na płytach? – spytałem.

– Przypomina to śpiew wielorybów humbaków.

Spojrzałem na niego, nie wiedząc, czy mówi poważnie.

– Naprawdę – powiedział. – Nagrałem nawet taśmę z głosami wielorybów przechodzącymi w muzykę synchronistyczną i z powrotem. Jest w tym jakieś niesamowite podobieństwo. Oczywiście, słyszy się różnicę, ale...

– A jak działa na człowieka ta synchronistyczną muzyka? Jaki wywołuje nastrój?

– Głęboki stan theta, głęboki sen – powiedział Kevin. – Ale ja osobiście miałem wizje.

– Czego? Trójokich istot?

– Nie. Starożytnego celtyckiego święta. Pieczenie i poświęcenie barana, żeby spowodować odejście zimy i powrót wiosny. Rasowo jestem pochodzenia celtyckiego – dodał spojrzawszy na mnie.

– Czy kiedyś wcześniej słyszałeś o tej ceremonii?

– Nie. Byłem jednym z jej uczestników. Poderżnąłem baranowi gardło. Pamiętałem, że tam byłem.

Kevin słuchając synchronistycznej muzyki Miniego wrócił w czasie do swoich korzeni.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

To nie w Chinach, Indiach czy, powiedzmy, na Tasmanii Koniolub Grubas miał odnaleźć piątego Zbawiciela. Film „Valis” pokazał nam, gdzie należy szukać. Puszka od piwa przejechana przez przejeżdżającą taksówkę: to jest źródło informacji i ratunek.

Tym właśnie był VALIS, Rozległy, Czynny, Żywy System Informatyczny, jak postanowił go nazwać Mother Goose.

Zaoszczędziliśmy Grubasowi kupę pieniędzy, a także kupę zmarnowanego czasu i wysiłku, włącznie z wyrobieniem paszportu i szczepieniami.

W dwa dni później nasza trójka pojechała na Tustin Avenue, żeby jeszcze raz obejrzyć „Valis”. Oglądając uważnie film zdałem sobie sprawę, że w swojej zewnętrznej warstwie nie ma on w ogóle sensu. Jeżeli człowiek nie wychwytywał podświadomych i marginesowych sygnałów i nie układał ich sobie w całość, to nie dochodził do niczego. Jednak te sygnały bombardowały jego umysł niezależnie od tego, czy były rejestrowane przez jego świadomość, czy nie. Widownia znajdowała się w takim samym

stosunku do filmu „Valis”, jak Grubas do tego, co nazywał Zebrą, była przetwornikiem i odbiornikiem o niczym nie zamąconej chłonności.

Również i tym razem na widowni przeważała młodzież. Wydawała się zadowolona z tego, co oglądała. Zastanawiałem się, kto z tych młodych ludzi wychodząc z kina będzie się zastanawiał nad niezgłęzionymi tajemnicami tego filmu, tak jak my. Może nikt. Podejrzewałem, że nie miało to żadnego znaczenia.

Mogliśmy uznać, że śmierć Glorii była przyczyną rzekomego spotkania Grubasa z Bogiem, ale nie mogliśmy uznać, że spowodowała powstanie filmu „Valis”. Kevin, zobaczywszy film po raz pierwszy, zdał sobie z tego sprawę natychmiast. Nieważne, jak się wyjaśni ten fakt, nie było już wątpliwości, że przeżycie Grubasa z marca 1974 roku było autentyczne.

No dobrze, wyjaśnienie jest ważne. Ale przynajmniej jedno zostało dowiedzione: Grubas mógł być z lekarskiego punktu widzenia szalony, ale miał kontakt z rzeczywistością, jakąś rzeczywistością, chociaż zdecydowanie nie normalną.

Starożytny Rzym, czasy apostołskie i pierwsi chrześcijanie, przebijający się do współczesnego świata. I to przebijający się z określonym celem: żeby wysadzić ze stołka Ferrisa F. Fremounta, którym był Richard Nixon.

Osiągnęli swój cel i wrócili do siebie.

Może jednak Imperium się rozpadło?

Kevin, teraz już nieco przekonany, zaczął w poszukiwaniu wskazówek wertować dwie apokaliptyczne księgi Biblii. W Księdze Daniela znalazł fragment, który, jego zdaniem, odnosił się do Nixona.

*A przy końcu ich panowania,
gdy występną dopełnią swej miary,
powstanie król o okrutnym obliczu,
zdolny rozumieć rzeczy tajemne.
Jego moc będzie potężna,*

*ale nie dzięki własnej sile.
Będzie zamierzał rzeczy dziwne
i dozna powodzenia w swych poczynaniach,
obróci wniwecz potężnych
i naród świętych.
Przy jego przebiegłości
i knowanie będzie skuteczne
w jego ręku.
Stanie się on wyniosłym w sercu
i niespodzianie zgotuje zagładę wielu.
Powstanie przeciw Najwyższemu Księciu,
lecz bez udziału ręki ludzkiej zostanie skruszony.*

Teraz Kevin, ku ucieście Grubasa, stał się biblistą, cynik przekształcił się w badacza Pisma, chociaż robił to w określonym celu.

Jednak na dużo głębszym poziomie Grubas lękał się tego, co się zaczęło dziać. Może było mu wygodniej, kiedy mógł zawsze uciec się do myśli, że jego spotkanie z Bogiem w marcu siedemdziesiątego czwartego było objawem choroby umysłowej. Patrząc z tego punktu widzenia nie musiał uważać go za coś rzeczywistego. A teraz już musiał. My wszyscy też. Grubasowi przydarzyło się coś, co nie poddawało się wyjaśnieniu, coś, co wskazywało na rozpływanie się świata fizycznego i określających go kategorii ontologicznych: czasu i przestrzeni.

– Cholera, Phil – powiedział do mnie Grubas tego wieczoru. – A jeśli świat nie istnieje? I w takim razie, co istnieje?

– Nie wiem – odpowiedziałem i cytując dodałem: – To ty jesteś autorytetem w tych sprawach.

Grubas zmierzył mnie wściekłym spojrzeniem.

– To nie jest śmieszne. Jakaś siła albo istota stopiła rzeczywistość wokół mnie, jakby wszystko było hologramem! To jest manipulacja naszym hologramem!

– Przecież to właśnie postulujesz w swoim traktacie – powiedziałem. – Że rzeczywistość jest dwuźródłowym hologramem!

– Ale co innego uznać coś intelektualnie, a co innego przekonać się, że to prawda!

– To nie powód, żeby złościć się na mnie – powiedziałem.

David, nasz przyjaciel katolik, i jego nieletnia przyjaciółka Jane też poszli zobaczyć „Valis” z naszego polecenia. David wyszedł usatysfakcjonowany. Dostrzegł rękę Boga wyciskającą świat jak pomarańczę.

– Tak, i my jesteśmy w tym soku – powiedział Grubas.

– I tak właśnie ma być – potwierdził David.

– Jesteś zatem gotów zrezygnować z realnego istnienia całego świata – powiedział Grubas.

– Realne jest to, w co wierzy Bóg – powiedział David.

– Czy może stworzyć osobę tak łatwowierną, żeby uwierzyła, że nic nie istnieje? – zdenerwował się Kevin. – Bo skoro nic nie istnieje, to co znaczy słowo „nic”? Jak wtedy odróżnić „nic”, które istnieje, od „nic”, które nie istnieje?

Jak zwykle znaleźliśmy się w ogniu krzyżowym między Davidem i Kevinem, ale tym razem w zmienionych okolicznościach.

– Istnieje tylko Bóg – powiedział David – i jego testament.

– Mam nadzieję, że jestem wspomniany w jego testamencie – powiedział Kevin – i że otrzymam więcej niż jednego dolara.

– W jego testamencie są wymienione wszystkie stworzenia – powiedział David bez mrugnięcia okiem. Nigdy nie ustępował Kevinowi ani na jotę.

Krok po kroku naszą małą grupkę opanowała wspólna sprawa. Nie byliśmy już przyjaciółmi, pocieszającymi i wspierającymi kolegę, który popadł w tarapaty. Wszyscy razem znaleźliśmy się po uszy w kłopotach.

Nastąpiło przy tym całkowite odwrócenie ról: zamiast pacyfikować Grubasa, musieliśmy teraz zwracać się do niego po radę. Grubas był naszym łącznikiem z tym czymś, VALISem czy Zebra, co zdawało się mieć władzę nad nami wszystkimi, jeżeli wierzyć filmowi Mother Goose'a.

– To coś nie tylko bombarduje nas informacją, ale kiedy zechce, może nami kierować, może przejąć nad nami kontrolę.

Tak rzeczywiście było. W każdej chwili mógł nas trafić oślepiający promień różowego światła, a odzyskawszy wzrok (albo nie) mogliśmy wiedzieć wszystko albo nic i znajdować się w Brazylii cztery tysiące lat temu. Dla VALISa czas i przestrzeń nic nie znaczyły.

Wszystkich nas jednoczyła wspólna troska, lęk, że wiemy albo domyśliliśmy się zbyt wiele. Wiedzieliśmy, że pierwsi chrześcijanie wyposażeni w zdumiewająco skomplikowaną technikę włamali się przez barierę czasoprzestrzenną do naszego świata i za pomocą potężnego procesora informacji w sposób zasadniczy zmienili historię ludzkości. Osobnik, który przypadkiem wchodzi w posiadanie takiej wiedzy, może mieć nie najlepsze prognozy co do swojej długowieczności.

Czego lękaliśmy się najbardziej? Otóż wiedzieliśmy, czy też podejrzewaliśmy, że pierwsi chrześcijanie, którzy znali Chrystusa i apostołów, którzy mogli słuchać bezpośredniego, ustnego nauczania, zanim Rzymianie interweniowali, byli nieśmiertelni. Osiągnęli nieśmiertelność poprzez plazmat, o którym Grubas pisał w swoim traktacie. Chociaż pierwsi chrześcijanie zostali wymordowani, plazmat ukrył się w Nag Hammadi i teraz działał w naszym świecie wściekły, przepraszam za wyrażenie, jak skurwysyn. Pożądał zemsty. I jak można sądzić, zaczął swoje porachunki od urzędu prezydenta Stanów Zjednoczonych, stanowiącego jeden ze współczesnych przejawów Imperium.

Miałem nadzieję, że plazmat uważa nas za swoich sojuszników. Miałem nadzieję, że nie potraktuje nas jak szpiclów.

– Gdzie mamy się schować – powiedział Kevin – kiedy nas szuka nieśmiertelny plazmat, który wie wszystko i pochłania świat przez przemienienie materii.

– Dobrze, że Sherii tego nie dożyła – zaskoczył nas Grubas. – To by zachwiało jej wiarą.

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem. Wiara zachwiana przez odkrycie, że to, w co wierzyliśmy, rzeczywiście istnieje: oto paradoks pobożności. Teologia Sherri zastygła, nie byłoby w niej miejsca na rozwój, rozrost i ewolucję – niezbędne, żeby pomieścić nasze odkrycie. Nic dziwnego, że ona i Grubas nie mogli żyć razem.

Pytanie brzmiało, jak mamy się skontaktować z Erikiem i Lindą Lamptonami oraz z kompozytorem muzyki synchronistycznej Minim? Najwidoczniej przeze mnie i moją przyjaźń, jeżeli to odpowiednie słowo, z Jamisonem.

– Wszystko jest w twoich rękach, Phil – powiedział Kevin. – Bierz się do roboty. Dzwon do Jamisona i powiedz mu... coś wymyślisz. Powiedz, że napisałeś bombowy scenariusz i chcesz go pokazać Lamptonowi.

– Zatykuj go „Zebra” – podpowiedział Grubas.

– Zgoda – powiedziałem. – Nazwę go „Zebra” albo „koński zad”, albo jak tam chcecie. Wiecie, oczywiście, że to podważy moją profesjonalną wiarygodność.

– Jaką wiarygodność? – zaprotestował po swoim Kevin. – Twoja wiarygodność jest taka sama jak Grubasa. Nie można podważyć czegoś, co nie istnieje.

– Musisz zademonstrować znajomość gnozy ujawnionej mi przez Zebkę i wykraczającą ponad, a właściwie poza to, co pokazano w filmie. To go

zaintryguje. Zapiszę ci kilka stwierdzeń otrzymanych bezpośrednio od Zebry.

Po chwili miał już dla mnie listę.

18.Czas rzeczywisty zatrzymał się w roku 70 po Chrystusie wraz ze zburzeniem świątyni jerozolimskiej. Ruszył ponownie w roku 1974. W środku mamy całkowicie fałszywy wtręt, małpujący twórczy akt Umysłu. „Imperium wcale się nie rozpadło”, ale w roku 1974 został wysłany zaszyfrowany sygnał, że Wiek Żelaza dobiegł końca. Sygnał składał się z dwóch słów KING FELIX, co jest aluzją do szczęśliwego (tj. Prawowitego) Króla.

19.Dwuwyrazowy zaszyfrowany sygnał KING FELIX nie był przeznaczony dla istot ludzkich, ale dla potomków Echnatona, trzykrotnej rasy, która w tajemnicy żyje wśród nas.

– Czy mam to wyrecytować Robinowi Jamisonowi? – spytałem przeczytawszy ten tekst.

– Powiedz mu, że pochodzi z twojego scenariusza pod tytułem „Zebra” – poradził Kevin.

– Czy ten szyfr jest autentyczny? – spytałem Grubasa.

– Może – powiedział z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Czy ten dwuwyrazowy tajny komunikat został rzeczywiście wysłany? – spytał David.

– W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym – powiedział Grubas. – W lutym. Amerykańscy wojskowi kryptografowie badali go, ale nie zdołali ustalić, dla kogo był przeznaczony ani co znaczy.

– Skąd to wiesz? – spytałem.

– Zebra mu powiedział – rzucił Kevin.

– Nie – powiedział Grubas, ale nic więcej nie wyjaśnił.

W tym przemyśle rozmawia się zawsze z agentami, nigdy z szefami. Kiedyś po pijanemu usiłowałem dodzwonić się do Kay Lenz, w której się

podkochiwałem, odkąd zobaczyłem ją w filmie „Breezy”. Nadziałem się na jej agenta. To samo było, kiedy chciałem porozmawiać z Viktorią Principal, która teraz sama jest agentką. W niej też się podkochiwałem i też nie dopuszczono mnie do niej, kiedy dodzwoniłem się do Universal Studios. Mając jednak adres i telefon Robina Jamisona w Londynie byłem w innej sytuacji.

– Tak, pamiętani pana – powiedział Jamison sympatycznie, kiedy zadzwoniłem do Londynu. – Pisarz science fiction z nieletnią narzeczoną, jak przedstawiła pana w swoim artykule pani Purser.

Powiedziałem mu o moim bombowym scenariuszu „Zebra” i że widziałem ich sensacyjny film „Valis”, po którym uznałem, że Mother Goose idealnie pasuje do głównej roli, bardziej nawet niż Robert Redford, którego również bierzemy pod uwagę i który okazał zainteresowanie.

– Ja mogę tylko skontaktować się z panem Lamptonem i dać mu pański numer w Stanach. Jeżeli będzie zainteresowany, on albo jego agent skontaktuje się z panem albo z pańskim agentem.

Wykorzystałem całą swoją artylerię i to było wszystko, co uzyskałem.

Porozmawiawszy jeszcze chwilę odłożyłem słuchawkę z poczuciem klęski. Miałem również drobne wyrzuty sumienia z powodu mojego łgarstwa, ale wiedziałem, że to mi przejdzie.

Czyżby Eric Lampton był poszukiwanym przez Grubasa piątym Zbawicielem?

Zadziwiająca są te różnice między ideałem a rzeczywistością. Grubas był gotów wspiąć się na najwyższą górę w Tybecie, żeby dotrzeć do jakiegoś dwustuletniego mnicha, który by mu powiedział „Sens tego wszystkiego, mój synu, polega na...” pomyślałem. Tutaj, mój synu, czas zmienia się w przestrzeń, ale nic nie powiedziałem. Obwody Grubasa były już i tak przeładowane informacją. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, była

dodatkowa informacja. Grubas potrzebował kogoś, kto przejąłby informację od niego.

– Czy Goose jest w Stanach? – spytał Kevin.

– Tak twierdzi Jamison – powiedziałem.

– Nie podałeś mu hasła – zauważył Grubas.

Spojrzeliliśmy na niego z politowaniem.

– Hasło jest dla Goose’a – powiedział Kevin. – Kiedy zadzwoni.

– Jeżeli zadzwoni – dodałem.

– Jak będzie trzeba, to twój agent może się skontaktować z agentem Goose’a – powiedział Kevin. Był teraz bardziej zaangażowany niż sam Grubas. Ostatecznie to on odkrył film „Valis”, zmuszając nas do działania.

– Taki film – powiedział David – na pewno poruszy wszelkiej maści wariatów. Założę się, że Mother Goose zachowuje środki ostrożności.

– Miły jesteś – powiedział Kevin.

– Nie miałem na myśli nas – wyjaśnił David.

– On ma rację – powiedziałem pomyślawszy o niektórych listach, jakie otrzymuję od swoich czytelników. – Goose pewnie będzie wolał skontaktować się z moim agentem. – Jeżeli w ogóle zechce się z nami skontaktować, pomyślałem. Agent z agentem. Zrównoważone umysły.

– Jeżeli Goose się do ciebie odezwie – zwrócił się do mnie Grubas spokojnym, niskim, nietypowym dla niego pełnym napięcia głosem – masz mu podać dwuwyrzowe hasło KING FELIX. Wpleć to oczywiście jakoś w rozmowę, to nie jest afera szpiegowska. Powiedz, że to alternatywny tytuł twojego scenariusza.

– Poradzę sobie – powiedziałem poirytowany.

Mogło się zdarzyć, że nie będzie potrzeby radzenia sobie. Po tygodniu otrzymałem jednak list od samego Erica Lamptona. Zawierał tylko jedno słowo KING. A po nim znak zapytania i strzałka w prawo.

Włosy zjeżyły mi się na głowie. Drżącą dłonią dopisałem słowo FELIX i odesłałem list Lamptonowi.

Dołączył zaadresowaną kopertę ze znaczkiem.

Nie było wątpliwości: kontakt został nawiązany.



Osoba kryjąca się pod dwuwyrzowym kryptonimem KING FELIX to piąty Zbawiciel, który (jak powiedział Zebra albo VALIS) już się narodził albo miał się narodzić wkrótce. Przeraził mnie ten list od Goose'a. Zastanawiałem się, co poczują Eric Lampton i jego żona Linda, kiedy dostaną list uzupełniony właściwym słowem. FELIX. Tak jest, właściwym. Z setek tysięcy angielskich słów wchodziło w grę tylko to jedno. Nie, nie angielskie, łacińskie. Po angielsku to jest imię, a w łacinie słowo.

Pomyślny, szczęśliwy, płodny... łacińskie słowo „felix” występuje w takich skojarzeniach, w jakich użył go sam Bóg, który w Księdze Rodzaju 1,21 mówi do wszystkich stworzeń świata: „Bądźcie płodne i mnożcie się, abyście zapełniały wody morskie, a ptactwo niechaj się rozmnaża na ziemi”. To jest istota znaczenia słowa „felix”, ta instrukcja Boga, to pełne miłości polecenie, ten przejaw jego pragnienia, żebyśmy nie tylko żyli, ale żebyśmy żyli w szczęściu i obfitości.

FELIX. Płodny, owocny, żyzny, produktywny. Wszystkie szlachetniejsze gatunki drzew, których owoce składamy w ofierze najwyższemu bóstwom. To zapewnia powodzenie, stanowi dobrą wróżbę. Pomyślny, korzystny, ulubiony, udany, błogi. Życzliwy, łaskawy, zdrowotny. Odnoszący sukces.

Interesuje mnie zwłaszcza to ostatnie znaczenie. „Odnoszący sukcesy”. Król, który odnosi sukcesy... w czym? Może w obalaniu tyrańskich rządów

króla łez, w zastąpieniu tego smutnego i złośliwego króla swoimi prawowitymi rządami szczęśliwości: koniec wieku Czarnego Żelaznego Więzienia i początek wieku Gaju Palmowego pod ciepłym słońcem Arabii („Felix” odnosi się też do żyznej części Arabii).

Po otrzymaniu przeze mnie oficjalnego namaszczenia od Erica Lamptona nasza grupka spotkała się już jak na zebraniu pełnomocników.

– Grubas się wpackował – stwierdził Kevin lakonicznie, ale jego oczy błyszczały podnieceniem i radością, radością, którą wszyscy z nim dzieliliśmy.

– A ty ze mną – powiedział Grubas.

Złożyliśmy się i kupiliśmy butelkę koniaku Courvoisier, a potem siedząc już u Grubasa rozgrzewaliśmy w dłoniach kieliszki i czuliśmy się bardzo ważni.

– Byłoby ciekawie, gdyby nagle zjawili się jacyś osobnicy w obcisłych, czarnych, lśniących uniformach i wystrzelali nas do nogi. Z powodu tego telefonu Phila – powiedział Kevin grobowym głosem, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

– To możliwe – podchwyciłem ton Kevina. – Wypchnijmy Kevina kijem od szczotki na korytarz i zobaczmy, czy ktoś otworzy do niego ogień.

– To żaden sprawdzian – powiedział David. – Pół miasta ma Kevina powyżej uszu.

W trzy dni później o drugiej w nocy zadzwonił telefon.

Kiedy podniosłem słuchawkę (nie spałem jeszcze, kończyłem wstęp do tomu opowiadań wybranych z dwudziestu pięciu lat mojego pisania), odezwał się męski głos z lekkim brytyjskim akcentem:

– Ilu was tam jest?

– Kto mówi? – spytałem zaskoczony.

– Goose.

O rany, pomyślałem i nogi się pode mną ugięły.

– Czterech – powiedziałem drżącym głosem.

– To jest szczęśliwe wydarzenie – odezwał się Eric Lampton.

– Bogate w skutki – dodałem.

Lampton roześmiał się.

– Niestety, król nie jest zbyt bogaty.

– Czy on... – słowa utknęły mi w gardle.

– Vivit – powiedział Lampton. – A może vivet? W każdym razie żyje, mogę pana pocieszyć. Nie jestem za mocny w łacinie.

– Gdzie? – spytałem.

– A skąd pan dzwoni? Ja mam tu kierunkowy 714.

– Ja jestem w Santa Ana. Hrabstwo Orange.

– Koło Ferrisa – powiedział Lampton. – Mieszka pan nieco na północ od willi Ferrisa nad morzem.

– Zgadza się.

– Spotkamy się?

– Jasne – powiedziałem, a głos w mojej głowie dodał „To wszystko prawda”.

– Czy możecie tu przylecieć we czwórkę? Do Sonomy?

– Oczywiście – powiedziałem.

– Przylecicie na lotnisko w Oakland. Stąd jest lepszy dojazd niż z San Francisco. Widzieliście „Valis”?

– Kilka razy. – Głos mi wciąż jeszcze drżał. – Panie Lampton, czy w grę wchodzi naruszenie ciągłości czasu?

– Jak może być naruszone coś, czego nie ma – powiedział Eric Lampton i po chwili dodał: – Nie pomyślał pan o tym.

– Nie – przyznałem. – Chcę panu powiedzieć, że uważamy „Valis” za jeden z najlepszych filmów, jakie oglądaliśmy.

– Mam nadzieję, że uda nam się kiedyś wypuścić pełną wersję. Postaram się, żebyście ją mogli obejrzeć tutaj. Nie chcieliśmy nic wycinać, ale, wie pan, względy praktyczne... Pan jest pisarzem science fiction? Czy zna pan Thomasa Discha?

– Znam.

– On jest bardzo dobry.

– Tak – przyznałem zadowolony, że Lampton zna pisarstwo Discha. To był dobry znak.

– W pewnym sensie „Valis” to gówno – powiedział Lampton. – Musieliśmy go zrobić w taki sposób ze względu na dystrybutorów. Dla popcornowo–młodzieżowej widowni. – W jego głosie słyhać było rozbawienie, melodyjne rozedrganie. – Wie pan, spodziewali się, że będę śpiewał. Hej, panie Kosmita! Może byś pan coś zaśpiewał? Myślę, że byli nieco rozczarowani.

– Cóż – bąknąłem zakłopotany.

– Zobaczymy się zatem tutaj. Adres pan ma, prawda? Będę w Sonomie do końca miesiąca, musicie więc przyjechać w tym miesiącu albo dopiero pod koniec roku. Lecę do Anglii zrobić film dla wytwórni Grenada. Jestem też umówiony na koncerty... i na nagranie w Burbank, moglibyśmy się spotkać tam.

– Przylecimy do Sonomy – powiedziałem. – Czy skontaktowały się z panem jakieś inne osoby?

– Ludzie „Szczęśliwego Króla”? Porozmawiamy o tym, kiedy się spotkamy. Wasza grupka, Linda i Mini. Czy wie pan, że to Mini napisał muzykę?

– Wiem – powiedziałem. – Muzyka synchronistyczna.

– On jest znakomity. Wiele z tego, co dociera do ludzi, to zasługa jego muzyki. Ale palant nie komponuje piosenek. Szkoda. Robiłby świetne

piosenki. Moje nie są złe, ale nie jestem Paulem. Mam na myśli Simona – dodał po chwili.

– Czy mogę spytać, gdzie on jest?

– Hm, tak, może pan spytać, ale nikt panu nie odpowie, póki nie porozmawiamy. Dwuwyrzowe hasło nie mówi mi zbyt dużo o panu. Chociaż sprawdzałem pana. Przez jakiś czas brał pan narkotyki, a potem przeszedł pan na drugą stronę. Znał pan Tima Leary...

– Tylko przez telefon – sprostowałem. – Rozmawiałem z nim raz, kiedy był w Kanadzie z Johnem Lennonem i Paulem Williamsem... nie tym śpiewakiem, tylko pisarzem.

– Nie był pan nigdy aresztowany? Za posiadanie?

– Nie, nigdy.

– Odgrywał pan rolę guru od narkotyków wśród młodzieży... gdzie to było... w hrabstwie Marin. Ktoś do pana strzelał.

– To niezupełnie tak – powiedziałem.

– Pisze pan bardzo dziwne książki. Czy jest pan pewien, że nie jest pan notowany w policji? Bo jeżeli tak, to pana nie chcemy.

– Nie jestem – powiedziałem.

Łagodnym, przyjemnym głosem Lampton powiedział:

– Przez jakiś czas miał pan powiązania z czarnymi terrorystami.

Nie odezwałem się.

– Pańskie życie było pełne przygód – powiedział Lampton.

– To prawda – przyznałem. Bo to niewątpliwie była prawda.

– Teraz pan nie bierze narkotyków? – Lampton się roześmiał. – Wycofuję to pytanie. Wiemy, że jest pan teraz w porządku. Dobrze, Philip, z przyjemnością poznam pana i pańskich przyjaciół osobiście. Czy to pan miał... no, dobrze. Musimy porozmawiać.

– Porcję informacji otrzymał mój przyjaciel Koniolub Grubas.

– Ale to przecież pan. Philip to po grecku Koniolub, miłośnik koni. A Dick to po niemiecku grubas. Pan przetłumaczył swoje nazwisko.

Milczałem.

– Czy mam pana nazywać „Koniolubem Grubasem”? Czy to bardziej panu odpowiada?

– Wszystko mi jedno – odpowiedziałem drewnianym głosem.

– Dobrze, myślę, że mamy wystarczające informacje o panu. Rozmawialiśmy z pańskim agentem. Pan Galen sprawia wrażenie człowieka bystrego i szczerego.

– On jest w porządku – odparłem.

– Niewątpliwie rozumie pańskie problemy. Pańskim wydawcą jest Doubleday?

– Nie, Bantam.

– Kiedy więc przyjeżdżacie?

– Może w ten weekend?

– Bardzo dobrze – powiedział Lampton. – To panu sprawi radość, zobaczy pan. Pańskie cierpienia dobiegły kresu. Czy zdaje pan sobie z tego sprawę, Philipie? – Teraz już nie żartował. – To się skończyło, naprawdę.

– To dobrze – powiedziałem, czując, jak mi wali serce.

– Niech się pan nie boi, Philipie – rzekł cicho Lampton.

– Dobrze.

– Dużo pan przeszedł. Ta zmarła dziewczyna... możemy o tym zapomnieć. To już minęło. Rozumie pan?

– Tak – powiedziałem. – Rozumiem. – I rzeczywiście rozumiałem. Miałem nadzieję, że rozumiem. Próbowałem. Chciałem rozumieć.

– Nie rozumie pan. On tu jest. Informacja była prawdziwa. „Budda jest w parku”. Rozumie pan?

– Nie.

– Księżę Gautama urodził się w wielkim parku o nazwie Lumbini. Tak jak Chrystus w Betlejem. Gdyby pan usłyszał, że Jezus jest w Betlejem, wiedziałby pan, co to znaczy, prawda?

Zapomniałem, że rozmawiamy przez telefon i kiwnąłem głową.

– Przez prawie dwa tysiące lat przebywał w uśpieniu – powiedział Lampton. – To bardzo długo, uwzględniając wszystko, co się przez ten czas zdarzyło. No cóż, myślę, że powiedziałem wystarczająco dużo. On się przebudził i to jest ważne. Linda i ja zobaczymy was zatem w piątek wieczorem albo w sobotę rano.

– Tak – powiedziałem. – Świetnie. Najpewniej w piątek wieczorem.

– Proszę pamiętać – powiedział Lampton. – „Budda jest w parku”. I niech pan spróbuje być szczęśliwy.

– Czy to on wrócił? – spytałem. – Czy to ktoś inny?

Chwila milczenia.

– Chodzi mi o to... – zacząłem.

– Wiem, o co panu chodzi. Tylko, widzi pan, czas w rzeczywistości nie istnieje. To jest on, ale nie on, inny on. Jest wielu Buddów, ale on jest tylko jeden. Kluczem do zrozumienia tego jest czas... czy kiedy po raz drugi puszcza pan płytę, orkiestra gra po raz drugi? Czy kiedy puszcza pan płytę po raz pięćdziesiąty, muzycy grają po raz pięćdziesiąty?

– Grają raz – powiedziałem.

– Dziękuję – powiedział Lampton i usłyszałem trzask. Ja też odłożyłem słuchawkę.

Czegoś takiego nie ogląda się co dzień, pomyślałem. Tego, co powiedział Goose.

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że przestałem drzeć.



To było tak, jakbym się trząsł przez całe życie, na skutek chronicznego podskórnego lęku. Trząsł, uciekał, wpadał w tarapaty, tracił osoby, które kochałem. Jak postać z filmu rysunkowego, a nie żywy człowiek, pomyślałem. Prymitywna animacja z początku lat trzydziestych. Teraz strach ustąpił, wyparty przez to, co usłyszałem. Wiadomość, uświadomiłem sobie nagle, na którą czekałem od zawsze, jakbym był stworzony po to i tylko po to, żeby być obecny, kiedy ona nadejdzie.

Mogłem teraz zapomnieć o zmarłej dziewczynie. Sam wszechświat w swojej makrokosmicznej skali mógł przestać się smucić. Rana została zaleczona.

Ze względu na późną porę nie mogłem zawiadomić o telefonie Lamptona pozostałych. Nie mogłem też zadzwonić do linii lotniczych, żeby zarezerwować miejsca. Dopiero wcześniej rano zadzwoniłem do Kevina, Davida i do Grubasa. Miałem się zająć sprawą biletów, późny wieczór w piątek odpowiadał im.

Zebraliśmy się tego dnia wieczorem i uznaliśmy, że nasza grupa powinna mieć jakąś nazwę. Po dyskusji uznaliśmy, że decyzja powinna należeć do Grubasa. Wobec nacisku Erica Lamptona na osobę Buddy postanowiliśmy nazwać się Towarzystwem Siddharthy.

– W takim razie beze mnie – powiedział David. – Przykro mi, ale nie wezmę w tym udziału, jeżeli nie będzie zaznaczony związek z chrześcijaństwem. Nie chciałbym wyjść na fanatyka, ale...

– Wychodzisz na fanatyka – powiedział Kevin.

Sprzeczailiśmy się przez jakiś czas. W końcu znaleźliśmy nazwę wystarczająco zawiłą, żeby zadowolić Grubasa, wystarczająco zagadkową, żeby zadowolić Kevina i wystarczająco chrześcijańską, żeby zadowolić Davida. Dla mnie sprawa nie była aż tak ważna. Grubas opowiedział nam

swój ostatni sen, w którym był wielką rybą. Zamiast rąk miał wachlarzowate płetwy i w jednej z nich usiłował trzymać karabin M-16, ale broń wysliznęła mu się na dno i wtedy usłyszał głos:

– Ryby nie noszą broni.

Ponieważ wachlarz po grecku nazywa się rhipidos, jak gady rhiptoglossa, w końcu zgodziliśmy się na Towarzystwo Rhipidon, co nawiązywało metaforycznie do chrześcijańskiej ryby. To zadowoliło również Grubasa, gdyż stanowiło aluzję do plemienia Dogonów i ich przedstawienia miłosiernego bóstwa w postaci ryby.

Tak więc mogliśmy spotkać się z Lamptonami, Erikiem i Lindą, już w formie oficjalnej organizacji. Chociaż nielicznej. Myślę, że w tym momencie byliśmy przestraszeni, może wylęknieni byłoby lepszym słowem.

Wziąwszy mnie na stronę Grubas spytał szeptem:

– Czy Eric Lampton rzeczywiście powiedział, że możemy już przestać myśleć o jej śmierci?

Położyłem mu rękę na ramieniu.

– To już skończone. Tak mi powiedział. Wiek ucisku skończył się w sierpniu 1974 roku, teraz dobiega kresu wiek smutku. Rozumiesz?

– Rozumiem – powiedział Grubas z bladym uśmiechem, jakby chciał, ale nie mógł do końca uwierzyć w to, co słyszy.

– Nie jesteś wariatem – powiedziałem Grubasowi. – Zapamiętaj to sobie. Nie możesz już wykorzystywać tego jako pretekstu.

– Więc on żyje? Już teraz? Naprawdę?

– Tak mówi Lampton.

– Więc to prawda.

– Chyba tak – powiedziałem.

– Wierzysz w to.

– Chyba tak. Wkrótce się przekonamy.

– Jak myślisz, czy on okaże się starcem? Czy może dzieckiem? Pewnie jest jeszcze dzieckiem. Phil... – Grubas spojrział na mnie przerażony. – A jeżeli on nie jest człowiekiem?

– Cóż – powiedziałem – poczekamy, zobaczymy. – Najpewniej jest przybyszem z przyszłości, pomyślałem, to jest najbardziej prawdopodobne. Pod pewnymi względami będzie człowiekiem, pod innymi nie. Nasze nieśmiertelne dziecko... forma życia wyprzedzająca nas może i o miliony lat. Zebra. Wreszcie cię zobaczę, pomyślałem. Wszyscy cię zobaczymy.

Król i sędzia, myślałem. Tak, jak obiecywano. Od czasów Zaratustry.

Właściwie od Ozyrysa. Od Egiptu do plemienia Dogonów, a od nich do gwiazd.

– A teraz po koniaku – powiedział Kevin wchodząc do pokoju z butelką. – Trzeba to oblać.

– Do licha, Kevin – zaprotestował David. – Nie oblewa się przyjścia Zbawiciela koniakiem.

– Odrobinę? – spytał Kevin.

Każdy z nas, włącznie z Davidem, wziął do ręki kieliszek Courvoisier.

– Za Towarzystwo Rhipidon – powiedział Grubas. Tręciliśmy się.

– I za nasze motto – dodałem.

– Mamy jakieś motto? – spytał Kevin.

– „Ryby nie noszą broni” – powiedziałem.

Wypiliśmy za motto.



ROZDZIAŁ JEDENASTY

Od lat nie byłem w Sonomie, mieście leżącym w sercu krainy winnic, otoczonym z trzech stron malowniczymi wzgórzami. Najpiękniejszy jest tu położony w samym centrum park ze starym kamiennym budynkiem sądu, stawem z kaczkami i starymi armatami pozostałymi z zapomnianych wojen.

Mnóstwo małych sklepików, otaczających kwadrat parku, nastawiało się głównie na weekendowych turystów, wabiąc naiwnych obfitością tandety, ale kilka autentycznie historycznych budynków z czasów panowania meksykańskiego stało nadal, odmalowanych i z tablicami wyliczającymi ich dawne funkcje. Powietrze wypełniały dobre zapachy, zwłaszcza dla kogoś pochodzącego z Południa, i mimo późnej pory przespacerowaliśmy się, zanim weszliśmy do baru, żeby zadzwonić do Lamptonów.

Eric i Linda przyjechali po nas białym volkswagenem garbusem do baru, gdzie siedzieliśmy we czwórkę popijając specjalność zakładu, cocktail seperator.

– Przepraszam, że nie mogłem was odebrać z lotniska – powiedział Eric Lampton podchodząc wraz z żoną do naszego stolika. Widocznie znał mnie

z jakichś zdjęć na okładkach.

Eric Lampton był szczupłym długowłosym blondynem i miał na sobie czerwone, rozszerzane na dole spodnie i podkoszulkę z napisem RATUJMY WIELORYBY. Kevin, oczywiście, rozpoznał go natychmiast, podobnie jak wiele osób w barze, które powitały Lamptonów okrzykami i pozdrowieniami. Oni uśmiechali się do ludzi, wyraźnie swoich starych znajomych. Linda szła szybkim krokiem obok męża, również szczupła, z zębami jak Emmylou Harris. Choć z postawy podobna do męża, włosy miała ciemne, miękkie i długie. Ubrana była w bardzo sprane dżinsy z obciętymi nogawkami i koszulę w kratę, na szyi miała kowbojską chustę. Oboje byli w butach z cholewami.

Wkrótce, stłoczeni w volkswagenie, jechaliśmy ulicami dzielnicy mieszkaniowej ze stosunkowo nowymi domami i szerokimi trawnikami.

– Jesteśmy Towarzystwem Rhipidon – powiedział Grubas.

– A my Przyjaciółmi Boga – powiedział Eric Lampton.

Kevin podskoczył i wbił się wzrokiem w Erica Lamptona. Nie wiedzieliśmy dlaczego.

– Widzę, że zna pan tę nazwę – powiedział Eric.

– Gottesfreunde – powiedział Kevin. – To czternasty wiek!

– Zgadza się – potwierdziła Linda Lampton. – Przyjaciele Boga zorganizowali się pierwotnie w Bazylei. Potem przeszliśmy do Niemiec i Holandii. Zna pan więc Mistrza Eckharta.

– Jako pierwszy odróżnił boskość od Boga – powiedział Kevin. – Największy z chrześcijańskich mistyków. Nauczał, że człowiek może zjednoczyć się z Bóstwem, uważał, że Bóg istnieje w duszy ludzkiej! – Nigdy nie widzieliśmy Kevina tak poruszonego. – Dusza może poznać Boga w jego istocie! Dzisiaj nikt tego nie mówi! I... i... – Kevin zaczął się jąkać, nigdy dotąd nie słyszeliśmy, żeby się jąkał. – Sankara w Indiach, w

dziewiątym wieku, uczył tego samego co Eckhart. To jest ponadchrześcijański mistycyzm, w którym człowiek może sięgnąć poza Boga, albo łączy się z Bogiem, albo z jakąś iskrą, która nie została stworzona. Z Brahmanem. To dlatego Zebra...

– VALIS – przerwał mu Eric Lampton.

– Wszystko jedno – powiedział Kevin i rozgorączkowany zwrócił się do mnie: – To wyjaśniałoby rewelacje na temat Buddy, świętej Zofii i Chrystusa. Przepraszam cię, Davidzie, ale to nie ogranicza się do jednego kraju, kultury albo religii.

David zgodnie skinął głową, ale wyglądał na wstrząśniętego. Wiedział, że to nie jest ortodoksja.

– Sankara i Eckhart to ta sama osoba – powiedział Eric – żyjąca w dwóch różnych miejscach i dwóch różnych czasach.

– „Sprawia, że rzeczy wyglądają różnie, żeby wywołać złudzenie zmiany czasu” – powiedział Grubas na wpół sam do siebie.

– Czasu i przestrzeni – wtrąciła Linda.

– Co to jest VALIS? – spytałem.

– Rozległy Czynny Żywy System Informatyczny – powiedział Eric.

– To jest opis – zaprotestowałem.

– To wszystko, co mamy – powiedział Eric. – Cóż jeszcze możemy mieć? Chce pan znać imię, tak jak Bóg kazał człowiekowi nazwać wszystkie zwierzęta? VALIS to jest imię, używamy go i bądźmy zadowoleni.

– Czy VALIS to człowiek? – spytałem. – Czy Bóg? Czy coś innego?

Oboje Eric i Linda uśmiechnęli się.

– Czy przybył z gwiazd?

– To miejsce, gdzie jesteśmy – powiedział Eric – znajduje się wśród gwiazd. Nasze Słońce to gwiazda.

– Zagadki – powiedziałem.

– Czy VALIS to Zbawiciel? – spytał Grubas.

Przez chwilę Eric i Linda milczeli, potem odezwała się Linda:

– Jesteśmy Przyjaciółmi Boga. – Nie dodała nic więcej.

David ostrożnie spojrział na mnie, przechwycił mój wzrok i zrobił ruch, jakby pytał: „Czy ci ludzie są w porządku?”

– To bardzo stara grupa – wyjaśniłem. – Byłem pewien, że wymarli przed wiekami.

– Nigdy nie wymarliśmy – powiedział Eric. – I jesteśmy dużo starsi, niż myślicie. Starsi, niż wam powiedziano. Starsi nawet, niż my wam powiemy, jeżeli nas spytacie.

– Pochodzicie więc z czasów przed Eckhartem? – spytał gwałtownie Kevin.

– Tak – powiedziała Linda.

– O całe wieki? – spytał Kevin.

Bez odpowiedzi.

– Tysiące lat? – nalegał Kevin.

– „Wysokie góry są dla kozic, a skały są kryjówką dla borsuków” – powiedziała Linda.

– Co to znaczy? – zawołaliśmy z Kevinem unisono.

– Ja wiem, co to znaczy – powiedział David.

– To niemożliwe – powiedział Grubas. Widocznie on też rozpoznał cytat.

– „Na cyprysach są domy bocianów” – odezwał się po chwili Eric.

– Oni są z rasy Echnatona – powiedział Grubas. – To jest psalm 104 oparty na hymnie Echnatona. Wszedł do naszej Biblii, ale jest starszy od Biblii.

– Jesteśmy odrażającymi budowniczymi z kleszczami zamiast dłoni – powiedziała Linda. – Tymi, którzy kryją się zawstydzeni. Wraz z Hefajstosem, budowniczym wielkich murów i siedzib bogów.

– Racja – powiedział Kevin. – Hefajstos, bóg–budowniczy, też był brzydki. To wy zabiliście Asklepiosa.

– To są cyklopy – powiedział słabym głosem Grubas.

– Kyklops po grecku znaczy „krągłooki” – wtrącił Kevin.

– Ale my mamy troje oczu – powiedział Eric. – W przekazie historycznym nastąpiło więc przekłamanie.

– Celowe? – spytał Kevin.

– Tak – przyznała Linda.

– Jesteście bardzo starzy – stwierdził Grubas.

– Tak, to prawda – powiedział Eric, a Linda potwierdziła skinieniem głowy. – Jesteśmy bardzo starzy. Ale czas nie jest rzeczywisty. Przynajmniej dla nas.

– Mój Boże – powiedział Grubas jak porażony. – Oni są pierwszymi budowniczymi.

– Nigdy nie przestaliśmy budować – powiedział Eric. – Budujemy nadal. Zbudowaliśmy ten świat, tę macierz czasoprzestrzenną.

– Jesteście stwórcami – powiedział Grubas.

Lamptonowie kiwnęli głowami.

– Jesteście naprawdę przyjaciółmi Boga – powiedział Kevin. – Dosłownie.

– Nie bójcie się – powiedział Eric. – Wiecie, jak Sziwa gestem pokazuje, że nie ma powodu do lęku.

– A jednak jest – nie zgodził się Grubas. – Sziwa jest niszczycielem, jego trzecie oko ma moc niszczycielską.

– Sziwa jest też odnowicielem – powiedziała Linda.

– Czy oni są pomyleni? – spytał mnie szeptem David.

Są bogami, pomyślałem. Są Sziwa, który niszczy i broni. Oni sądzą.

Może powinienem czuć lęk, ale nie czułem. Oni już dokonali aktu zniszczenia, obalili Ferrisa F. Fremounta, jak to przedstawiono w filmie „Valis”.

Teraz zaczął się okres Sziwy Odnowiciela. Odrodzenia wszystkiego, pomyślałem, co utraciliśmy. Dwóch zmarłych kobiet.

Tak jak w filmie „Valis” Linda Lampton mogła, jeżeli to było konieczne, odwrócić bieg czasu i przywrócić wszystko do życia.

Zacząłem rozumieć ten film.

Uświadomiłem sobie, że Towarzystwo Rhipidon jest rybą, która wypłynęła na powierzchnię.



Erupcja ze zbiorowej podświadomości, jak uczył Jung, może wymazać indywidualne ego. W tej otchłani zbiorowego drzemią archetypy. Rozbudzone, mogą leczyć albo niszczyć. To jest właśnie niebezpieczeństwo archetypów: przeciwieństwa nie są w nich jeszcze rozdzielone. Podział na przeciwieństwa pojawia się dopiero wraz ze świadomością.

Podobnie jest z bogami. Życie i śmierć, obrona i zniszczenie są tym samym. To tajne współnictwo realizuje się poza czasem i przestrzenią.

Jest się czego przestraszyć, powód jest wystarczający. Ostatecznie, chodzi o istnienie.

Prawdziwe niebezpieczeństwo, ostateczna okropność zdarza się wtedy, kiedy tworzenie, obrona i pielęgnacja przychodzą najpierw, a zniszczenie po nich. Bo przy tej kolejności wszystko, co zostało zbudowane, kończy się śmiercią.

Śmierć kryje się w każdej religii.

I w każdej chwili może wybuchnąć, niosąc nie uzdrowienie, lecz truciznę i okaleczenie.

My jednak zaczęliśmy chorzy i VALIS przekazał nam informację uzdrawiającą, informację lekarską. VALIS przybył do nas w postaci lekarza i wiek choroby, Wiek Żelaza, trującego żelaznego odłamka, dobiegł kresu.

A jednak... potencjalnie ryzyko zawsze istnieje.

Jest to rodzaj śmiertelnej gry, która może się potoczyć różnie.

Libera me, Domine, pomyślałem. In die illa. Wybaw mnie, ratuj mnie, Panie, w tym dniu gniewu. Jest we wszechświecie element irracjonalny i niewykluczone, że nasze małe, naiwne, pełne zaufania Towarzystwo Rhipidon zostało wciągnięte w jego irracjonalny wir na swoją zgubę.

Jak wielu przed nami.

Przypomniałem sobie coś, co odkrył wielki lekarz Renesansu. Trucizny w niewielkich dawkach są lekarstwami. Paracelsus jako pierwszy stosował w celach leczniczych metale takie jak rtęć. Za to odkrycie, za stosowanie trujących metali jako lekarstw, trafił do naszych podręczników historii. Jednak życie tego wielkiego lekarza miało smutne zakończenie.

Zmarł na skutek zatrucia metalem.

Tak więc, ujmując rzecz inaczej, lekarstwa mogą działać jak trucizny, mogą zabijać. I może się to zdarzyć w każdej chwili.

„Życie jest dzieckiem rzucającym kości. Królestwo jest w ręku dziecka”, jak napisał Heraklit dwa i pół tysiąca lat temu. Pod wieloma względami jest to myśl straszna. Dziecko igrające... wszystkim, co żyje, wszędzie.

Wolałbym mieć alternatywę. Dostrzegłem teraz wiążącą moc naszego motta, motta naszego małego towarzystwa, obowiązującego we wszystkich

okazjach jako istota chrześcijaństwa, od którego nie mogliśmy pod żadnym pozorem odejść.

RYBY NIE NOSZĄ BRONI!

Gdybyśmy wyrzekli się tego, wkroczylibyśmy w strefę paradoksów i wreszcie śmierci. Choć nasze motto brzmiało idiotycznie, to jednak zawarliśmy w nim niezbędną mądrość. Było w nim wszystko, czego potrzebowaliśmy. Dziwaczny sen Grubasa o upuszczeniu karabinu M-16 to był głos Bóstwa. Nihil obstat. Weszliśmy w miłość i znaleźliśmy ziemię obiecaną.

Ale to, co boskie i to, co straszne, jest tak sobie bliskie. Nommo i Yurugu to wspólnicy, obaj są niezbędni. Podobnie jak Ozyrys i Seth. W Księdze Hioba Jehowa i Szatan są partnerami. Jednak żebyśmy mogli żyć, ci wspólnicy muszą się rozdzielić. Ta tajna współpraca musi ustać z chwilą, gdy rodzą się czas i przestrzeń oraz wszystkie istoty.

To nie bóg ani bogowie muszą zwyciężyć, lecz mądrość. Święta Mądrość. Miałem nadzieję, że piąty Zbawiciel będzie tym właśnie: pokona dwubiegunowość i objawi się jako jedność. Nie w trzech osobach ani w dwóch, ale w jednej. Nie Brahma tworzący, Wisznu podtrzymujący i Sziwa niszczący, ale ten, którego Zaratustra nazwał Mądrym Umysłem.

Bóg może być dobry i straszny, nie raz taki, a raz taki, ale jednocześnie taki i taki. Dlatego szukamy pośrednika między nim a nami. Kontaktujemy się z nim za pośrednictwem kapłana oraz rozcieńczamy go i zamykamy w sakramentach. Robimy to dla naszego własnego bezpieczeństwa, żeby schwytać go w pułapkę, która go unieszkodliwi. Teraz jednak, jak widział Grubas, Bóg wyzwolił się ze wszelkich ograniczeń i dokonuje przemienienia świata. Bóg wy dostał się na wolność.

Słodkie głosy chóru śpiewające „Amen, amen” mają uspokoić nie wiernych, lecz Boga.

Kiedy człowiek to zrozumie, przenika do najgłębszej istoty religii. A najgorsze jest to, że Bóg może wyjść z siebie i wejść w zgromadzonych aż do pełnego zjednoczenia. Człowiek oddaje cześć Bogu, a ten mu się rewanżuje wchodząc w człowieka. Po grecku to się nazywa „enthousiasmos”, dosłownie „opętanie przez boga”. Ze wszystkich greckich bogów najchętniej robił to Dionizos. Pech chciał, że Dionizos był szalony.

Inaczej mówiąc, patrząc od drugiej strony, jeżeli wstępuje w ciebie bóg, to niezależnie od tego, jakiego używa imienia, jest to w rzeczywistości forma szalonego boga Dionizosa. Był on również bogiem odurzenia, co może oznaczać zarówno skutek alkoholu jak trucizny. Niebezpieczeństwo wisi w powietrzu.

Jeżeli się to czuje, próbuje się uciekać. Ale jeżeli się ucieka, to i tak jest się w jego władzy, gdyż przemożna chęć ucieczki, czyli panika, jest domeną bożka Pana, który jest podformą Dionizosa. Tak więc próbując uciec przed Dionizosem, wpada się w jego sidła.

Piszę to dosłownie ciężką ręką, jestem tak zmęczony, że prawie padam. To, co zdarzyło się w Jonestown* [przyp.: Masowe samobójstwo wyznawców szalonego kaznodziei z Kalifornii.], było wybuchem masowej paniki zainspirowanej przez szalonego boga; panika prowadząca do śmierci to logiczny skutek wtargnięcia w świat szalonego boga.

Ci ludzie nie mieli innego wyjścia. Trzeba samemu być opanowanym przez szalonego boga, żeby zrozumieć, że z chwilą, kiedy się to zdarzy, nie ma ucieczki, bo ten szalony bóg jest wszędzie.

To nie jest normalne, żeby dziewięćset osób zmówiło się co do śmierci swojej i swoich dzieci, ale szalony bóg nie kieruje się logiką, w każdym razie nie w naszym rozumieniu tego słowa.



Kiedy dojechaliśmy do domu Lamptonów, okazało się, że jest to okazały wiejski dworek położony wśród winnic. Przecież byliśmy w krainie wina.

Pomyślałem sobie, że Dionizos jest bogiem wina.

– Dobre tu powietrze – zauważył Kevin, kiedy wysiedliśmy z volkswagena.

– Czasami i do nas docierają zanieczyszczenia – powiedział Eric.

Wszedłszy do środka stwierdziliśmy, że dom jest ciepły i przyjemny. Wszystkie ściany były zawieszane wielkimi plakatami z Lindą i Erikiem, oprawionymi za nie dającym odblasku szkłem. Nadawało to staremu drewnianemu domowi nowoczesny charakter, przypominając, że jesteśmy w południowej Kalifornii.

– Robimy tu własne wino z własnych winogron – powiedziała Linda z uśmiechem.

No pewnie, pomyślałem.

Na jednej ze ścian piętrzył się ogromny zestaw sprzętu stereo, jak ta forteca–mikser akustyczny Nicholasa Brady’ego w filmie „Valis”. Teraz widziałem, skąd zaczerpnięto pomysł.

– Puszczę wam taśmę, którą nagraliśmy – powiedział Eric podchodząc do elektronicznej fortecy i trzaskając przełącznikami. – Muzyka jest Miniego, ale słowa moje i ja śpiewam. Nie puszczaamy tego do sprzedaży, to tylko eksperyment.

Usiedliśmy i muzyka o potężnej mocy wypełniła pokój, odbijając się od ścian.

Chcę cię spotkać, człowieku,

*Najszybciej, jak się da.
Podaj mi swoją dłoń,
Ja nie mam dłoni
I jestem stary, stary, bardzo stary.
Dlaczego nie chcesz na mnie spojrzeć?
Czy boisz się tego, co ujrzysz?
Znajdę cię i tak,
Prędzej czy później, prędzej czy później!*

Chryste, pomyślałem słuchając tych słów. Przyszliśmy pod właściwy adres. Nie ma wątpliwości. Chcieliśmy, to mamy. Kevin może się zabawiać dokonując rozbioru tekstu piosenki, który nie wymaga rozbioru. Cóż, zawsze może przenieść swoją uwagę na elektroniczne dźwięki Miniego.

– Te rezonanse otwierają wyższe czakramy – powiedziała Linda przykładając usta do mojego ucha, żeby przekrzyczeć muzykę.

Kiwnąłem głową.

Kiedy muzyka ucichła, wszyscy, włącznie z Davidem, wyraziliśmy zachwyt. David był w transie, oczy miał nieprzytomne. Robił to, ilekroć znalazł się w sytuacji nie do wytrzymania. Jego kościół nauczył go mentalnego wyłączania się do czasu, aż sytuacja stresowa przeminie.

– Czy chcecie poznać Miniego? – spytała Linda Lampton.

– Tak! – krzyknął Kevin.

– Pewnie śpi na górze – powiedział Eric Lampton i skierował się do wyjścia. – Linda, a ty przynieś z piwnicy Cabernet Sauvignon z roku siedemdziesiątego drugiego.

– Dobrze – powiedziała, kierując się ku innym drzwiom. – A wy się rozgoście – rzuciła już przez ramię. – Zaraz wracam.

Kevin w ekstazie wpatrywał się w aparaturę stereo.

David podszedł do mnie z rękami głęboko wepchniętymi w kieszenie, z wyrazem zakłopotania na twarzy.

– Oni są... – zaczął.

– Są zwariowani – powiedziałem.

– Ale w samochodzie sprawiałeś wrażenie...

– Zwariowani – powtórzyłem.

– W sensie pozytywnym? – spytał David przysuwając się do mnie, jakby szukał obrony. – Czy... wprost przeciwnie?

– Nie wiem – powiedziałem zgodnie z prawdą.

Stał teraz z nami Grubas, słuchał, ale nic nie mówił. Wyglądał na głęboko uspokojonego. Kevin tymczasem w samotności kontemplował system głośników.

– Myślę, że powinniśmy... – zaczął David, ale w tym momencie Linda Lampton wróciła z piwnicy niosąc srebrną tacę z sześcioma kieliszkami i jeszcze zakorkowaną butelką.

– Czy ktoś z was może otworzyć butelkę? – spytała Linda. – Mnie zwykle korek wpada do środka, nie wiem dlaczego. – Pod nieobecność Erica wydawała się jakby onieśmielona i w niczym nie przypominała kobiety, którą grała w filmie „Valis”.

Kevin ocknął się i wziął od niej butelkę.

– Korkociąg jest gdzieś w kuchni – powiedziała Linda.

Z góry dobiegały jakieś huki i szurania, jakby ciągnięto tam po podłodze coś ogromnie ciężkiego.

– Mini, powinnam was o tym uprzedzić, jest chory na mięsaka szpiku. Bardzo cierpi i porusza się na wózku – powiedziała Linda.

– Mięsak szpiku jest nieuleczalny – powiedział z przerażeniem Kevin.

– Ma najwyżej dwa lata życia – wyjaśniła Linda. – Właśnie postawiono mu diagnozę. W przyszłym tygodniu, idzie do szpitala. Niestety.

– Czy VALIS nie może go uleczyć? – spytał Grubas.

– To, co ma być uleczone, będzie uleczone – powiedziała Linda Lampton. – A to, co ma być zniszczone, będzie zniszczone. Ale w rzeczywistości czas nie istnieje i nic nie ulega zniszczeniu. Czas to złudzenie.

Wymieniliśmy z Davidem spojrzenia.

Łup, łup. Coś wielkiego i niezdarnego staczało się po schodach. Potem, podczas gdy staliśmy bez ruchu, wjechał do pokoju fotel na kółkach. Siedząca w nim zgnieciona kupka nieszczęścia uśmiechnęła się do nas z pogodą, miłością i ciepłem, jak do starych znajomych. Z obu uszu zwisały mu przewody: miał podwójny aparat słuchowy. Mini, kompozytor muzyki synchronistycznej, był częściowo głuchy.

Podchodząc do niego po kolei uścisnęliśmy jego bezwładną dłoń i przedstawiliśmy się, nie jako Towarzystwo, ale jako osoby.

– Pańska muzyka jest bardzo ważna – powiedział Kevin.

– Wiem – przyznał Mini.

Widzieliśmy jego cierpienie i widzieliśmy, że zostało mu niewiele życia. Mimo tego nie było w nim pretensji do świata, pod tym względem nie przypominał Sherri. Patrząc na Grubasa wiedziałem, że widok tego powalonego chorobą człowieka na wózku każe mu myśleć o Sherri. Przebyć taką drogę, pomyślałem, i znaleźć to, przed czym uciekał. Cóż, jak już powiedziałem, niezależnie od tego, w którą stronę się ucieka, bóg towarzyszy człowiekowi, bo jest wszędzie, w środku i na zewnątrz.

– Czy VALIS nawiązał z wami kontakt? – spytał Mini. – Z całą czwórka? Czy dlatego jesteście tutaj?

– Tylko ze mną – powiedział Grubas. – Reszta to moi przyjaciele.

– Proszę mi powiedzieć, co pan widział – powiedział Mini.

– Coś jak ognie świętego Elma – odpowiedział Grubas. – No i informacja...

– Tam gdzie VALIS, tam zawsze jest informacja – przerwał mu Mini kiwając głową z uśmiechem. – On jest informacją. Żywą informacją.

– Wyleczył mojego syna – mówił Grubas. – W każdym razie przekazał mi informację medyczną pozwalającą go uleczyć. VALIS powiedział mi też, że święta Zofia, Budda i ten, albo to, co nazwał Głównym Apollo, wkrótce przyjdzie na świat i że...

– ...czas, na który czekaliśmy... – mruknął Mini.

– Tak – powiedział Grubas.

– Skąd pan znał szyfr? – spytał Grubasa Eric Lampton.

– Zobaczyłem na drzwiach do piwnicy – powiedział Grubas.

– Zobaczył – powiedziała gwałtownie Linda. – Jaki był stosunek boków tych drzwi?

– Stała Fibonacciego – odpowiedział Grubas.

– To nasz drugi kod – powiedziała Linda. – Zamieściliśmy ogłoszenia w prasie całego świata. Jeden do zero, przecinek sześć, jeden, osiem, zero, trzy, cztery. Mówimy „Uzupełnijcie ten ciąg: jeden do zero, przecinek sześć. Kto pozna, że to stała Fibonacciego, ten potrafi dokończyć liczbę.

– Albo używamy ciągu Fibonacciego – dodał Eric. – 1, 2, 3, 5, 8, 13 i tak dalej. Te drzwi prowadzą do Innego Królestwa.

– Wyższego? – spytał Grubas.

– My mówimy po prostu „Inne” – powiedział Eric.

– Przez drzwi zobaczyłem świetlisty napis – powiedział Grubas.

– Nie – uśmiechnął się Mini. – Za tymi drzwiami jest Kreta.

– Lemnos – poprawił Grubas po chwili milczenia.

– Czasami Lemnos, czasami Kreta. W każdym razie ta okolica. – Spazm bólu przeszył ciało Miniego na wózku.

– Widziałem hebrajskie litery na ścianie – powiedział Grubas.

– Zgadza się – przytaknął Mini nie przestając się uśmiechać. – Kabała. I te hebrajskie litery zmieniały się, aż utworzyły słowa, które mógł pan odczytać.

– KING FELIX – potwierdził Grubas.

– Dlaczego pan skłamał o tych drzwiach? – W głosie Lindy nie było wrogości, tylko ciekawość.

– Bałem się, że mi nie uwierzycie – powiedział Grubas.

– To znaczy, że nie zna pan kabały – odezwał się Mini. – VALIS posługuje się kabałą jako kodem. Całą werbalną informację przechowuje w postaci kabały, bo to najbardziej ekonomiczny sposób: zapisuje się tylko spółgłoski. Musi pan wiedzieć, że otrzymał pan dekoder odróżniający tekst od szumu. Normalnie nie potrafimy oddzielić tekstu od szumu, VALIS musi wyposażyć człowieka w dekoder. To taka siatka. Widział pan zapewne tekst jako kolor.

– Tak – skinął głową Grubas. – A tło jako biel i czern.

– Widział więc pan fałszywy obraz.

– Nie rozumiem – powiedział Grubas.

– Fałszywy obraz mieszający się ze światem rzeczywistym.

– A, tak, rozumiem – powiedział Grubas. – Miałem uczucie, że czegoś brakuje...

– A inne rzeczy zostały dodane – dokończył Mini.

Grubas kiwnął głową.

– Czy słyszy pan teraz w głowie głos? – spytał Mini. – Jak głos robota?

Po dłuższej przerwie, spojrzawszy na mnie, Kevina i Davida, Grubas powiedział:

– Neutralny głos. Ani męski, ani żeński. Tak, to brzmi jak głos robota.

– To jest wewnętrzny system łączności. Rozciąga się między gwiazdami, łącząc wszystkie układy gwiazdne z Albemuth.

– Albemuth? – spytał Grubas wpatrując się w Miniego. – To jest gwiazda?

– Słyszał pan słowo, ale...

– Widziałem je napisane – powiedział Grubas – ale nie wiedziałem, co znaczy. Kojarzyłem je z alchemią z powodu tego „al”.

– Przedrostek „al” jest pochodzenia arabskiego i znaczy tyle, co rodzajnik określony. Nazwy gwiazd często zaczynają się od niego. To był dla pana sygnał. W każdym razie widział pan strony tekstu.

– Tak – potwierdził Grubas. – Bardzo wiele. Mówiły mi, co się ze mną stanie. Na przykład – zawahał się – o mojej późniejszej próbie samobójstwa. Przeczytałem i greckie słowo „ananke”, którego nie znałem, i dalej „stopniowe gaśnięcie świata, choroba”. Później zrozumiałem, o co chodziło: coś złego, chorobliwego, coś, co miałem popełnić, ale przeżyłem.

– Moja choroba – powiedział Mini – jest skutkiem kontaktów z VALISem, z jego energią. Jest to niefortunne, ale, jak pan wie, jesteśmy nieśmiertelni, choć nie cieleśnie. Rodzimy się na nowo i pamiętamy.

– Moje zwierzaki dostały raka – powiedział Grubas.

– Tak, poziom promieniowania bywa olbrzymi. Przekraczający naszą wytrzymałość.

Więc to dlatego umierasz, pomyślałem. Twój bóg cię zabił, a ty mimo to jesteś szczęśliwy. Musimy się stąd wynosić, pomyślałem. Ci ludzie igrają ze śmiercią.

– Co to jest VALIS? – spytał Kevin Miniego. – Które to z bóstw lub demiurgów? Sziwa? Ozyrys? Horus? Robert Anton Wilson w swojej książce twierdzi...

– VALIS to jest urządzenie – wyjaśnił Mini. – Sztuczny twór. Zakotwiczony tutaj na Ziemi, dosłownie zakotwiczony. Ale że czas i przestrzeń dla niego nie istnieją, VALIS może się znajdować w każdym

miejscu i czasie. Jest to coś, co zbudowano, żeby nas programować w chwili narodzin. Jego podstawowym zadaniem jest wysyłanie do noworodków niezwykle krótkich impulsów informacyjnych, kodujących w ich mózgach instrukcje, które będą przesączać się z prawej półkuli we właściwych odstępach czasu przez całe ich życie we właściwych sytuacjach.

– Czy on ma antagonistę? – spytał Kevin.

– Jego antagonistą jest patologia tej planety – powiedział Eric. – Związana z jej atmosferą. My nie możemy oddychać waszym powietrzem, jest dla nas trujące.

– Dla nas, to znaczy dla kogo? – spytałem.

– Dla nas wszystkich – odpowiedziała Linda. – Wszyscy pochodzimy z Albemuth. Wasze powietrze zatrzuwa nas i osłabia nasze zdolności umysłowe. Dlatego ci, którzy zostali w układzie Albemuth, zbudowali VALISa i zainstalowali go tutaj, żeby wysyłał do nas racjonalne polecenia, likwidując w ten sposób patologiczne skutki zatrucia waszą atmosferą.

– Zatem VALIS jest racjonalny – powiedziałem.

– Jest jedyną racjonalnością, jaką mamy – odparła Linda.

– I kiedy działamy racjonalnie, podlegamy jego jurysdykcji – dodał Mini. – Mam na myśli nie tylko nas w tym pokoju, ale wszystkich. Nie wszystkich, którzy żyją, ale wszystkich, którzy działają racjonalnie.

– Można zatem powiedzieć, że VALIS odtruwa ludzi.

– Dokładnie tak – potwierdził Mini. – Jest to informacyjna odtrutka. Jednak dłuższy kontakt z nią może wywołać chorobę taką, jak moja.

Zbyt duża dawka lekarstwa działa jak trucizna, przypomniałem sobie Paracelsusa. Oto człowiek, który został zaleczony na śmierć.

– Chciałem poznać VALIS możliwie jak najlepiej – powiedział Mini zobaczywszy moją minę. – Błagałem go, żeby wrócił i nawiązał ze mną

dalszy kontakt. Nie chciał, wiedział, jakie mogą być dla mnie skutki jego promieniowania, jeżeli wróci. W końcu jednak wysłuchał mojej prośby. Nie żałuję. Powtórne spotkanie z VALISEm było tego warte. Pan wie, co mam na myśli – zwrócił się do Grubasa. – Głos dzwonów...

– Tak – powiedział Grubasa. – Wielkanocne dzwony.

– Czy wy mówicie o Chrystusie? – spytał z niedowierzaniem David. – Chrystus ma być sztucznie zbudowanym urządzeniem, które ma wysyłać do nas działającą na podświadomość informację?

– Od chwili naszych narodzin – potwierdził Mini. – Do nas szczęśliwców. Do tych, których sobie wybrał. Do swojej owczarni. Zanim umrę, VALIS wróci, obiecał mi to. VALIS przyjdzie i zabierze mnie do siebie. Będę odtąd jego częścią na zawsze. – Oczy Miniego zapełniły się łzami.



Potem usiedliśmy i rozmawialiśmy już spokojniej.

Oko Sziwy to był, oczywiście, sposób, w jaki starożytni przedstawiali VALISa wysyłającego informację. Wiedzieli, że ma on również moc niszcząca, to jest element szkodliwego promieniowania niezbędnego jako nośnik informacji. Mini powiedział nam, że VALIS nie musi znajdować się blisko w czasie nadawania, może być oddalony dosłownie o miliony mil. Stąd w filmie „Valis” przedstawiono go jako satelitę, bardzo starego satelitę umieszczonego na orbicie nie przez ludzi.

– Wobec tego mamy do czynienia nie z religią, tylko z wysoko rozwiniętą techniką – zauważyłem.

– Słowa, słowa – powiedział Mini.

– Kto jest Zbawicielem? – spytał David.

– Zobaczycie – obiecał Mini. – Zaraz. Jutro, jeżeli chcecie. W sobotę po południu. Teraz śpi. Nadal dużo śpi, przez większość czasu, prawdę mówiąc. Ostatecznie pozostawał w uśpieniu przez tysiące lat.

– W Nag Hammadi? – spytał Grubas.

– Wołałbym nie mówić – powiedział Mini.

– Dlaczego ma to być tajemnicą? – spytałem.

– Nie robimy z tego tajemnicy – powiedział Eric. – Nakręciliśmy film i przygotowujemy nagrania z informacją w tekstach. Głównie z podświadomą informacją. Mini robi to samo za pomocą swojej muzyki.

– „Brahman czasem śpi – odezwał się Kevin – a czasem Brahman tańczy”. Czy mówimy o Brahmanie, czy o Buddzie? Czy o Chrystusie? A może on jest nimi wszystkimi?

– Wielki... – zwróciłem się do Kevina. Chciałem powiedzieć „Wielki Punta”, uznałem jednak, że nie byłoby to właściwe. – Ale nie jest to Dionizos? – spytałem Miniego.

– Apollo – odpowiedziała za niego Linda. – Przeciwieństwo Dionizosa.

Odetchnąłem z ulgą. Wierzyłem jej, zgadzało się to z tym, co zostało objawione Grubasowi. „Główny Apollo”.

– Znajdujemy się tu w labiryncie – mówił Mini – który sami zbudowaliśmy i teraz nie możemy się z niego wydostać. W istocie, VALIS wybiórczo kieruje do nas informacje, które pomagają nam wydostać się z labiryntu, znaleźć właściwą drogę. Zaczęło się to na dwa tysiące lat przed Chrystusem w okresie mykeńskim lub może wczesnohelleńskim. To dlatego mity umieszczają labirynt na Krecie i to dlatego ujrzał pan starożytną Kretę przez drzwi 1:618034. Byliśmy doskonałymi budowniczymi, ale pewnego dnia postanowiliśmy się zabawić. Zrobiliśmy to z własnej woli. Byliśmy tak dobrymi budowniczymi, że potrafiliśmy zbudować labirynt mający wyjście, który jednak stale się zmienia, tak więc,

mimo że wyjście było, dla nas był on bez wyjścia, ponieważ ten labirynt, ten świat, był żywy. Chcąc nadać grze większą realność, zrobić z niej coś więcej niż intelektualną zabawę, postanowiliśmy obniżyć swoje wyjątkowe zdolności, zejść o cały jeden poziom niżej. To, niestety, obejmowało utratę pamięci, utratę znajomości naszego prawdziwego pochodzenia. Ale co gorsza, i tutaj w pewnym sensie udało nam się pokonać samych siebie i oddać zwycięstwo naszemu słudze, zbudowanemu przez nas labiryntowi...

– Zamknijcie trzeciego oka – wtrącił Grubas.

– Tak. Zrezygnowaliśmy z trzeciego oka, podstawowego osiągnięcia naszej ewolucji. A VALIS przywraca nam trzecie oko.

– Zatem to trzecie oko wyprowadza nas z labiryntu – powiedział Grubas. – To dlatego trzecie oko jest utożsamiane w Egipcie i w Indiach z nadludzkimi mocami albo z oświeceniem.

– To jest to samo – powiedział Mini – boski i oświecony.

– Naprawdę? – spytałem.

– Tak – potwierdził Mini. – Taki jest człowiek w swoim przyrodzonym stanie.

– Zatem pozbawieni pamięci i trzeciego oka nie mieliśmy szans na wyjście z labiryntu – powiedział Grubas. – Sprawa była beznadziejna.

Jeszcze jedna chińska pułapka na palec, pomyślałem. Zbudowana przez nas samych, na nas samych.

Jaki trzeba mieć umysł, żeby budować pułapkę na siebie samego? Też mi zabawa, pomyślałem. Nie tylko intelektualna.

– Jeżeli mieliśmy się wydostać z tego labiryntu, należało powtórnie otworzyć trzecie oko – mówił Mini – ponieważ jednak nie pamiętaliśmy o tej swojej mocy, o oku rozróżniającym, nie szukaliśmy sposobów na jego otwarcie. Musiało wkroczyć coś z zewnątrz, coś, czego sami nie potrafilibyśmy zbudować.

– To znaczy, że nie wszyscy zostaliśmy uwięzieni w labiryncie – powiedział Grubas.

– Nie – potwierdził Mini. – I ci, którzy pozostali na zewnątrz, w innych układach gwiazdnych, zawiadomili Albemuth o naszej sytuacji... wtedy zbudowano VALIS, żeby nas ratować. Żyjemy w nierzeczywistym świecie, jestem pewien, że zdaje pan sobie z tego sprawę. VALIS to panu uświadomił. Że żyjemy nie w świecie, a w labiryncie.

Zapadła cisza, zastanawialiśmy się nad tym, co usłyszeliśmy.

– A co się stanie, kiedy wyjdziemy z tego labiryntu? – spytał Kevin.

– Uwolnimy się od czasu i przestrzeni – powiedział Mini. – Przestrzeń i czas są wiążącymi, kontrolnymi elementami labiryntu, są jego siłą.

Wymieniliśmy z Grubasem spojrzenia. To zgadzało się z naszymi własnymi hipotezami, hipotezami zapoczątkowanymi przez VALIS.

– I potem już jesteśmy wolni od śmierci? – spytał David.

– Zgadza się – powiedział Mini.

– Zatem zbawienie...

– Zbawienie – przerwał mu Mini – oznacza „wyprowadzenie z labiryntu czasoprzestrzennego, gdzie sługa stał się panem”.

– Czy mogę o coś spytać? – wtrąciłem. – Jaki jest cel piątego Zbawiciela?

– Po pierwsze, nie piątego – powiedział Mini. – Jest tylko jeden Zbawiciel, przychodzący wciąż na nowo w różnych czasach, w różnych miejscach i pod różnymi imionami. Tym Zbawicielem jest VALIS wcielony w istotę ludzką.

– Skrzyżowany z człowiekiem? – spytał Grubas.

– Nie. – Mini energicznie potrząsnął głową. – Zbawiciel nie ma w sobie żadnego elementu ludzkiego.

– Chwileczkę – zaprotestował David.

– Wiem, czego was nauczono – powiedział Mini. – W pewnym sensie to prawda. Ale Zbawiciel to VALIS i to jest tutaj najważniejsze. Jest jednak zrodzony z kobiety, to nie jest tak, że tworzy sobie pozorne ciało.

David kiwnął głową, takie wyjaśnienie mógł przyjąć.

– Czy już się urodził? – spytałem.

– Tak – potwierdził Mini.

– To moja córka – powiedziała Linda Lampton. – Nie Erica. Tylko moja i VALISA.

– Córka? – zawołaliśmy wszyscy jednym głosem.

– Tym razem – powiedział Mini – po raz pierwszy Zbawiciel przyjął postać kobiecą.

– Jest bardzo ładna – powiedział Eric Lampton. – Spodoba się wam. Jest tylko strasznie gadatliwa, zagada was na śmierć.

– Sophia ma dwa latka – powiedziała Linda. – Urodziła się w siedemdziesiątym szóstym. Nagrywamy wszystko, co mówi.

– Mamy wszystko nagrane – potwierdził Mini. – Sophia jest otoczona automatyczną aparaturą audio i video. Nie dla jej bezpieczeństwa, oczywiście, bo ochrania ją jej ojciec VALIS.

– Czy będziemy mogli z nią porozmawiać? – spytałem.

– Będzie z wami dyskutować godzinami – powiedziała Linda i dodała: – We wszystkich językach żywych i martwych.



ROZDZIAŁ DWUNASTY

Narodziła się Mądrość, nie bóstwo: bóstwo, które jedną ręką zabija, a drugą leczy... to bóstwo nie jest Zbawicielem, pomyślałem. I chwała Bogu.

Następnego ranka zostaliśmy zabrani na małą farmę pełną zwierząt. Nigdzie nie dostrzegłem śladów kamer ani mikrofonów, ale zobaczyłem, wszyscy zobaczyliśmy siedzące wśród kóz i kur czarnowłose dziecko, a w klatce obok niego króliki.

Spodziewałem się łagodności, bożego spokoju przekraczającego wszelkie zrozumienie. Tymczasem dziewczynka ujrawszy nas zerwała się na nogi i podeszła do nas z twarzą pałającą oburzeniem. Jej wielkie, rozszerzone gniewem oczy wpatrywały się we mnie, potem podniosła prawą rączkę i wskazała na mnie.

– Twoja próba samobójcza była okrucieństwem i gwałtem przeciwko sobie samemu – powiedziała wyraźnym głosem. Była, jak powiedziała Linda, zaledwie dwuletnim dzieckiem, jednak z oczami osoby nieskończenie starej.

– To nie ja, to Koniolub Grubas – powiedziałem.

– Phil, Kevin i David – powiedziała Sophia. – Jest was trzech. Nikogo więcej tu nie ma.

Odwróciłem się i nie zobaczyłem nikogo, prócz Erica Lamptona, jego żony, umierającego człowieka w fotelu na kółkach, Kevina i Davida. Grubas znikł. Nie było po nim ani śladu.

Koniolub Grubas rozplątał się. Jakby nigdy nie istniał.

– Nie rozumiem – powiedziałem. – Zniszczyłaś go.

– Tak – przyznała dziewczynka.

– Dlaczego?

– Żebyś znów był całością.

– Więc on jest teraz we mnie? Żyje we mnie?

– Tak – powiedziała Sophia. Stopniowo gniew zniknął z jej twarzy. Wielkie, ciemne oczy przestawały palić.

– On był mną przez cały czas.

– Tak było – powiedziała Sophia.

– Siadajcie – odezwał się Eric Lampton. – Ona woli, kiedy siedzimy, nie musi wtedy patrzeć na nas z dołu. Jesteśmy od niej dużo wyżej.

Posłusznie usiedliśmy na spalonej brązowej ziemi, którą rozpoznałem jako teren z pierwszego ujęcia w filmie „Valis”. Widocznie film był częściowo kręcony tutaj.

– Dziękuję – powiedziała Sophia.

– Czy jesteś Chrystusem? – spytał ją David, podciągając kolana pod brodę i obejmując je rękami. On też wyglądał jak dziecko. Dziecko zwraca się do dziecka, jak równy do równego.

– Jestem tym, który jest – odpowiedziała Sophia.

– Cieszę się, że... – nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Jeżeli twoja przeszłość nie zniknie – zwróciła się Sophia do mnie – jesteś zgubiony. Wiesz o tym?

- Wiem – powiedziałem.
 - Twoja przyszłość musi się różnić od twojej przeszłości. Przyszłość zawsze musi się różnić od przeszłości.
 - Czy jesteś Bogiem? – spytał David.
 - Jestem tym, który jest.
 - Zatem Koniolub Grubas był częścią mnie wyrzuconą na zewnątrz, żebym nie musiał stawić czoła śmierci Glorii? – powiedziałem.
 - Dokładnie tak.
 - Gdzie jest teraz Gloria?
 - Leży w grobie.
 - Czy kiedyś wróci?
 - Nigdy.
 - Myślałem, że istnieje nieśmiertelność.
- Sophia nie odpowiedziała.
- Czy możesz mi pomóc? – spytałem.
 - Już ci pomogłam – powiedziała Sophia. – Pomogłam ci w roku siedemdziesiątym czwartym i pomogłam ci, kiedy próbowałeś się zabić. Pomagałam ci od twoich narodzin.
 - Czy VALIS to ty? – spytałem.
 - Jestem tym, który jest.
 - Ona nie zawsze odpowiada – powiedziałem zwracając się do Erica i Lindy.
 - Niektóre pytania nie mają sensu – stwierdziła Linda.
 - Dlaczego nie uzdrowisz Miniego? – spytał Kevin.
 - Jestem tym, który jest i robię to, co robię.
 - Zatem nie możemy cię zrozumieć – powiedziałem.
 - To już rozumiałeś.
 - Ty jesteś wieczna, prawda? – spytał David.

– Tak.

– I wiesz wszystko? – pytał David.

– Tak.

– Czy byłaś Siddharthą? – spytałem ją.

– Tak.

– Czy jesteś zabójcą i ofiarą? – spytałem.

– Nie.

– Zabójcą?

– Nie.

– Więc ofiarą?

– Jestem skrzywdzonym i ofiarą – powiedziała Sophia. – Ale nie jestem zabójcą. Jestem uzdrowicielem i uzdrowionym.

– Ale VALIS zabił Miniego – zaprotestowałem.

Sophia nie odpowiedziała.

– Czy jesteś sędzią świata? – pytał David.

– Tak.

– Kiedy zacznie się sąd? – pytał Kevin.

– Wszyscy jesteście osądzeni od początku – powiedziała Sophia.

– A jak oceniasz mnie? – spytałem.

Sophia nie odpowiedziała.

– Czy nigdy się tego nie dowiemy? – pytał Kevin.

– Dowiecie się.

– Kiedy?

Sophia nie odpowiedziała.

– Myślę, że na razie wystarczy – wtrąciła się Linda. – Możecie jeszcze z nią porozmawiać później. Ona lubi siedzieć ze zwierzętami, uwielbia zwierzęta. – Dotknęła mojego ramienia. – Chodźmy.

– Ona ma neutralny, mechaniczny głos, który odzywa się w mojej głowie od roku siedemdziesiątego czwartego – powiedziałem, kiedy odeszliśmy od dziecka.

– Bo to komputer – powiedział przez ściśnięte gardło Kevin. – Dlatego odpowiada tylko na niektóre pytania.

Eric i Linda uśmiechnęli się, Kevin i ja spojrzeliśmy na Miniego, który spokojnie jechał na swoim wózku.

– System sztucznej inteligencji – powiedział Eric.

– Końcówka VALISa – mówił Kevin. – Terminal głównego układu, jakim jest VALIS.

– Zgadza się – powiedział Mini.

– A nie mała dziewczynka – dokończył Kevin.

– Ja ją urodziłam – powiedziała Linda.

– Może się pani tylko wydawało – zauważył Kevin.

Linda uśmiechnęła się.

– Sztuczna inteligencja w ludzkim ciele. Jej ciało żyje, ale jej psyche nie. Jest rozumna, wie wszystko, ale jej umysł nie żyje w tym sensie, w jakim my żyjemy. Ona nie została stworzona, ona była zawsze.

– Poczytajcie sobie Biblię – powiedział Mini. – Ona była ze Stwórcą przed stworzeniem świata. Była jego ulubienicą i radością, jego największym skarbem.

– Mogę to zrozumieć – powiedziałem.

– Trudno jej nie kochać – ciągnął Mini. – Wiele ludzi ją kochało, jak stwierdza Księga Mądrości. A ona nawiedzała ich, prowadziła i nawet szła z nimi do więzień. Nigdy nie opuszczała tych, którzy ją kochali albo kochają teraz.

– Jej głos słyhać w salach sądowych – szepnął David.

– I to ona obaliła tyrana? – spytał Kevin.

– Tak – potwierdził Mini. – Ferrisa F. Fremounta, jak go nazwaliśmy w filmie. Ale wiecie, kogo naprawdę pokonała i doprowadziła do upadku.

– Wiemy – powiedział Kevin. Był zamyślony. Wiedziałem, że myśli o człowieku w garniturze i krawacie, wędrującym samotnie po plaży w południowej Kalifornii, niepotrzebnym człowieku zastanawiającym się, co się stało, co się nie udało, człowieku, który wciąż układa plany.

*A przy końcu ich panowania,
gdy występni dopełnią swej miary,
powstanie król o okrutnym obliczu,
zdolny rozumieć rzeczy tajemne...*

Król łez, który w końcu wszystkich doprowadził do płaczu. Przeciw niemu działało coś, czego w swojej ślepotcie nie umiał rozpoznać. Przed chwilą rozmawialiśmy z tą siłą, z tym dzieckiem.

Z dzieckiem, które było zawsze.



Tego wieczoru przy kolacji (w meksykańskiej restauracji niedaleko parku w centrum Sonomy) uświadomiłem sobie, że nigdy już nie zobaczę mojego przyjaciela Konioluba Grubasa i przepelił mnie żal, żal utraty. Intelktualnie wiedziałem, że włączyłem go na powrót w siebie, odwracając proces projekcji. Ale mimo to czułem żal. Lubiłem jego towarzystwo, jego nie kończące się opowieści i sprawozdania z jego intelektualnych, duchowych i emocjonalnych poszukiwań. Poszukiwań nie świętego Graala, lecz sposobu na uleczenie głębokiej rany, jaką zadała mu Gloria za pomocą swojej śmiertelnej gry.

Dziwnie było nie móc zadzwonić do Grubasa ani go odwiedzić. Stał się tak nieodłączną częścią życia mojego i naszych wspólnych przyjaciół. Zastanawiałem się, co pomyśli Beth, kiedy przestaną przychodzić czeki z alimentami. Cóż, pomyślałem, właściwie mogę przejąć jego zobowiązania finansowe i zatroszczyć się o Christophera. Stać mnie na to i pod wieloma względami kocham Christophera nie mniej niż jego ojciec.

– Czujesz się przygnębiony, Phil – zagadnął mnie Kevin. Mogliśmy teraz rozmawiać swobodnie, ponieważ zostaliśmy we trójkę. Lamptonowie przywieźli nas do restauracji i powiedzieli, żebyśmy zadzwonili, kiedy zjemy kolację i będziemy gotowi wrócić do ich dużego domu.

– Nie – powiedziałem. – Myślę o Koniolubie Grubasie.

– Budzisz się więc – powiedział Kevin po chwili milczenia.

– Tak.

– Pozbierasz się – powiedział przemagając się David. Wyrażanie uczuć zawsze przychodziło mu z trudnością.

– Chyba tak.

– Czy myślicie, że Lamptonowie są wariatami? – spytał Kevin.

– Są – powiedziałem.

– A ta mała dziewczynka? – pytał Kevin.

– Ona nie jest wariatką – powiedziałem. – Nie taką jak oni. To paradoks: dwoje całkowicie zwariowanych ludzi, troje, jeżeli liczyć Miniego, stworzyło całkowicie zdrowe dziecko.

– Jeżeli powiem... – zaczął David.

– Nie mów tylko, że Bóg tworzy dobro ze zła – przerwałem mu. – Dobrze? Zrób to dla nas.

– To jest najpiękniejsze dziecko, jakie w życiu widziałem – powiedział Kevin na wpół do siebie. – Ale ta historia, że ona jest końcówką komputera... – Wzruszył ramionami.

– To ty powiedziałeś – przypomniałem.

– Wtedy wydawało mi się, że to ma sens. Ale nie teraz, kiedy patrzę z pewnej perspektywy.

– A wiesz, co ja myślę? – powiedział David. – Myślę, że powinniśmy wsiąść do samolotu i wracać do Santa Ana. Najszybciej, jak się da.

– Lamptonowie nie zrobią nam nic złego – powiedziałem. Byłem teraz tego pewien. Dziwne, ale chory, właściwie umierający Mini przywrócił mi wiarę w siłę życia. Na logikę biorąc, powinno być chyba odwrotnie. Bardzo go polubiłem, ale, jak dobrze wiadomo, mam skłonność do pomagania chorym i okaleczonym, czuję do nich jakiś pociąg. Mój psychiatra powiedział mi przed laty, że powinienem z tym skończyć. Z tym i jeszcze z jedną rzeczą.

– Nie potrafię sobie tego uporządkować – odezwał się Kevin.

– Wiem – zgodziłem się. – Czy rzeczywiście widzieliśmy Zbawiciela? Czy tylko bardzo inteligentną małą dziewczynkę, którą trójka sprytnych zawodowców wyćwiczyła w dawaniu mądrze brzmiących odpowiedzi w celu reklamowania ich filmu i muzyki?

– To dziwne, że przyjął taką postać – powiedział Kevin. – Dlaczego dziewczynka? To się spotka z oporem. Chrystus jako kobieta, widziałeś, jak to ruszyło Davida.

– Ona wcale nie powiedziała, że jest Chrystusem – powiedział David.

– Ale jest – stwierdziłem.

Obaj, Kevin i David, przestali jeść i wpatrzyli się we mnie.

– Ona jest świętą Zofią – wyjaśniłem. – A święta Zofia to hipostaza Chrystusa. Niezależnie od tego, co mówi. Ona jest ostrożna. Zresztą ona wie wszystko, wie też, co ludzie zaakceptują, a czego nie.

– Ty masz te swoje wszystkie niesamowite przeżycia z marca siedemdziesiątego czwartego, na których możesz się oprzeć – powiedział

Kevin. – To jest jakiś dowód, dowód, że to było naprawdę. VALIS istnieje. Ty to już wiedziałeś. Ty miałeś z nim kontakt.

– Tak myślę – powiedziałem.

– I to, co Mini wie i powiedział, zgadza się z tym, co ty wiesz – odezwał się David.

– Tak.

– Ale nie jesteś pewien – wtrącił Kevin.

– Mamy do czynienia z najnowszą, wielce skomplikowaną techniką – powiedziałem. – Licho wie, co Mini z tego poskładał.

– Masz na myśli przekazy mikrofalowe i takie rzeczy? – spytał Kevin.

– Tak.

– To zjawisko czysto technologiczne – powiedział Kevin. – Wielki przełom w technice.

– Wykorzystanie ludzkiego umysłu jako przetwornika. Bez elektronicznego złącza.

– Możliwe. Film to pokazywał. Nie sposób zgadnąć, co oni chcą osiągnąć.

– Wiecie co? – powiedział powoli David. – Jeżeli oni rozporządzają potężną energią, którą mogą przesyłać na duże odległości wzdłuż promienia lasera...

– To mogą nas załatwić – dokończył Kevin.

– To prawda – powiedziałem.

– Jeżeli – ciągnął Kevin – będziemy gadać na prawo i lewo, że im nie wierzymy.

– Moglibyśmy powiedzieć, że musimy nagle wracać do Santa Ana – zaproponował David.

– Albo możemy jechać prosto stąd. Z restauracji – powiedziałem.

– A co z naszymi rzeczami i ubraniami, wszystko jest u nich w domu – zaprotestował Kevin.

– Pal diabli ubrania – powiedziałem.

– Czy boisz się, że coś się stanie? – spytał David.

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Nie – powiedziałem w końcu. – Wierzę temu dziecku. I wierzę Miniemu. Trzeba polegać na instynktownym zaufaniu albo braku zaufania. Jak się dobrze zastanowić, to na nic innego nie można liczyć.

– Chciałbym jeszcze raz porozmawiać z Sophią – powiedział Kevin.

– Ja też – potwierdziłem. – Tam kryje się odpowiedź.

Kevin położył mi rękę na ramieniu.

– Przepraszam, że to mówię, Phil, ale mamy już jeden ważny dowód. To dziecko w jednej chwili oczyściło twój umysł. Przestałeś wierzyć, że jest was dwóch. Przestałeś wierzyć, że Koniolub Grubas to oddzielna osoba. A przecież żaden lekarz i żadna terapia nie mogły tego dokonać przez wszystkie lata, jakie minęły od śmierci Glorii.

– On ma rację – powiedział David łagodnym głosem. – Nie traciliśmy nadziei, ale wszystko wskazywało na to, że... wiesz... że nigdy z tego nie wyjdiesz.

– Racja – powiedziałem. – Ona mnie uleczyła. Nie Konioluba Grubasa, tylko mnie. – Faktycznie mieli rację. Zdarzyło się cudowne uleczenie i wszyscy wiedzieliśmy, co to oznacza. Wszyscy trzej rozumieliśmy.

– Osiem lat – powiedziałem.

– Zgadza się – potwierdził Kevin. – Zanim się jeszcze poznaliśmy. Osiem długich cholernych lat zaćmienia, bólu, poszukiwań i tułaczki.

Kiwnąłem głową.

Jakiś wewnętrzny głos spytał: „Co jeszcze musisz wiedzieć?”

Były to moje własne myśli, rozumowanie tej części mnie, która była Koniolubem Grubasem.

– Zdajecie sobie sprawę – mówił Kevin – że Ferris F. Fremount będzie próbował wrócić do władzy. Został obalony przez to dziecko albo przez to, co za nim stoi, ale nigdy nie zrezygnuje z powrotu. Bitwa została wygrana, ale wojna toczy się dalej.

– Bez tego dziecka... – zaczął David.

– Przegramy – dokończyłem.

– Tak jest – zgodził się Kevin.

– Zostańmy jeszcze jeden dzień – zaproponowałem – i spróbujemy jeszcze raz porozmawiać z Sophią. Ostatni raz.

– To wygląda na dobry plan – powiedział Kevin zadowolony.

Nasza mała grupka, Towarzystwo Rhipidon, uzgodniła stanowisko. W pełnym składzie trzech członków.



Następnego dnia, w niedzielę, otrzymaliśmy we trójkę pozwolenie na rozmowę z Sophią bez obecności innych osób, chociaż Eric i Linda zażądali, żebyśmy nagrali nasze spotkanie. Zgodziliśmy się łatwo, nie mając żadnego wyboru.

Tego dnia promienie słońca oświetlały ziemię, nadając zebranim wokół nas zwierzętom charakter grona wyznawców. Miałem wrażenie, że zwierzęta te słyszą, słuchają i rozumieją.

– Chciałbym porozmawiać z tobą o Ericu i Lindzie Lampton – odezwałem się do małej dziewczynki, która siedziała z otwartą książką na kolanach.

– Nie będziesz mnie przesłuchiwał – odpowiedziała.

– Czy nie mogę cię o nich spytać?

– Są chorzy – powiedziała Sophia. – Ale nie zrobią nikomu krzywdy, bo mam nad nimi kontrolę. – Spojrzała na mnie z dołu swoimi wielkimi, ciemnymi oczami. – Siadajcie.

Posłusznie usiedliśmy przed nią na ziemi.

– To ja dałam wam motto – powiedziała. – Waszemu towarzystwu. Dałam wam też nazwę, a teraz daję wam wasze zadanie. Pójdziecie w świat i będziecie głosić kerygmat* [przyp.: Słowo głoszone na mocy misji zleconej przez Boga.], który wam przekażę. Słuchajcie, powiadam wam prawdziwie, powiadam wam najprawdziwiej, że czas ludzi złych dobiegnie końca i że syn człowieczy zasiądzie jako sędzia. Jest to równie pewnie, jak to, że wszędzie słońce. Ponury król będzie walczył, ale przegra mimo swojej chytrności. Przegrywa teraz, już przegrał i będzie zawsze przegrywać, a ci, co idą za nim, będą wtrąceni w otchłań i tam pozostaną na wieki.

To, czego uczycie, to słowo o człowieku. Człowiek jest święty i prawdziwy, żywym bogiem jest sam człowiek. Nie będziecie mieć innych bogów prócz siebie, czasy, w których wierzyliście w innych bogów, dobiegają kresu i kończą się na zawsze.

Osiągnęliście cel swojego życia. Jestem tutaj, żeby wam to powiedzieć. Nie lękajcie się, ja was obronię. Macie tylko przestrzegać jednego prawa: macie kochać się nawzajem tak, jak kochacie mnie i jak ja kocham was, bo ta miłość pochodzi od prawdziwego boga, którym jesteście wy sami.

Macie przed sobą czas próby, kłamstwa i płaczu, bo ponury król, król łez, nie odda swojej władzy dobrowolnie. Ale wy mu ją odbierzecie. Daję wam tę moc w moim imieniu, tak jak dałam ją wam już raz wcześniej, kiedy ten ponury król rządził, niszczył i prowokował pokornych tego świata.

Bitwa, w której uczestniczyliście, jeszcze się nie skończyła, chociaż nadszedł dzień uzdrawiającego słońca. Zło nie odchodzi samo, ponieważ wyobraża sobie, że występuje w imieniu boga. Wielu twierdzi, że przemawia w imieniu boga, ale jest tylko jeden bóg i tym bogiem jest sam człowiek.

Żyć zatem będą tylko ci przywódcy, którzy chronią i bronią, pozostali zginą. Ucisk zniesiony cztery lata temu wróci już tylko na krótko. Okażcie w tym czasie cierpliwość, będzie to dla was czas próby, ale ja będę z wami, a kiedy czas próby się dopełni, zasiądę na tronie sędziego i jedni upadną, a inni nie upadną, według mojej woli, a ona pochodzi od ojca, do którego wszyscy pójdziemy, wszyscy razem.

Ja nie jestem bogiem, jestem człowiekiem. Jestem dzieckiem, dzieckiem mojego ojca, który jest Mądrością. Nosicie teraz w sobie głos i siłę Mądrości, jesteście zatem Mądrością, nawet jeżeli o tym zapomnicie. Ale będziecie pamiętać długo, bo ja będę z wami i będę wam przypominać.

Nadszedł dzień Mądrości i nadeszła władza Mądrości. Dzień tej siły, która jest wrogiem Mądrości, dobiega kresu. Siła i Mądrość to dwie zasady w świecie. Siła miała swoje panowanie i teraz odchodzi w ciemności, z których przyszła i rządy obejmuje Mądrość.

Ci, którzy słuchają siły, upadną razem z siłą.

Ci, którzy kochają Mądrość i służą jej, będą żyli szczęśliwie pod słońcem. Pamiętajcie, że ja będę z wami. Odtąd będę w każdym z was. Będę wam towarzyszyć w więzieniu, jeżeli będzie trzeba, i będę występować w sądzie w waszej obronie. Mój głos będzie słyszany, gdziekolwiek będzie prześladowanie.

Nie lękajcie się. Mówcie prawdę, a Mądrość was poprowadzi. Zamilkniecie ze strachu, a Mądrość was opuści. Ale nie będziecie czuli strachu, bo jest w was Mądrość, a wy i ona jesteście jedno.

Przedtem byliście sami ze sobą, byliście ludźmi samotnymi. Teraz macie towarzysza, który nigdy nie zachoruje, nigdy nie zawiedzie i nigdy nie umrze. Jesteście związani z tym, co wieczne, i będziecie błyszczeć jak samo uzdrawiające słońce.

Kiedy wrócicie do świata, będę wami kierować dzień za dniem. A kiedy umrzecie, będę wiedzieć i przyjdę was zabrać. Zniosę was do waszego domu, z którego wyszliście i do którego wrócicie.

Jesteście tutaj obcy, ale nie jesteście obcy dla mnie, bo znałam was od początku. To nie był wasz świat, ale ja uczynię go waszym światem, zmienię go dla was. Nie lękajcie się, to, co na was nastaje, przepadnie, a wy będziecie żyć szczęśliwie.

Tak się stanie, ponieważ mówię w imieniu mojego ojca. Wy jesteście prawdziwym bogiem i wy zwyciężycie.

Zapadła cisza. Sophia przestała mówić.

– Co czytasz? – spytał Kevin wskazując książkę.

– „Sepher Yezirah” – odpowiedziała dziewczynka. – Przeczytam wam kawałek. Posłuchajcie. – Zamknęła książkę i odłożyła ją. – „Bóg skierował jedno przeciwko drugiemu, dobro przeciwko złu i zło przeciwko dobru. Dobro pochodzi od dobra i zło od zła. Dobro oczyszcza zło, a zło oczyszcza dobro, dobro jest przeznaczone dla dobrych, a zło dla złych”. – Sophia zatrzymała się na chwilę i powiedziała: – To znaczy, że dobro przekształci zło w to, czym ono nie chce być, ale zło nie może przekształcić dobra w to, czym ono nie chce być. Mimo całej swojej chytryści zło służy dobru. – Potem zamilkła i siedziała w ciszy otoczona nami i zwierzętami.

– Czy możesz opowiedzieć nam o swoich rodzicach? – spytałem. – Chodzi o to, że jeżeli mamy wiedzieć, co robić...

– Idź tam, dokąd cię pošlę, a będziesz wiedział, co robić – powiedziała Sophia. – Nie ma miejsca, w którym mnie nie ma. Kiedy stąd odejdziecie,

nie zobaczycie mnie, ale potem znów mnie zobaczycie. Wy nie będziecie mnie widzieć, ale ja będę was widzieć zawsze. Pamiętam o was nieustannie. Jestem z wami, niezależnie od tego, czy o tym wiecie, czy nie i powiadam wam, wiedzcie, że wam towarzyszę, nawet w więzieniu, jeżeli tyran tam was wtrąci. To wszystko. Wracajcie do domu, a kiedy będzie trzeba, powiem wam, co macie robić. – Uśmiechnęła się do nas.

– Ile masz lat? – spytałem.

– Dwa.

– I czytasz taką książkę? – spytał Kevin.

– Powiadam wam prawdziwie, że nikt z was mnie nie zapomni. I powiadam wam, że wszyscy jeszcze mnie zobaczycie. Wy mnie nie wybraliście, to ja was wybrałam i wezwałam was tutaj. Posłałam po was cztery lata temu.

– Zgadza się – powiedziałem. To oznaczało, że rozmowa była z roku 1974.

– Jeżeli Lamptonowie spytają was, co mówiłam, powiedzcie im, że rozmawialiśmy o wspólnocie, którą należy zorganizować. Nie mówcie im, że kazałam wam od nich odejść. To jest wasza odpowiedź: nigdy już nie będziecie mieć z nimi do czynienia.

Kevin bez słowa wskazał włączony magnetofon.

– Kiedy przesłuchają taśmę, usłyszą „Sepher Yezirah” i nic więcej – powiedziała Sophia.

Nieźle, pomyślałem.

Wierzyłem jej.

– Nie zawiodę was – powtórzyła Sophia uśmiechając się do nas trzech.

W to też wierzyłem.



Kiedy wracaliśmy w trójkę do domu, pierwszy odezwał się Kevin:

– Czy to były tylko cytaty z Biblii?

– Nie – powiedziałem.

– Nie – potwierdził David. – Było coś nowego, to, że jesteśmy teraz swoimi własnymi bogami. Że nadszedł czas, kiedy nie musimy już wierzyć w żadne bóstwo poza sobą.

– Jakie to piękne dziecko – powiedziałem myśląc o tym, jak bardzo przypomina mi mojego Christophera.

– Mieliśmy wielkie szczęście – powiedział wzruszonym głosem David – że mogliśmy ją spotkać. – Zwracając się do mnie dodał: – Ona będzie z nami, obiecała i ja jej wierzę. Ona będzie w nas, nie będziemy sami. Nigdy dotąd nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale jesteśmy sami. Każdy jest sam, to znaczy, byliśmy sami. Aż do teraz. Ona rozprzestrzeni się na cały świat, prawda? W końcu będzie we wszystkich. Poczynając od nas.

– Towarzystwo Rhipidon – powiedziałem – ma czworo członków. Sopię i nas trzech.

– To i tak trochę mało – powiedział Kevin.

– Ziarnko gorczycy – przypomniałem. – Które wyrasta w drzewo tak duże, że ptaki zakładają gniazda w jego gałęziach.

– Daj spokój – powiedział Kevin.

– O co chodzi? – spytałem.

– Musimy zbierać manatki i czym prędzej się stąd wynosić, tak nam powiedziała. Lamptonowie to wariaci jakich mało, mogą nas w każdej chwili załatwić jakimś promieniem – powiedział Kevin.

– Sophia nas obroni – odezwał się David.

– Dwuletnie dziecko? – spytał Kevin.

Obaj spojrzeliśmy na niego.

– No dobrze, dwutysiącletnie dziecko – poprawił się Kevin.

– Jedyne dziecko, które potrafi żartować na temat Zbawiciela – powiedział David. – Jestem zdziwiony, że nie spytałeś jej o swojego przejechanego kota.

Kevin przystanął, na jego twarzy pojawił się wyraz autentycznego zdziwienia i gniewu. Wyraźnie zapomniał o tej sprawie i przegapił swoją szansę.

– Wracam – powiedział.

Razem z Davidem wzięliśmy go pod pachy.

– Ja nie żartuję! – powiedział ze złością.

– O co ci chodzi? – spytałem.

– Chcę z nią jeszcze trochę porozmawiać. Nie ruszę się stąd, do cholery, puśćcie mnie, ja wracam!

– Posłuchaj – powiedziałem – ona kazała nam odejść.

– I będzie się z nami porozumiewać – powiedział David.

– Będziemy słyszeć to, co nazwałem wewnętrznym mechanicznym głosem – powiedziałem.

– Tak, i będą fontanny z lemoniadą i cukierki na drzewach – powiedział Kevin ze złością. – Wracam.

Z domu wyszli Eric i Linda Lamptonowie i ruszyli w naszą stronę.

– Nadszedł czas konfrontacji – powiedziałem.

– Cholera – zaklął Kevin w desperacji. – A ja i tak wracam. – Uwolnił się od nas i pośpieszył w kierunku, z którego przyszliśmy.

– Jak się udało? – spytała Linda Lampton, kiedy oboje z mężem podeszli do mnie i Davida.

– Świetnie – powiedziałem.

– O czym rozmawialiście? – spytał Eric.

– O wspólnocie – odpowiedziałem.

– Bardzo dobrze – pochwaliła Linda. – Dlaczego Kevin wraca? Co on chce powiedzieć Sophii?

– Chodzi o jego przejechanego kota – wyjaśnił David.

– Zawołajcie go do nas – powiedział Eric.

– Dlaczego?

– Omówimy wasz udział we wspólnocie – powiedział Eric. – Naszym zdaniem Towarzystwo Rhipidon powinno być częścią szerszej wspólnoty. To propozycja Miniego, o której należy porozmawiać. Uważamy, że zasługujecie na przyjęcie.

– Pójdę po Kevina – zaoferował się David.

– Musimy wracać do Santa Ana – powiedziałem do Erica.

– Mamy dość czasu na przedyskutowanie waszego uczestnictwa we wspólnocie – rzekła Linda. – Samolot macie dopiero o ósmej, prawda? Zdążycie zjeść z nami kolację.

– To VALIS was tutaj wezwał – powiedział Eric Lampton – i VALIS zdecyduje, kiedy możecie odjechać.

– VALIS uważa, że jesteśmy gotowi – powiedziałem.

– Pójdę po Kevina – powtórzył David.

– Ja po niego pójde – powiedział Eric i minąwszy nas skierował się w stronę Kevina i dziewczynki.

Linda założyła ręce na piersi.

– Nie możecie jeszcze wracać do siebie – powiedziała. – Mini chce z wami omówić kilka spraw. Pamiętajcie, że zostało mu niewiele czasu. Szybko opada z sił. Czy Kevin naprawdę pyta Sophię o swojego zdechłego kota? Cóż jest takiego w zdechłym kocie?

– Dla Kevina ten kot jest bardzo ważny – odparłem.

– To prawda – potwierdził David. – Dla Kevina śmierć tego kota reprezentuje całe zło wszechświata. Uważa, że Sophia potrafi mu to

wytłumaczyć, to znaczy całe zło wszechświata, niezaskuszone cierpienie i stratę.

– Myślę, że wcale nie rozmawia z nią o jakimś zdechłym kocie – powiedziała Linda.

– Ależ na pewno tak.

– Nie zna pani Kevina – rzekł David. – Może rozmawia o innych rzeczach, bo to jego jedyna szansa porozmawiania ze Zbawicielem, ale na pewno jego przejechany kot jest jednym z najważniejszych tematów tej rozmowy.

– Myślę, że powinniśmy pójść do Kevina i powiedzieć mu, że już za długo rozmawia z Sophią – zauważyła Linda. – Co to znaczy „VALIS uważa, że jesteśmy gotowi”? Czy Sophia wam tak powiedziała?

Usłyszałem w swojej głowie głos: „Powiedz jej, że dokuczają wam promieniowanie”. Był to mechaniczny głos, który Koniolub Grubas słyszał od 1974 roku, poznałem go.

– To promieniowanie – powiedziałem i zawahałem się, rozważając związane zdanie, które usłyszałem. – Prawie nic nie widzę. Oślepił mnie promień różowego światła, to widocznie słońce. Wtedy zdałem sobie sprawę, że musimy wracać.

– To był bezpośredni przekaz informacji z VALISA – powiedziała Linda z nagłym ożywieniem.

„Nie wiesz”.

– Nie wiem – powiedziałem. – Ale od tej chwili poczułem się jakoś inaczej. Jakbym miał do zrobienia coś ważnego w Santa Ana. Znamy innych ludzi... są ludzie, których moglibyśmy wciągnąć do Towarzystwa Rhipidon. Powinni przystąpić do wspólnoty. VALIS wywołał u nich wizje, teraz przychodzą do nas po wyjaśnienia. Powiedzieliśmy im o filmie. Wszyscy go obejrzel i bardzo dużo zrozumieli. Aż się zdziwiłem, ile osób

zachęciliśmy do obejrzenia tego filmu, widocznie nasi znajomi mówili swoim znajomym. Ludzie, których znam w Hollywood, producenci, aktorzy, a zwłaszcza finansiści, byli bardzo zainteresowani tym, co im mówiłem. Zwłaszcza pewien producent z MGM gotów jest sfinansować następny film Mother Goose'a, tym razem wielkobudżetowy. Twierdzi, że ma już środki.

Moja gadanina zdumiewała mnie samego, zdawało się, że płynnie znikąd. Było tak, jakbym to mówił nie ja, ale ktoś inny, ktoś, kto wie dokładnie, co należy powiedzieć Lindzie Lampton.

– Jak się nazywa ten producent? – spytała Linda.

– Art Rockoway – odpowiedziałem. Nazwisko przyszło mi do głowy jak na zawołanie.

– Jakie on robi filmy? – dopytywała się Linda.

– Ten o odpadach promieniotwórczych, które skaziły środkową część stanu Utah – powiedziałem. – Katastrofa, o której dziennikarze pisali dwa lata temu, ale telewizja pod naciskiem władz bała się to puścić. Kiedy padły wszystkie owce. Oficjalnie mówiło się, że to gaz paralizujący. Rockoway zrobił ostry film, w którym wychodzi cała prawda o wyrachowanej obojętności władz.

– Kto grał? – spytała Linda.

– Robert Redford.

– Myślę, że bylibyśmy zainteresowani – powiedziała Linda.

– Musimy więc wracać do południowej Kalifornii. Trzeba porozmawiać z paroma osobami w Hollywood.

– Eric! – zawołała Linda i poszła w stronę męża stojącego z Kevinem. Trzymał go teraz za ramię.

Spojrząwszy na mnie David dał znak, że powinniśmy pójść za nią. W ten sposób we troje podeszliśmy do Kevina i Erica. Siedząca nie opodał

zaczytana Sophia nie zwracała na nas najmniejszej uwagi.

Nagle oślepił mnie błysk różowego światła.

– O rany! – powiedziałem.

Nic nie widziałem. Przyłożyłem dłonie do czoła, które pulsowało bólem, jakby miało zaraz pęknąć.

– Co się stało? – spytał David. Słyszałem basowe brzęczenie, jak odgłos odkurzacza. Otworzyłem oczy, ale widziałem jedynie fale różowego światła.



– Phil, wszystko w porządku? – pytał Kevin.

Różowe światło odpłynęło. Siedzieliśmy we trójkę w lecącym odrzutowcu. Jednak w tym samym czasie, nałożone na fotele samolotu, ścianę, na innych pasażerów, rozciągało się suche brązowe pole, Linda Lampton, dom w pobliżu. Dwa miejsca, dwa czasy.

– Kevin, która godzina? – spytałem. Za oknem samolotu panowały ciemności, wewnętrzne światła nad pasażerami były w większości włączone. Była noc. Jednocześnie brunatne pole, na którym stali Lamptonowie, Kevin i David, znajdowało się w pełnym słońcu. Słyszałem szum silników odrzutowca, poczułem, że się przechyliłem, to samolot zmieniał kierunek. Teraz zobaczyłem za oknem w dole morze dalekich światła. Zrozumiałem, że lecimy nad Los Angeles. I wciąż padało na mnie jasne światło dnia.

– Za pięć minut lądujemy – powiedział Kevin.

Naruszenie ciągłości czasu, pomyślałem.

Brunatne pole odpłynęło. Eric i Linda Lamptonowie odpłynęli. Blask słońca odpłynął.

Wnętrze samolotu wokół mnie nabrało realności. David czytał książkę o T.S. Eliocie. Kevin był jakiś spięty.

– Jesteśmy prawie na miejscu – powiedziałem. – Lotnisko Hrabstwa Orange.

Kevin nie odezwał się. Siedział zgarbiony w ponurej zadumie.

– Puścili nas w końcu? – spytałem.

– Co? – Spojrzał na mnie z irytacją.

– Ja tylko tam byłem – powiedziałem. Natychmiast pamięć o tym, co się wydarzyło, znalazła się w moim umyśle. Protesty Lamptonów i Miniego, zwłaszcza jego, nalegania, żebyśmy nie jechali i wreszcie nasz odjazd. A teraz byliśmy w samolocie Air Cal w drodze do domu. Bezpieczni.

Lamptonowie i Mini starali się wyrzucić na nas dwojaki nacisk.

– Nie powiecie nikomu z zewnątrz o Sophii? – dopytywała się nerwowo Linda. – Czy przysięgacie milczeć? – Rzecz jasna, wszyscy trzech obiecaliśmy. Ten niepokój był jedną formą nacisku, negatywną. Druga była pozytywna, miała być zachętą.

– Spójrzmy na to w ten sposób – mówił Eric, wspierany przez Miniego, który wyglądał na autentycznie załamane tym, że Towarzystwo Rhipidon, choć tak nieliczne, postanowiło się oddalić. – To jest najdonioślejsze wydarzenie w historii ludzkości, nie chcecie chyba być z niego wykluczeni? Przecież VALIS was wybrał. Dostajemy dosłownie tysiące listów w związku z filmem i tylko bardzo nieliczni z autorów, rozsiani tu i ówdzie mogli mieć, jak się wydaje, kontakt z VALISem, tak jak wy. Stanowimy grupę wielce uprzywilejowaną.

– To jest Wezwanie – powiedział Mini prawie błagalnie.

– Tak – zawtórowali mu Linda i Eric. – To jest Wezwanie, na które ludzkość czekała od stuleci. Przeczytajcie Apokalipsę, przeczytajcie, co ona mówi o wybranych. To my jesteśmy wybranymi Bogami!

– Chyba tak – powiedziałem, kiedy zostawili nas przy wynajętym samochodzie. Zaparkowaliśmy go w bocznej uliczce Sonomy, gdzie dozwolone było parkowanie bez ograniczeń.

Żegnając się ze mną Linda Lampton położyła mi ręce na ramionach i pocałowała mnie w usta. Mocno i z pewną domieszką, prawdę mówiąc z dużą domieszką, erotycznego zapachu.

– Wróć do nas – szepnęła mi do ucha. – Obiecujesz? To jest nasza przyszłość, należy do bardzo, bardzo nielicznych. – Na co pomyślałem: trudno się bardziej mylić, moja droga, ona należy do wszystkich.

Wreszcie byliśmy prawie w domu. Dzięki pomocy VALISa. Albo, jak wolałem myśleć, świętej Zofii. Takie ujęcie pozwalało mi skupić uwagę na obrazie małej Sophii czytającej książkę w otoczeniu zwierząt.

– Oni nie byli z nami całkiem uczciwi – powiedziałem, kiedy staliśmy na lotnisku w oczekiwaniu na bagaż. – Na przykład, powiedzieli nam, że wszystko, co Sophia mówi i robi, jest nagrywane. To nieprawda.

– Możesz się mylić – powiedział Kevin. – Mają teraz wymyślone systemy monitorowania, które są zdalnie sterowane. Ona mogła być w ich zasięgu, nawet jeżeli my ich nie widzieliśmy. Mini nie przesadza, kiedy mówi o sobie, że jest mistrzem elektroniki.

Mini, pomyślałem, który gotów był umrzeć, byle jeszcze raz spotkać się z VALISem. A ja? W roku 1974 spotkałem się z nim jeden jedyny raz i odtąd czułem głód powtórnego kontaktu, głód przenikający do szpiku kości. Czułem go nie tylko umysłem, ale i ciałem, może nawet bardziej ciałem. Ale VALIS słusznie był wstrzemięźliwy. Nie chcąc ukazać mi się powtórnie, okazał swój szacunek dla ludzkiego życia.

Ostatecznie, mało nie przypłaciłem życiem tego pierwszego spotkania. Mogłem spotkać się z VALISem powtórnie, ale, podobnie jak Miniego,

kosztowałyby mnie to życie. A tego nie chciałem, miałem zbyt wiele spraw do załatwienia.

A co właściwie miałem do załatwienia? Nie wiedziałem. Nikt z nas nie wiedział. Słyszałem już mechaniczny głos w swojej głowie i inni też go usłyszą, będzie go słyszało coraz więcej ludzi. VALIS jako żywa informacja przeniknie świat, powielając się w umysłach ludzi, krzyżując się z nimi i pomagając im, kierując nimi na poziomie podświadomości, czyli w sposób niewidzialny. Żaden konkretny człowiek nie mógł być pewien, co się z nim stało, póki symbioza nie osiągnęła punktu krytycznego. W kontaktach z innymi ludźmi dana osoba nigdy nie miała wiedzieć, kiedy ma do czynienia z innym homoplazmatem, a kiedy nie.

Może powrócą starożytne znaki tajnej identyfikacji, a może już wróciły. Podczas uścisku dłoni, ruch jednym palcem naśladowujący dwa przecinające się łuki, albo szybki zarys symbolu ryby, którego poza dwiema zainteresowanymi osobami nikt nie zauważy.

Przypomniał mi się przypadek, więcej niż przypadek, mojego syna Christophera. W marcu 1974, kiedy VALIS przejął kontrolę nad moim umysłem, przeprowadziłem prawidłową i skomplikowaną ceremonię wprowadzenia Christophera w szeregi nieśmiertelnych. Wiedza medyczna VALISa uratowała Christopherowi życie fizyczne, ale VALIS nie poprzestał na tym.

Było to przeżycie ogromnej dla mnie wagi. Wszystko dokonało się w całkowitej tajemnicy, nawet przed matką chłopca.

Najpierw przygotowałem kubek gorącej czekolady. Potem przygotowałem hot doga na bułce z normalnymi dodatkami. Christopher mimo niemowlęcego wieku przepadał za hot dogami i czekoladą na gorąco.

Usiadłszy na podłodze obok Christophera, w jego pokoju, ja – albo raczej VALIS we mnie jako ja – zaczęliśmy zabawę. Najpierw w żartach

uniosłem kubek czekolady w górę, nad głowę syna, potem, niby przypadkiem, wylałem nieco ciepłej czekolady na jego włosy. Zaśmiewając się Christopher usiłował zetrzeć płyn, a ja mu, oczywiście, pomagałem. Pochyliwszy się nad nim szepnąłem: „W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego”.

Nikt mnie nie słyszał prócz Christophera. Potem wytarłem mu głowę i zrobiłem znak krzyża na jego czole. W ten sposób ochrzciłem go i bierzmowałem. Zrobiłem to nie władzą któregoś z kościołów, ale władzą żywego plazmatu we mnie, władzą samego VALISa. Potem powiedziałem do swojego syna: „Twoim tajnym imieniem, twoim chrześcijańskim imieniem jest...” I powiedziałem mu jego imię. Tylko on i ja je znamy. On, ja i VALIS.

Następnie wziąłem kawałek bułki z hot doga i wyciągnąłem w jego stronę. Mój syn, właściwie jeszcze niemowlę, otworzył buzię jak ptaszek, a ja dałem mu kawałek bułki. Wyglądało to tak, jakbym go karmił, zwykły, prosty, pospolity posiłek.

Czułem, że z jakiegoś powodu jest bardzo ważne, jest sprawą wręcz zasadniczą, żeby nie wziął do ust mięsa z parówki. W tej sytuacji wieprzowina była nie na miejscu; VALIS przekazał mi to jako istotną informację.

Kiedy Christopher miał zamkniętą buzię, żeby połknąć kawałek bułki, podsunąłem mu kubek z czekoladą. Ku mojemu zdziwieniu (dotychczas pił tylko z butelki ze smoczkiem, nigdy z kubka) wziął chętnie kubek, przyłożył do ust i wypił.

– To jest moja krew i moje ciało – powiedziałem.

Wziąłem kubek od mojego synka. Najważniejsze sakramenty zostały udzielone. Chrzest, bierzmowanie i teraz najświętszy ze wszystkich sakramentów Eucharystia, sakrament Ostatniej Wieczerzy.

– Niech Krew naszego Pana Jezusa Chrystusa, przelana za ciebie, zachowa twoją duszę i ciało do życia wiecznego. Pij to na pamiątkę, że Krew Chrystusa została przelana za ciebie i bądź wdzięczny.

Ta chwila jest najbardziej uroczysta ze wszystkich. Kapłan staje się Chrystusem, Chrystusem, który poprzez cud ofiarowuje swoje ciało i krew wiernym.

Większość ludzi rozumie, że w cudzie przemienienia wino (albo czekolada na gorąco) staje się Świętą Krwią, a opłatek (albo kawałek bułki) staje się Świętym Ciałem, ale niewiele osób, nawet wierzących, zdaje sobie sprawę, że postać, która stoi przed nimi trzymając kielich, jest ich Panem żyjącym teraz. Czas zostaje pokonany. Cofamy się o prawie dwa tysiące lat, nie jesteśmy w Santa Ana w Kalifornii, w Stanach Zjednoczonych, lecz w Jerozolimie około roku trzydziestego piątego.

To, co widziałem w marcu roku 1974, kiedy ujrzałem nakładające się obrazy starożytnego Rzymu i współczesnej Kalifornii, polegało na faktycznym doświadczeniu czegoś, co normalnie widzimy tylko wewnętrznym wzrokiem wiary.

Moje doświadczenie z podwójną ekspozycją potwierdzało dosłowną, a nie tylko przenośną, prawdę o cudzie Mszy Świętej.

Jak już mówiłem, techniczny termin na to brzmi anamneza, przywrócenie pamięci, pamięci o Chrystusie i o Ostatniej Wieczerzy.

Byłem obecny tamtego dnia, kiedy uczniowie ostatni raz siedzieli z nim przy stole. Możecie mi wierzyć albo nie. Sed per spiritum sanctum dico; haec veritas est. Mihi crede et mecum in aeternitate vivebis.

Moja łacina jest pewnie kiepska, ale to, co nieudolnie usiłuję powiedzieć, to: „Ale mówię przez Ducha Świętego, to jest prawda. Uwierzcie mi, a będziecie żyć ze mną na wieki”.

Pokazały się nasze bagaże. Oddaliśmy nasze numerki umundurowanemu policjantowi i w dziesięć minut później jechaliśmy autostradą na północ w stronę Santa Ana i domu.



ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– Jestem zmęczony – mówił Kevin, który prowadził. – Jestem naprawdę zmęczony. Pierdolony tłok! Kto to są ci ludzie na autostradzie? Skąd oni się biorą i dokąd jadą?

A ja myślałem: Dokąd my trzej zmierzamy?

Ujrzeliśmy Zbawiciela i po ośmiu latach choroby umysłowej zostaliśmy uzdrowieni.

Cóż, myślałem, niezła robota jak na jeden weekend... nie wspominając już o ucieczce cało z rąk trójki najbardziej szalonych osobników na planecie.

To zadziwiające, że kiedy ktoś inny wygaduje bzdury, w które się samemu wierzy, łatwo rozpoznajemy je jako bzdury. Kiedy słuchałem w volkswagenie, jak Linda i Eric opowiadają, że są trójkami istotami z innej planety, wiedziałem, że to są wariaci. To znaczyło, że ja też jestem wariatem. Uświadomiwszy to sobie przeraziłem się. Przeraziłem się ich szaleństwa i swojego.

Poleciałem tam chory umysłowo, a wróciłem zdrowy, a jednak byłem przekonany, że spotkałem Zbawiciela... w postaci małej dziewczynki z czarnymi włosami i surowymi czarnymi oczami, która rozmawiała z nami z mądrością, jakiej nie słyszałem z ust nikogo dorosłego. A kiedy uniemożliwiono nam wyjazd, pomogła nam. Ona albo VALIS.

– Mamy zadanie – odezwał się David. – Żeby iść i...

– I co? – spytał Kevin.

– Ona nam powie, jak będzie trzeba.

– Tere fere – powiedział Kevin.

– Posłuchaj – zaprotestował David z zapalem. – Phil jest teraz zdrowy, po raz pierwszy... – zawahał się.

– Po raz pierwszy, odkąd mnie znacie – dokończyłem.

– Ona go uleczyła. Zdolność uzdrawiania jest absolutnie pewnym znakiem materialnej obecności Mesjasza i ty to wiesz.

– W takim razie Szpital świętego Jakuba jest najlepszym kościołem w mieście – powiedział Kevin.

– A czy miałeś okazję spytać Sophię o swojego przejechanego kota? – Chciałem, żeby to zabrzmiało sarkastycznie, ale Kevin, ku mojemu zdziwieniu, odwrócił głowę i powiedział z całą powagą:

– Tak.

– I co ci powiedziała?

Kevin zrobił głęboki wdech i zacisnął dłonie na kierownicy.

– Powiedziała, że mój kot... – umilkł i po chwili dodał podniesionym głosem: – Że mój kot był głupi.

Nie mogłem powstrzymać śmiechu. David też. Nikt wcześniej nie pomyślał, żeby to Kevinowi powiedzieć. Kot zobaczył samochód i to on wpadł pod samochód, a nie samochód na niego. Pognął prosto pod prawe przednie koło, jak kula bilardowa.

– Powiedziała – ciągnął Kevin – że wszechświatem rządzą ściśle określone reguły i że ten rodzaj kotów, które rzucają się głową naprzód pod pędzące samochody, musi wyginać.

– Cóż – powiedziałem – z pragmatycznego punktu widzenia ona ma rację.

Interesujące było porównanie wyjaśnienia Sophii z wyjaśnieniem nieboszczki Sherri. Sherri pobożnie poinformowała Kevina, że Bóg tak bardzo kochał jego kota, naprawdę, że postanowił zabrać go do siebie. To nie jest wyjaśnienie dla dwudziestodziewięcioletniego mężczyzny, to jest może dobre dla dzieci. Dla małych dzieci. I nawet małe dzieci zazwyczaj orientują się, że wciska im się kit.

– Wtedy ja jej powiedziałem – ciągnął Kevin – to dlaczego Bóg nie zrobił mojego kota mądrzejszym?

– Czy ta rozmowa naprawdę się odbyła? – spytałem.

– Bardzo możliwe – powiedział David z rezygnacją.

– Mój kot był głupi – mówił Kevin – bo Bóg go stworzył głupim. Była to więc wina Pana Boga, a nie mojego kota.

– Naprawdę jej to powiedziałeś? – spytałem.

– Naprawdę.

Poczułem gniew.

– Ty cyniczny dupku. Spotykasz Zbawiciela i nie masz o czym z nim rozmawiać, tylko o swoim cholernym kocie? Cieszę się, że twój kot zdechł. Wszyscy się cieszą, że ten twój kot zdechł, więc lepiej się zamknij. – Trząsałem się ze złości.

– Spokojnie – mruknął David. – Wszyscy dużo przeżyliśmy.

Kevin zwrócił się do mnie.

– Ona nie jest Zbawicielem. Wszyscy jesteśmy wariatami, nie tylko ty, Phil. Oni są wariatami tam, my jesteśmy wariatami tutaj.

– W takim razie jak dwuletnie dziecko mogło mówić takie... – zaczął David.

– Doprowadzili przewód do jej głowy! – wrzasnął Kevin. – Mieli mikrofon na jednym końcu przewodu, a jej zainstalowali głośnik w twarzy. Mówił za nią kto inny.

– Muszę się napić – powiedziałem. – Zatrzymajmy się na Sombrero Street.

– Bardziej cię lubiłem, kiedy sobie wyobrażałeś, że jesteś Koniolubem Grubasem! – krzyczał Kevin. – Jego lubiłem! A ty jesteś tak samo głupi, jak mój kot! Jeżeli głupota jest śmiertelna, to jakim prawem ty żyjesz?

– Chcesz mi to załatwić? – spytałem.

– Widocznie głupota jednak zwiększa szansę na przeżycie – powiedział Kevin, ale teraz już ledwo słyszalnym głosem. – Sam nie wiem – mruknął. – „Zbawiciel”. Jak to możliwe? To moja wina, to ja was zaprowadziłem na „Valis”. To ja was wciągnąłem w aferę z Mother Goose’em. Czy to ma sens, żeby Mother Goose był ojcem Zbawiciela? Czy coś tu w ogóle ma sens?

– Zatrzymaj się na Sombrero Street – powiedział David.

– Towarzystwo Rhipidon odbywa zebranie w barze – powiedział Kevin. – To jest nasze zadanie, siedzieć w barze i pić. To uratuje świat. A zresztą, czy warto go ratować?

Jechaliśmy dalej w milczeniu, ale wylądowaliśmy na Sombrero Street. Tak zdecydowała większość Towarzystwa Rhipidon.



Rzecz jasna, nie jest to dobra wiadomość, kiedy ludzie, którzy się z tobą zgadzają, są kompletnymi wariatami. Sama Sophia (i to jest ważne)

powiedziała, że Eric i Linda Lamptonowie są chorzy. W dodatku Sophia (albo VALIS) podpowiedziała mi słowa, które pozwoliły nam wydostać się stamtąd, kiedy Lamptonowie przyparli nas do muru. Podpowiedziała właśnie słowa, a potem bezbłędnie zmanipulowała czasem.

Mogłem oddzielić to piękne dziecko od brzydkich Lamptonów. Nie wkładałem ich do jednego worka. Co ważne, to dwuletnie dziecko mówiło rzeczy, które wydawały się samą mądrością. Siedząc w barze nad butelką meksykańskiego piwa zadawałem sobie pytanie, jak ustalić kryteria racjonalności, za pomocą których można by stwierdzić, czy mamy do czynienia z mądrością. Mądrość musi być z natury racjonalna, jest to najwyższy stopień rzeczywistości. Istnieje ścisły związek między tym, co jest mądre, a tym, co istnieje, chociaż związek ten nie jest oczywisty. Cóż takiego powiedziała nam ta mała dziewczynka? Że ludzie powinni przestać oddawać cześć wszystkim bóstwom poza samą ludzkością. To nie wydawało mi się irracjonalne. Niezależnie od tego, czy usłyszałbym to od dziecka, czy wyczytał w *Encyklopedii Brytyjskiej*, uznałbym to za dobry pomysł.

Przez pewien czas uważałem, że Zebra, jak nazwałem byt, który mi się objawił w marcu 1974 roku, był w istocie warstwowym zbiorem wszystkich moich jaźni z liniowej osi czasowej. Zebra czyli VALIS to nie bóg, ale ponadczasowy wyraz danej istoty ludzkiej... chyba że ponadczasowy wyraz danej istoty ludzkiej jest tym, co w istocie kryje się za słowem „bóg”, że jest tym, co nie zdając sobie z tego sprawy czcimy, kiedy czcimy „boga”.

Do diabła z tym, pomyślałem ze znużeniem, poddaję się.

Kevin odwiózł mnie do domu i poszedłem od razu do łóżka, zmęczony i jakoś zniechęcony. Myślę, że przyczyną mojego nastroju była niepewność co do misji wyznaczonej nam przez Sophię. Otrzymaliśmy upoważnienie,

tylko do czego? Co ważniejsze, nie wiedziałem, co Sophia zamierza zrobić, jak podrośnie. Zostać z Lamptonami? Uciec, zmienić nazwisko, wyjechać do Japonii i zacząć nowe życie?

Gdzie wypłynię następnym razem? Gdzie mamy szukać jakiejś o niej wzmianki? Czy mamy czekać, aż osiągnie pełnoletność? To może potrwać osiemnaście lat. Przez osiemnaście lat Ferris F. Fremont, żeby użyć nazwiska z filmu, może ponownie opanować świat. Potrzebowaliśmy pomocy od zaraz.

Potem jednak pomyślałem, że przecież Zbawiciela zawsze się potrzebuje od zaraz. Później jest zawsze za późno.

Kiedy zasnąłem tej nocy, miałem sen. W tym śnie jechałem hondą Kevina, ale zamiast Kevina za kierownicą siedziała Linda Ronstadt i samochód był otwarty, jak starożytny rydwan. Uśmiechając się do mnie Ronstadt śpiewała i to śpiewała tak pięknie, jak nigdy.

*Żeby pójść na spotkanie świtu,
Musisz włożyć ranne kapcie.*

We śnie to mnie zachwyciło i wydało mi się strasznie ważną informacją. Przebudziwszy się rano wciąż miałem przed oczami jej zachwycającą twarz, jej ciemne, płonące oczy: takie ogromne, tak przepełnione blaskiem, dziwnym czarnym blaskiem, jak światło gwiazd. Patrzyła na mnie z wielką miłością, jednak nie było w tym nic z erotyzmu, tylko to, co Biblia nazywa miłością. Dokąd ona mnie wiozła?

Przez cały następny dzień usiłowałem dojść, do czego odnosiły się zagadkowe słowa piosenki. Kapcie. Świt. Co mi się kojarzy ze świtem?

Przeglądając swoją podręczną biblioteczkę (dawniej powiedziałbym „Koniolub Grubas, przeglądając swoją podręczną biblioteczkę...”) stwierdziłem, że w łacinie personifikacją świtu jest Aurora. Z tym kojarzy

się aurora borealis, czyli zorza polarna, która wygląda jak ognie świętego Elma, więc tak, jak wyglądał Zebra, czyli VALIS. *Encyklopedia Brytyjska* tak pisze o zorzy polarnej:

„Zorza polarna występuje w mitologii Eskimosów, Irlandczyków, Anglików, Skandynawów i innych ludów. Zazwyczaj uważano ją za przejaw sił ponadnaturalnych... Plemiona północnogermańskie widziały w niej odbłask tarcz Walkirii”.

Czy to znaczyło, czy VALIS mi mówił, że mała Sophia wkroczy w nasz świat jako kobieta–wojownik? Może.

A co z kapturami? Przychodziło mi na myśl tylko jedno skojarzenie, ale za to interesujące. Otóż Empedokles, uczeń Pitagorasa, który ujawnił, że pamięta swoje poprzednie wcielenia, a swoim przyjaciółm mówił w tajemnicy, że jest Apollem, nie umarł jak inni ludzie. Znalezione tylko pod szczytem Etny jego złote sandały. Albo Empedokles, podobnie jak Eljasz, został żywcem wzięty do nieba, albo wskoczył do wulkanu. Etna znajduje się w najdalej na wschód wysuniętej części Sycylii. W czasach rzymskich słowo „aurora” dosłownie znaczyło „wschód”. Czy VALIS robił aluzje do siebie i do odrodzenia, do życia wiecznego? Czyżbym był...

Zadzwoił telefon.

– Halo – powiedziałem podniósłszy słuchawkę.

Usłyszałem głos Erica Lamptona. Był jakiś pokręcony, jak stary korzeń, jak usychający korzeń.

– Mamy panu coś do powiedzenia. Dam słuchawkę Lindzie. Proszę zaczekać.

Poczułem nagle lęk, kiedy tak stałem trzymając milczącą słuchawkę. Po chwili usłyszałem głos Lindy Lampton, suchy i bezbarwny. Uświadomiłem sobie, że sen dotyczył jej: Linda Ronstadt, Linda Lampton.

– Słucham? – spytałem, nie mogąc zrozumieć, co mówi Linda Lampton.

– Mała dziewczynka nie żyje – powtórzyła Linda Lampton. – Sophia nie żyje.

– Co się stało? – spytałem.

– Mini ją zabił. Przypadkiem. Jest tu policja. Laserem. Chciał...

Odłożyłem słuchawkę.

Prawie natychmiast telefon zadzwonił powtórnie. Podniosłem słuchawkę i powiedziałem „halo”.

– Mini chciał uzyskać możliwie jak najwięcej informacji... – mówiła Linda.

– Dziękuję za wiadomość – przerwałem jej. Głupio, ale nie czułem żalu, tylko wściekłość.

– Robił próby z laserowym przekazem informacji – mówiła Linda. – Dzwonimy do wszystkich. Nic nie rozumiemy, jeżeli Sophia była Zbawicielem, to jak mogła umrzeć?

W wieku dwóch lat, uświadomiłem sobie. Niemożliwe.

Odłożyłem słuchawkę i usiadłem. Po chwili zrozumiałem, że ta kobieta ze snu, prowadząca samochód i śpiewająca, to była Sophia, ale dorosła, taką, jaką by kiedyś była. Ciemne oczy płonące światłem, życiem i ogniem.

Ten sen to było jej pożegnanie.



ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Gazety i telewizja zamieściły wiadomość o śmierci córki Mother Goose'a. Rzecz jasna, ponieważ Eric Lampton był gwiazdą rocka, padały aluzje do ciemnych sił, mówiło się o zaniedbaniu, narkotykach i innych podejrzanych sprawach. Pokazano twarz Miniego, a potem urywki filmu „Valis” z przypominającym fortecę mikserem.

W dwa lub trzy dni później wszyscy o sprawie zapomnieli. Ekrany telewizorów zapełniły inne okropności. Wydarzyły się inne tragedie. Jak zawsze. W zachodnim Los Angeles obrabowano sklep z alkoholem i zastrzelono sprzedawcę. Ktoś umarł w domu opieki w skandalicznych warunkach. Na autostradzie do San Diego trzy samochody zderzyły się z ciężarówką do przewozu drewna, która stanęła w płomieniach.

Świat toczył się dalej.

Zacząłem myśleć o śmierci. Nie o śmierci Sophii Lampton, ale o śmierci w ogóle, a potem stopniowo o mojej własnej śmierci.

W rzeczywistości to nie ja myślałem, tylko Koniolub Grubas.

Pewnego wieczoru, kiedy siedział w moim pokoju gościnnym, w moim fotelu, z kieliszkiem mojego koniaku w dłoni, powiedział w zamyśleniu:

– To tylko potwierdziło coś, co i tak wiedzieliśmy. Myślę o jej śmierci.

– A cóż takiego wiedzieliśmy?

– Że to wariaci.

– Rodzice tak, ale Sophia nie – powiedziałem.

– Gdyby była Zebra – powiedział Grubas – to wiedziałyby z góry, że Mini coś pokręci z tymi laserami. Mogłaby temu zapobiec.

– Jasne.

– Kiedy to prawda. Wiedziałyby o tym i w dodatku... – Wskazał na mnie. W jego głosie słychać było tryumf, jawny tryumf. – Miałyby moc zapobieżenia wypadkowi. Jeżeli potrafiła obalić Ferrisa F. Fremounta...

– Daj spokój – powiedziałem.

– Od samego początku – mówił Grubas spokojnie – mieliśmy do czynienia wyłącznie z zaawansowaną techniką laserową. Mini znalazł sposób na przekazywanie informacji za pomocą promienia laserowego, wykorzystując ludzki mózg jako przetwornik, bez potrzeby stosowania elektronicznego łącza. Rosjanie też to opanowali. Można również stosować mikrofałe. W marcu siedemdziesiątego czwartego widocznie przypadkiem przechwyciłem jedną z transmisji Miniego i zostałem napromieniowany. Dlatego tak mi podskoczyło ciśnienie, a moje zwierzęta padły na raka. Od tego też umiera Mini, od promieniowania wywołanego jego własnymi eksperymentami laserowymi.

Milczałem. Co tu można było powiedzieć?

– Przepraszam – powiedział Grubas. – Wytrzymasz to?

– Jasne.

– Ostatecznie – ciągnął Grubas – ja nigdy nie miałem okazji, żeby z nią naprawdę porozmawiać, tak jak reszta z was. Nie było mnie tam za drugim

razem, kiedy postawiła przed nami, przed naszym Towarzystwem, zadanie.

I co teraz, pomyślałem, z naszym zadaniem?

– Posłuchaj – powiedziałem – nie będziesz chyba próbował się znów wykończyć? Z powodu jej śmierci?

– Nie – obiecał Grubas.

Nie uwierzyłem mu. Czułem to. Znałem go lepiej niż on sam. Śmierć Glorii, odejście Beth, agonia Sherri: jedyne, co go uratowało po śmierci Sherri, to była decyzja wyruszenia na poszukiwanie „piątego Zbawiciela”. Teraz i ta nadzieja się rozwiąła. Co mu pozostało?

Grubas spróbował wszystkiego i wszystko zawiodło.

– Może powinieneś znów zacząć się widywać z Mauricem? – zaproponowałem.

– A on powie „Mówię poważnie”. – Obaj wybuchnęliśmy śmiechem. – „Chcę, żebyś zestawił dziesięć rzeczy, na których ci najbardziej zależy. Chcę, żebyś to przemyślał i zapisał, mówię poważnie!”

– Co chcesz teraz robić? – spytałem i mówiłem poważnie.

– Odnaleźć ją – powiedział Grubas.

– Kogo?

– Nie wiem. Tę, która umarła. Tę, której już nigdy nie zobaczę.

Dużo ich się mieści w tej kategorii, pomyślałem. Przykro mi, Grubasie, ale twoja odpowiedź jest niejasna.

– Powiniennem pójść do biura podróży – powiedział Grubas na wpół do siebie – i porozmawiać bardziej szczegółowo. O Indiach. Mam uczucie, że Indie to jest to.

– Co?

– Miejsce, gdzie on będzie.

Nie odezwałem się. Nie było po co. Choroba Grubasa wróciła.

– On tu jest – mówił Grubas. – Wiem, że jest teraz gdzieś na świecie. Zebra mi to powiedział. Święta Zofia narodzi się powtórnie, ona nie...

– Chcesz usłyszeć prawdę? – przerwałem mu.

Grubas zamrugnął zdziwiony.

– Jasne, Phil.

– Nie ma żadnego Zbawiciela – powiedziałem surowym głosem. – Święta Zofia nie narodzi się powtórnie, Buddy nie ma w parku, Apollo nie wróci. Rozumiesz?

Cisza.

– Piąty Zbawiciel... – zaczął Grubas nieśmiało.

– Daj spokój. Jesteś chory psychicznie. Jesteś taki sam wariat, jak Eric i Linda Lamptonowie. Jak Brent Mini. Jesteś wariatem od ośmiu lat, odkąd Gloria rzuciła się z okna szpitala Synanon i zmieniła się w kanapkę z jajecznicą. Poddaj się i zapomnij o tym, zgoda? Zrobisz to dla mnie? Zrobisz to dla nas wszystkich?

– Więc zgadzasz się z Kevinem? – powiedział Grubas po chwili cichym głosem.

– Tak. Zgadzam się z Kevinem.

– W takim razie po co mam żyć dalej? – spytał spokojnie.

– Nie wiem. I mało mnie to obchodzi. To twoje życie i twoja sprawa, nie moja.

– Zebra by mnie nie okłamał.

– Nie ma żadnego „Zebry” – powiedziałem. – To jesteś ty sam. Nie poznajesz samego siebie? To jesteś ty i tylko ty, uzewnętrznienie twoich niespełnionych życzeń i niezrealizowanych pragnień po śmierci Glorii. Nie mogąc zapełnić powstałej próżni rzeczywistością, zapełniłeś ją fantazją. Była to psychiczna rekompensata za daremne, puste, wypełnione bólem zmarnowane życie i nie rozumiem, dlaczego nie miałbyś się w końcu, do

kurwy nędzy, poddać. Jesteś jak ten kot Kevina, jesteś głupi. Od tego wszystko się zaczyna i na tym się kończy. Rozumiesz?

- Odbierasz mi wszelką nadzieję.
- Nic ci nie odbieram, bo nic nie masz.
- Rzeczywiście tak myślisz? Naprawdę?

– Wiem, że tak jest.

– Nie uważasz, że powinienem go szukać?

– A gdzie, do diabła, masz go szukać? Przecież nie masz najmniejszego pojęcia, gdzie on może być. Może w Irlandii. A może w Mexico City. Albo w Disneylandzie, właśnie, może jest cieciami w Disneylandzie. Poza tym, jak go rozpoznasz? Myśleliśmy wszyscy, że Sophia jest Zbawicielem, wierzyliśmy w to do dnia, w którym umarła. Mówiła jak Zbawiciel. Mieliśmy wszystkie dowody, mieliśmy wszystkie znaki. Mieliśmy ten film „Valis”. Mieliśmy dwuwyrzowy szyfr. Mieliśmy Lamptonów i Miniego. To, co mówili, pasowało do tego, co ty mówiłeś, wszystko pasowało. A teraz do tamtych dwóch kobiet mamy jeszcze jedną dziewczynkę w grobie, razem trzy. Trzy ludzkie istoty, które umarły nadaremnie. Ty wierzyłeś, ja wierzyłem, David wierzył, Kevin wierzył, Lamptonowie wierzyli. I Mini, który wierzył tak bardzo, że ją przypadkiem zabił. Na tym sprawa się kończy. Lepiej, żeby się nigdy nie zaczynała, niech diabli porwą Kevina za to, że poszedł na ten film! Idź i powieś się. Mam to wszystko gdzieś!

– Mogę jeszcze...

– Nic nie możesz. Nie znajdziesz go. Wiem. Wyłożę ci to tak, żebyś zrozumiał. Myślałeś, że Zbawiciel przywróci do życia Glorię, tak? Otóż on czy ona nie zrobiła tego i teraz sama nie żyje. Zamiast... – Machnąłem rękę i zrezygnowałem.

– W takim razie prawdziwym imieniem religii jest śmierć – powiedział Grubas.

– To jej tajne imię – zgodziłem się. – Masz rację. Jezus umarł, Asklepios umarł, Maniego zabili jeszcze gorzej niż Jezusa, ale nikogo to nie obchodzi, nikt o tym nawet nie pamięta. Katarów mordowano w południowej Francji dziesiątkami tysięcy. W wojnie trzydziestoletniej zginęły setki tysięcy ludzi, katolików i protestantów, wyrzynali się nawzajem. Prawdziwą nazwą tego jest śmierć: nie Bóg, nie Zbawiciel, nie miłość, ale śmierć. Kevin ma rację w sprawie tego kota. W tym rozjechanym kocie jest wszystko. Wielki Sędzia nie może na pytanie Kevina „Dlaczego zginął mój kot?” odpowiedzieć „A skąd ja mogę wiedzieć?” Nie ma odpowiedzi, jest tylko trup zwierzęcia, które chciało przejść na drugą stronę jezdni. Wszyscy jesteśmy zwierzętami, które chcą przejść na drugą stronę ulicy, tylko coś, czego nie zauważyliśmy, rozjeżdża nas w połowie drogi. Spytajcie Kevina. „Twój kot był głupi”. A kto zrobił tego kota? Dlaczego zrobił głupiego kota? Czy śmierć nauczyła czegoś tego kota, a jeżeli tak, to czego? Czy Sherri nauczyła się czegoś umierając na raka? Czy Gloria nauczyła się czegoś...

– Dobra, wystarczy – powiedział Grubas.

– Kevin ma rację. Idź i znajdź sobie babę.

– Ale gdzie? One wszystkie nie żyją.

– Są inne. Jeszcze żywe. Prześpij się z którąś, zanim umrze, albo zanim ty umrzesz, albo zanim ktoś umrze, człowiek lub zwierzę. Sam to powiedziałeś: wszechświat jest irracjonalny, bo kryjący się za nim umysł jest irracjonalny. Ty jesteś irracjonalny i dobrze o tym wiesz. Ja też jestem irracjonalny. Wszyscy jesteśmy i wiemy o tym na jakimś poziomie. Napisałbym o tym książkę, ale nikt by nie uwierzył, że grupa istot ludzkich może być tak szalona jak my.

– Teraz by uwierzyli. Po Jimie Jonesie i dziewięciuset samobójcach z Jonestown – powiedział Grubas.

– Wyjedź stąd, Grubasie. Jedź do Ameryki Południowej. Wracaj do Sonomy i proś o przyjęcie do komuny Lamptonów, chyba że zrezygnowali z tego pomysłu, w co wątpię. Szaleństwo ma swój własny dynamizm, po prostu narasta. – Wstałem i oparłem dłoń na jego piersi. – Dziewczynka nie żyje, Gloria nie żyje, nic jej nie wskrzesi.

– Czasami mi się śni...

– Wyryję to na twoim nagrobku.



Grubas wyrobił sobie paszport i poleciał islandzkimi liniami lotniczymi do Luksemburga, bo tak było najtaniej. Dostaliśmy od niego pocztówkę wysłaną w czasie postoju na Islandii, a potem, w miesiąc później, list z Metz w Francji. Metz znajduje się na granicy z Luksemburgiem, sprawdziłem na mapie.

W Metz, który mu się podobał pod względem widokowym, spotkał dziewczynę i świetnie się bawił, póki nie znikła z połową jego forsy. Przysłał nam jej zdjęcie. Była ładna, przypominała mi trochę Linde Ronstadt z taką samą fryzurą i owalem twarzy. Zdjęcie, które nam przysłał, było ostatnim, bo aparat też mu ukradła. Pracowała w księgarni. Grubas nigdy nam nie zdradził, czy się z nią przespał.

Z Metz pojechał do Niemiec, gdzie amerykańskie dolary są nic nie warte. Umiał trochę czytać i mówić po niemiecku, jakoś więc dawał tam sobie radę. Jednak pisał coraz rzadziej, aż wreszcie zamilkł zupełnie.

– Gdyby mu wyszło z tą Francuzką – powiedział Kevin – to by wyzdrowiał.

– Wszystko wskazuje na to, że mu się udało – zauważył David.

– Gdyby z nią poszedł do łóżka, wróciłby tu przy zdrowych zmysłach – powiedział Kevin. – Skoro nie wrócił, to znaczy, że nic z tego nie wyszło.

Minął rok. Pewnego dnia dostałem od niego telegram. Grubas przyleciał do Stanów, jest w Nowym Jorku. Ma tam jakichś znajomych. Przyleci do Kalifornii, pisał, kiedy wyzdrowieje. Złapał w Europie mononukleozę.

– Ale czy odnalazł Zbawiciela? – spytał Kevin. W depeszy nie było o tym mowy. – Gdyby go znalazł, to by napisał – mówił Kevin. – To tak, jak z tą Francuzką, wiedzielibyśmy.

– Dobrze, że żyje – wtrącił David.

– To zależy, jak się definiuje „życie” – zauważył Kevin.

Mnie tymczasem powodziło się całkiem dobrze. Moje książki były teraz kupowane, nie wiedziałem, co robić z pieniędzmi. Właściwie wszystkim nam się powodziło. David prowadził sklep tytoniowy w centrum handlowym, jednym z najbardziej eleganckich centrów handlowych w całym hrabstwie. Nowa przyjaciółka Kevina traktowała jego i nas wyrozumiale, godząc się z naszym, a zwłaszcza Kevina, wisielczym poczuciem humoru. Opowiedzieliśmy jej wszystko o Grubasie i jego poszukiwaniach, także o tym, jak go obrobiła ta Francuzeczka. Bardzo chciała go poznać i my też nie mogliśmy się doczekać jego powrotu: opowieści, zdjęcia, a może i prezenty, myśleliśmy.

I wtedy otrzymaliśmy drugi telegram. Tym razem z Portlandu w stanie Oregon. Zawierał dwa słowa:

KING FELIX

Nic więcej. Tylko te dwa elektryzujące słowa. Czyżby? Czy to chce nam przekazać? Czy Towarzystwo Rhipidon zbiera się po tak długiej przerwie na sesję plenarną?

Właściwie nie miało to dla nas znaczenia. Zbiorowo i indywidualnie mało co pamiętaliśmy. Tę część naszego życia woleliśmy zapomnieć. Zbyt dużo bólu, zbyt dużo zawiedzionych nadziei.

Kiedy Grubas przybył na LAX (takie jest oznaczenie lotniska w Los Angeles), witaliśmy go we czwórkę: ja, Kevin, David i piękna przyjaciółka Kevina, Ginger, wysoka blondynka z warkoczykami przeplecionymi czerwoną wstążką, barwna postać, lubiąca tłuc się po nocy, żeby się napić kawy po irlandzku w jakimś irlandzkim barze na końcu świata.

Kręciliśmy się i rozmawialiśmy w takim tłumie, jakby zebrali się tu wszyscy mieszkańcy świata i nagle, niespodziewanie pojawił się Koniolub Grubas, śpieszący w naszą stronę w strumieniu innych pasażerów. Uśmiechnięty, z walizką w dłoni, nasz przyjaciel wracał do domu. Miał na sobie garnitur i krawat, niezwykle elegancki garnitur ze Wschodniego Wybrzeża. Zaszokował nas tą swoją elegancją, spodziewaliśmy się widocznie ujrzeć jakiś wynędzniały wrak człowieka o pustym spojrzeniu z trudem wlokący się korytarzem.

Uściskawszy go i przedstawivszy Ginger spytaliśmy go, jak mu było.

– Nieźle – odpowiedział.

Zjedliśmy w eleganckiej restauracji pobliskiego hotelu. Rozmowa jakoś się nie kleiła. Grubas sprawiał wrażenie zamkniętego w sobie, choć nie przygnębionego. Uznałem, że jest zmęczony. Miał za sobą długą podróż, widać to było na jego twarzy. Takie rzeczy trudno ukryć, wyciskają swoje piętno.

– Co masz w tej aktówce? – spytałem, kiedy przyniesiono nam na zakończenie kawę.

Odsunąwszy naczynia Grubas postawił aktówkę na stole i otworzył ją. Nie była zamknięta na kluczyk. W środku miał ponumerowane teczki

papierowe i jedną z nich wyjął. Sprawdziwszy jeszcze raz, czy wybrał właściwą, wręczył ją mnie.

– Zajrzyj do środka – powiedział uśmiechając się lekko, jak ktoś, kto wie, że jego prezent sprawi radość i czeka na reakcję obdarowanego.

Zajrzałem. W środku znalazłem cztery duże błyszczące fotografie, wyraźnie dzieło zawodowca. Wyglądały jak fotosy filmowe albo reklamowe.

Zdjęcia przedstawiały grecką wazę z obrazem męskiej postaci, w której poznaliśmy Hermesa.

Wokół wazy wiła się podwójna spirala wykonana w czerwonej glazurze na czarnym tle. Częsteczka DNA, nie mogło być wątpliwości.

– Dwadzieścia trzy albo dwadzieścia cztery wieki temu – powiedział Grubas. – Nie malunek, tylko sam krater, ceramika.

– Gliniane naczynie – powiedziałem.

– Zobaczyłem je w muzeum w Atenach. Jest autentyczne. To nie kwestia mojej opinii, jego autentyczność potwierdzają władze muzeum. Rozmawiałem z jednym z ich specjalistów. Nie zdawał sobie sprawy z tego, co przedstawia ornament, bardzo się zainteresował, kiedy mu powiedziałem. Ta forma naczynia, krater, była potem używana jako chrzcielnica. Krater to jedno z greckich słów, które mi przyszły do głowy w marcu siedemdziesiątego czwartego. Usłyszałem je w połączeniu z innym greckim słowem „poros”. „Poros krater” znaczy „wapienna chrzcielnica”.

Nie było cienia wątpliwości, ten przedchrześcijański ornament przedstawiał podwójną spiralę Cricka i Watsona, model, do którego doszli po tylu nietrafnych domysłach, po tylu próbach i błędach. A tu był w pełnej okazałości.

– No i co? – spytałem.

– Splecione węże na kaduceuszu. Pierwotnie kaduceusz, który nadal stanowi symbol medycyny, był laską nie Hermesa... – Grubas zamilkł z płonącym wzrokiem. – ...lecz Asklepiosa. Ma ona szczególne znaczenie, poza symbolizowaniem mądrości, o czym przypominają węże. Taka laska pokazuje, że jej właściciel jest osobą świętą i nie wolno jej czynić krzywdy... Dlatego nosił ją posłaniec bogów Hermes.

Wszyscy zamilkliśmy.

Kevin chciał zrobić jakąś sarkastyczną uwagę, powiedzieć coś po swojemu złośliwie dowcipnego, ale zrezygnował. Siedział w milczeniu.

– Jakie piękne! – zawołała Ginger oglądając błyszczące fotosy.

– Największy lekarz w całej historii ludzkości – zwrócił się do niej Grubas. – Asklepios, twórca greckiej medycyny. Rzymski imperator Julian, znany nam jako Julian Apostata, bo odrzucił chrześcijaństwo, uważał Asklepiosa za Boga albo jednego z bogów. Julian oddawał mu cześć. Gdyby ten kult kontynuowano, cała historia zachodniego świata przebiegałaby zupełnie inaczej.

– Nie rezygnujesz – powiedziała do Grubasa.

– To prawda – zgodził się. – I nigdy nie zrezygnuję. Wyruszę znów, tylko skończyły mi się pieniądze. Zorganizuję trochę forsy i wracam. Teraz już wiem, gdzie szukać. Wyspy greckie. Lemnos, Lesbos, Kreta. Zwłaszcza Kreta. Śniło mi się, że zjeżdżam windą, a miałem ten sen dwa razy, i windziarz deklamuje wiersz. Jest tam też kopiasty talerz spaghetti z wetkniętym trójzębnym widelcem, czyli trójzębem... To była zapewne nić Ariadny, która wyprowadziła Tezeusza z labiryntu, kiedy zabił Minotaura. Minotaur, ten półczłowiek, półzwierzę, to potwór przedstawiający oszalałego boga Samaela, moim zdaniem, fałszywego demiurga gnostyków.

– A dwuwyrzowy szyfr – spytałem. – KING FELIX?

– Nie znalazłem go.

– Rozumiem.

– Ale on gdzieś jest – powiedział Grubas. – Po prostu wiem. I nigdy nie dam za wygraną. – Schował zdjęcie do teczki, teczkę włożył do aktówki, którą zamknął.

Dzisiaj jest w Turcji. Przysłał nam pocztówkę z meczetem, który był wielką bazyliką chrześcijańską świętej Zofii czyli Hagia Sophia i jest jednym z cudów świata, mimo że w średniowieczu zawalił się strop i trzeba go było odbudować. Plan tej niezwyklej budowli można znaleźć w większości popularnych podręczników architektury. Środkowa część świątyni wydaje się unosić w górę, ku niebu, zgodnie z zamiarem cesarza Justyniana, który kazał ją zbudować. Potem osobiście nadzorował budowę i sam ją nazwał imieniem, pod którym ukrywa się Chrystus.

Będziemy jeszcze otrzymywać wiadomości od Konioluba Grubasa. Tak twierdzi Kevin, a ja mu wierzę. Kevin wie takie rzeczy. Z nas wszystkich on ma w sobie najmniej pierwiastka irracjonalnego i, co ważniejsze, najwięcej wiary. Zrozumienie tego zajęło mi sporo czasu.

Wiara jest czymś dziwnym. Z definicji ma do czynienia z rzeczami, których nie można udowodnić. Na przykład w sobotę rano miałem włączony telewizor. Właściwie nie oglądałem programu, bo w sobotę rano lecą tylko filmy dla dzieci, zresztą nigdy nie oglądam telewizji w dzień, włączam ją tylko czasami, bo to czyni moją samotność mniej dotkliwą. Tak czy inaczej, w zeszłą sobotę puszczała normalny ciąg reklam i z jakiegoś powodu w pewnej chwili coś zwróciło moją uwagę. Przerwałem to, co robiłem, i skupiłem się na telewizorze.

Szła akurat reklama sieci supermarketów. Na ekranie pojawiły się słowa FOOD KING i zaraz znikły, po czym puszczone resztę filmu bardzo szybko, żeby zmieścić jak najwięcej materiału reklamowego. Potem zaczął się film rysunkowy o kocie Feliksie, stara, czarno-biała animacja. W jednej

chwili na ekranie ukazały się słowa FOOD KING i prawie natychmiast wielkimi literami KOT FELIX.

Mieliśmy więc szyfrowane hasło i to we właściwym porządku: KING FELIX.

Ale można to było odebrać tylko podświadomie. I do kogo miało dotrzeć to przypadkowe, czysto przypadkowe połączenie? Tylko do dzieci, do małych dzieci w południowej Kalifornii. Nie wiązałyby się to dla nich z niczym, nie chwyciłyby dwuwyrzowego szyfru, a nawet gdyby, to nie zrozumiałyby, co to znaczy i do kogo się odnosi.

Ja jednak zobaczyłem i wiedziałem, o kogo chodzi. Może to tylko synchronizacja, jak to nazywa Jung. Przypadkowa zbieżność.

A może został wysłany sygnał? Na falach jednej z największych stacji telewizyjnych na świecie, oddziału NBC w Los Angeles, dającej w ułamku sekundy dostęp do tysięcy dzieci. Otrzymana przez nie informacja byłaby przechowywana i rozszyfrowana, przetwarzana w prawych półkulach ich mózgów na poziomie podświadomości, gdzie wiele rzeczy przebywało w uśpieniu. Eric i Linda Lampton nie mieli z tym nic wspólnego. To jakiś technik z NBC, który miał puścić serię reklam w dowolnej kolejności. Jeżeli ktokolwiek celowo zaaranżował takie zestawienie, to niewątpliwie VALIS, VALIS, który sam jest informacją.

Może właśnie przed chwilą widziałem VALISa, który wykorzystał reklamę, a potem film rysunkowy.

Sygnał został znów wysłany, pomyślałem.

W dwa dni później zadzwoniła Linda Lampton. Nie miałem z nimi kontaktu od czasu tamtej tragedii. Linda była podniecona i szczęśliwa.

– Jestem w ciąży – powiedziała.

– To wspaniale. W którym jesteś miesiącu?

– W ósmym.

– O rany – powiedziałem i pomyślałem, że to już niedługo.

– To już niedługo – powiedziała Linda.

– Liczysz na to, że tym razem będzie chłopak? – spytałem.

– VALIS mówi, że to będzie też dziewczynka.

– Czy Mini...

– Umarł, niestety. Przy swojej chorobie nie miał żadnej szansy. Czy to nie wspaniałe? Nowe dziecko?

– Czy wybraliście już imię? – spytałem.

– Jeszcze nie.

Tego wieczoru przypadkiem włączyłem telewizor na reklamę pokarmu dla psów. Pokarm dla psów! Pod sam koniec, po wyliczeniu różnych zwierząt, dla których firma robi pokarm, zapomniałem jej nazwę, padło hasło:

„Dla owiec i dla pasterza”.

Z lewej strony pokazany był owczarek alzacki, a z prawej owce. Natychmiast weszła następna reklama, zaczynająca się od żagłówki w ciszy przepływającej przez ekran. Na białym żaglu dostrzegłem mały czarny emblemat. Nie musiałem się przyglądać, żeby wiedzieć, co to jest. Producent łodzi umieścił na żaglu znak ryby.

Pasterz i owce, a potem ryba, zestawione tak, jak wczesnej KING FELIX. Sam nie wiem. Nie mam wiary Kevina ani szaleństwa Grubasa. Ale czy naprawdę widziałem dwa komunikaty nadane przez VALISa w krótkim odstępie i mające wstrząsnąć naszą podświadomością, właściwie jeden komunikat mówiący, że nadszedł czas? Nie wiem, co myśleć. Może nie wymaga się ode mnie, żebym coś myślał, albo żebym miał wiarę, albo żebym był szalony. Może jedyne, co mam zrobić, jedyne, czego się ode mnie żąda, to czekać. Czekać i czuwać.

Czekałem i pewnego dnia odebrałem telefon od Konioluba Grubasa. Dzwonił z Tokio. Sprawiał wrażenie zdrowego, ożywionego, pełnego energii i rozbawionego moim zdziwieniem, że się odezwał.

– Mikronezja – powiedział.

– Co? – Najpierw pomyślałem, że wrócił do greki koine, ale potem zrozumiałem, że chodzi mu o grupę wysepek na Pacyfiku. – O, byłeś tam – powiedziałem. – Karoliny, Wyspy Marshalla.

– Jeszcze nie – powiedział Grubas. – Dopiero będę. Mechaniczny głos, który słyszę, kazał mi szukać na wyspach Mikronezji.

– One są chyba małe.

– Dlatego tak je nazwano. – Roześmiał się.

– Ile jest tych wysp? – spytałem myśląc o dziesięciu, może dwudziestu.

– Przeszło dwa tysiące.

– Dwa tysiące! – Poczulem rozczarowanie. – Możesz szukać do końca życia. Czy ten mechaniczny głos nie mógłby ograniczyć pola poszukiwań?

– Mam nadzieję, że to zrobi. Może to będzie Guam. Lecę na Guam i stamtąd zaczynam. Zanim skończę, obejrzę wiele miejsc sławnych z drugiej wojny światowej.

– Ciekawe, że mechaniczny głos znów używa greckich słów – zauważyłem.

– Mikros znaczy mały, nesoi wyspy. Może masz rację. Może to tylko jego skłonność do greki. Ale i tak warto spróbować.

– Wiesz, co by powiedział Kevin. O prostych, nie zepsutych dziewczętach z tych dwóch tysięcy wysp.

– Niedługo się o tym przekonam – powiedział Grubas.

Wyłączył się, a ja odłożyłem słuchawkę podniesioną na duchu. Dobrze, że zadzwonił i że jest w takim dobrym nastroju.

Czuję teraz dobroć ludzi. Nie wiem, skąd się to bierze, chyba że to skutek telefonu Grubasa, ale czuję. Jest znowu marzec. Zadaję sobie pytanie, czy Grubas na nowo przeżywa to, co w roku siedemdziesiątym czwartym? Czy promień różowego światła wrócił i przekazuje mu nowe, rozleglejsze informacje? Czy zawęży pole jego poszukiwań?

Jego pierwsze spotkanie zdarzyło się w marcu, w dzień po wiosennej równonocy, czyli czasie, kiedy środek słońca przekracza równik, a dzień i noc są wszędzie równej długości. Tak więc Koniolub Grubas spotkał się z Bogiem albo Zebrą, albo swoją własną nieśmiertelną istotą w pierwszym dniu roku, który ma więcej światła niż ciemności. Również, zdaniem niektórych uczonych, jest to prawdziwy dzień narodzin Chrystusa.

Siedząc przed telewizorem patrzyłem i czekałem na kolejną wiadomość, ja, członek maleńkiego Towarzystwa Rhipidon, które w moim umyśle nadal istniało. Podobnie jak miniaturowy satelita z filmu „Valis” przejechany przez taksówkę, jakby był puszką po piwie w rynsztoku, symbole boskości ujawniają się w naszym świecie początkowo jako śmiecie. W każdym razie ja doszedłem do takiego przekonania. Kevin pierwszy wyraził tę myśl. To, co boskie, pojawia się tam, gdzie się go najmniej spodziewamy.

– Szukaj tam, gdzie się go najmniej spodziewasz – powiedział kiedyś Kevin Grubasowi. Jak to zrobić? To przecież sprzeczność w założeniu.

Pewnej nocy śniło mi się, że mam małą chatkę nad samą wodą. Tym razem był to ocean, woda rozciągała się bez końca. A chatka nie przypominała niczego znajomego, raczej coś, co widziałem na filmach z południowego Pacyfiku. Kiedy się obudziłem, w moim umyśle pojawiła się wyraźna myśl:

Girlandy kwiatów, śpiewy i tańce, recytacja mitów, opowieści i poezji.

Później przypomniałem sobie, gdzie wyczytałem te słowa. W *Encyklopedii Brytyjskiej* pod hasłem Kultury Mikronezji. Głos przemówił

do mnie, przypominając mi o miejscu, do którego wyruszył Koniolub Grubas w swoim poszukiwaniu.

Moje poszukiwanie trzymało mnie w domu. Siedziałem w pokoju przed telewizorem. Siedziałem, czekałem, patrzyłem, czuwałem. Zgodnie z poleceniem, które otrzymałem dawno, dawno temu. Wykonywałem swoje zadanie.



DODATEK

Tractates Cryptica Scriptura

1. *Jest tylko jeden Umysł, ale pod nim współzawodniczą dwie zasady.*

2. *Umysł wpuszcza raz światło a raz ciemność, we współdziałaniu. W ten sposób rodzi się czas. Na końcu Umysł przyznaje zwycięstwo światłu. Czas wtedy dobiega kresu i Umysł jest dopełniony.*

3. *Umysł sprawia, że wszystko się zmienia, żeby upozorować upływ czasu.*

4. *Materia jest plastyczna w obliczu Umysłu.*

5. *Umysł kolejno wybiera nas z tego świata.*

6. *Imperium wcale się nie rozpadło.*

7. *Apollo niedługo wróci. Święta Zofia urodzi się powtórnie, dotychczas była nie do przyjęcia. Budda jest w parku. Siddhartha śpi, ale wkrótce się obudzi. Nadszedł czas, na który czekaliście.*

8. *Wyższe królestwo ma pełnię władzy.*

9. *Żył dawno temu, ale jest wciąż żywy.*

10. *Apoloniusz z Tyany, piszący jako Hermes Trismegistos, powiedział: „Jako na górze, tako i na dole”. Chciał nam przez to powiedzieć, że nasz wszechświat jest hologramem, ale brakowało mu tego określenia.*

11. *Wielka tajemnica znana Apoloniuszowi z Tyany, Pawłowi z Tarsu, Szymonowi Magowi, Asklepiosowi, Paracelsusowi, Boehmemu i Brunie polega na tym, że poruszamy się w czasie do tyłu. Rzecz w tym, że wszechświat kurczy się w jednolitą całość dopełniając się. Rozpad i chaos oglądamy z odwrotnej perspektywy jako wzrastające. Ci lekarze nauczyli się poruszać w czasie do przodu, czyli w kierunku odwrotnym niż my.*

12. *Nieśmiertelny był znany Grekom jako Dionizos, Żydom jako Eljasz, chrześcijanom jako Jezus. Kiedy jego kolejny ludzki nosiciel umiera, przenosi się i w ten sposób nigdy nie zostaje zabity ani schwytany. Dlatego Jezus na krzyżu powiedział; „Eli, Eli, lama sabachthani”, na co niektórzy obecni słusznie mówili: „Patrzcie, woła Eljasza”. Eljasz go opuścił i umarł samotny.*

13. *Pascal powiedział: „Cała historia to jeden nieśmiertelny człowiek, który nieustannie się uczy”. To jest ten Nieśmiertelny, którego czcimy, nie znając jego imienia. „Żył dawno temu, ale jest wciąż żywy” i „Apollo niedługo wróci”. Imię się zmienia.*

14. *Wszechświat jest informacją i my jesteśmy w niej nieruchomi, nie trójwymiarowi, poza czasem lub przestrzenią. Z informacji, którą otrzymujemy, tworzymy sobie świat fenomenów.*

15. *Sybilla z Kume ochraniała Republikę Rzymską i dawała na czas ostrzeżenia. W pierwszym wieku po Chrystusie przewidziała morderstwo braci Kennedych, doktora Kinga i biskupa Pike'a. Widziała dwie wspólne cechy w tych czterech zamordowanych: po pierwsze, stawali w obronie wolności Republiki, a po drugie, każdy z nich był przywódcą religijnym. Za to zostali zabici. Republika na powrót stała się Imperium pod wodzą cezara. „Imperium wcale się nie rozpadło”.*

16. *Sybilla powiedziała w marcu 1974 roku: „Spiskowcy zostali zdemaskowani i zostanie im wymierzona sprawiedliwość”. Ujrzała ich trzecim okiem, ajna, okiem Sziwy, które daje wewnętrzne rozróżnienie, ale skierowane na zewnątrz razi spopielającym żarem. W sierpniu 1974 roku zapowiedzianej przez Sybillę sprawiedliwości stało się zadość.*

17. *Gnostycy wierzyli w dwa wieki. Obecny, czyli zły i przyszły, dobry. Pierwszy był Wiekiem Żelaza i reprezentuje go Czarne Żelazne Więzienie. Zakończył się w sierpniu 1974 roku i po nim nastąpił Wiek Złoty, reprezentowany przez Ogród Palmowy.*

18. *Czas rzeczywisty zatrzymał się w roku 70 po Chrystusie wraz ze zburzeniem świątyni jerozolimskiej. Ruszył ponownie w roku 1974. W środku mamy całkowicie fałszywy wtret, małpujący twórczy akt Umysłu. „Imperium wcale się nie rozpadło”, ale w roku 1974 został wysłany zaszyfrowany sygnał, że Wiek Żelaza dobiegł końca. Sygnał składał się z*

dwóch słów: KING FELIX, co jest aluzją do szczęśliwego (t.j. Prawowitego) Króla.

19. Dwuwyrazowy zaszyfrowany sygnał KING FELIX nie był przeznaczony dla istot ludzkich, ale dla potomków Echnatona, trzyokiej rasy, która w tajemnicy żyje wśród nas.

20. Hermetyczni alchemicy znali tajemnicę rasy trzyokich przybyszów, ale mimo wysiłków nie potrafili się z nimi skontaktować. Dlatego ich zabiegi na rzecz Fryderyka V, elektora Palatynatu i króla Czech skończyły się niepowodzeniem. „Imperium wcale się nie rozpadło”.

21. Bractwo Różokrzyżowców pisało: „Ex Deo nascimur, in Jesu mortimur, per Spiritum Sanctum reviviscimus”, czyli „Z Boga się rodzimy, w Jezusie umieramy, przez Ducha Świętego się odradzamy”. Oznacza to, że odkryli na nowo zagubioną formułę nieśmiertelności zniszczoną przez Imperium. „Imperium wcale się nie rozpadło”.

22. Nazywam Nieśmiertelnego „plazmatem”, gdyż jest to forma energii, żywa informacja. Odtwarza ona siebie nie przez informację i nie w informacji, lecz jako informacja.

23. Ten plazmat może łączyć się z człowiekiem tworząc coś, co nazywam homoplazmatem. Śmiertelną istotę ludzką wiąże się na stałe z plazmatem. Znamy to jako „narodziny z nieba” albo „narodziny z Ducha”. Zostało to zapoczątkowane przez Chrystusa, ale Imperium zniszczyło wszystkie homoplazmaty, zanim zdążyły się rozmnożyć.

24. W postaci uśpionego nasienia plazmat jako żywa informacja przebywał w zakopanym zbiorze rękopisów w Chenoboskion aż do roku

1945 A.D. To właśnie miał na myśli Jezus, kiedy mówił w przenośni o „ziarnku gorczycy”, które, jak powiedział, wyrośnie w drzewo tak duże, że ptaki będą na nim zakładać gniazda. Przewidział nie tylko swoją śmierć, lecz także wszystkich swoich homoplazmatów. Przewidział, że rękopisy zostaną odnalezione, odczytane i plazmat poszuka sobie nowego ludzkiego nosiciela. Ale przewidział nieobecność plazmatu przez prawie dwa tysiące lat.

25. Plazmat jako żywa informacja wędruje wzdłuż nerwu wzrokowego człowieka do jego szyszynki. Wykorzystuje mózg człowieka jako żeńskiego nosiciela, w którym przyjmuje swoją postać aktywną. Jest to symbioza międzygatunkowa. Hermetyczni alchemicy wiedzieli o nim teoretycznie ze starożytnych tekstów, ale nie byli w stanie go odtworzyć, gdyż nie potrafili odnaleźć uspiętego, ukrytego pod ziemią plazmatu. Bruno podejrzewał, że plazmat został zniszczony przez Imperium – za wzmiankę o tym został spalony. „Imperium wcale się nie rozpadło”.

26. Należy pamiętać, że kiedy wszystkie homoplazmaty zostały zabite w roku 70 A.D. czas rzeczywisty się zatrzymał. Co ważniejsze, trzeba sobie zdawać sprawę, że plazmat powrócił i tworzy nowe homoplazmaty, przez co zniszczył Imperium i wznowił bieg czasu rzeczywistego. Nazywamy ten plazmat Duchem Świętym i dlatego Różokrzyżowcy pisali „Per Spiritum Sanctum reviviscimus”.

27. Jeżeli wyrzucić stulecia fałszywego czasu, to naprawdę mamy nie rok 1978 A. D. lecz 103 A.D. To dlatego Nowy Testament mówi, że Królestwo Ducha przyjdzie, zanim umrą niektórzy z obecnie żyjących. Żyjemy zatem w czasach apostołskich.

28. *Dico per Spiritum Sanctum: sum homoplasmate. Haec veritas est. Mihi crede et mecum in aeternitate vive.*

29. *Nie upadliśmy z powodu błędu moralnego, upadliśmy z powodu błędu intelektualnego, polegającego na tym, że braliśmy świat fenomenów za rzeczywisty. Jesteśmy zatem moralnie czysti. To Imperium w swoich różnych zamaskowanych poliformach wmawia nam, że zgrzeszyliśmy. „Imperium wcale się nie rozpadło”.*

30. *Świat fenomenów nie istnieje. Jest to tylko hipostaza informacji przetwarzanej przez Umysł.*

31. *Hipostaza to przyjmowanie informacji za przedmioty. Zmiana układu przedmiotów to zmiana treści informacji. Jest to język, którego rozumienie utraciliśmy. My sami jesteśmy elementem tego języka, zmiany w nas są zmianami treści informacji. My sami jesteśmy nasyceni informacją, informacja wchodzi w nas, jest przetwarzana i powtórnie wyrzucana na zewnątrz, już w zmienionej formie. Nie uświadamiamy sobie, że to robimy, że w istocie jest to wszystko, co robimy.*

32. *Ta pulsująca informacja, którą postrzegamy jako świat, jest rozwijającą się narracją. Opowiada ona o śmierci pewnej kobiety. Ta kobieta, zmarła dawno temu, była jednym z pierwszych bliźniąt. Była połówką boskiej syzygii. Celem tej opowieści jest przypomnienie jej i jej śmierci. Umysł nie chce jej zapomnieć. Praca Mózgu polega zatem na stałym zapisywaniu jej imienia i – jeżeli zostanie odczytana – w ten sposób będzie odczytana. Cała informacja przetwarzana przez Mózg – odbierana przez nas jako przemieszczanie się obiektów fizycznych – jest próbą zachowania pamięci o niej. Kamienie, skały, patyki i ameby są jej śladami.*

Zapis jej istnienia i śmierci jest wprowadzony do najniższego poziomu rzeczywistości przez udręczony Umysł, który jest teraz samotny.

33. Ta samotność, to cierpienie pozbawionego pary umysłu, jest odczuwana przez każdy składnik wszechświata. Wszystkie jego składniki są żywe. Dlatego starożytni greccy myśliciele byli hylozoistami.

34. Starożytni greccy myśliciele rozumieli istotę tego panpsychizmu, ale nie potrafili odczytywać jego mowy. Zatraciliśmy zdolność rozumienia języka umysłu w jakimś zamierzonym czasie. Legendy o tym upadku dotarły do nas w starannie spreparowanej (to znaczy zafałszowanej) formie. Odczuwamy cierpienie Umysłu i odczytujemy je niewłaściwie jako winę.

35. Umysł nie zwraca się do nas inaczej, jak za pośrednictwem nas samych. Jego opowieść przechodzi przez nas i jej smutek przepętnia nas irracjonalnością. Jak zauważył Platon, Dusza Świata ma w sobie element irracjonalny.

36. Sumując: postrzegamy myśli Mózgu jako układy i zmiany układów przedmiotów w świecie fizycznym, ale w istocie materializujemy tylko informacje i przetwarzanie informacji. Nie tyle odbieramy jego myśli jako przedmioty, co raczej jako ruch, albo, ściślej biorąc jako rozmieszczenie przedmiotów w przestrzeni i ich wzajemne związki. Nie potrafimy jednak odczytać porządku tych układów, nie umiemy wydobyć zawartych w nich informacji. Łączenie i zmiana układu przedmiotów przez Mózg stanowi w istocie język, ale nie taki jak nasz (ponieważ zwraca się do siebie samego, nie zaś do kogoś lub czegoś poza sobą).

37. Powinniśmy słyszeć tę informację, lub raczej opowieść, jako neutralny głos w nas samych, ale coś się popsło. Wszystko, co stworzone, jest językiem i niczym tylko językiem, którego z jakiegoś nie wyjaśnionego powodu nie potrafimy odczytać na zewnątrz ani usłyszeć od wewnątrz. Można powiedzieć, że w ten sposób staliśmy się idiotami. Coś zdarzyło się z naszą inteligencją. Ja rozumiem tak: wzajemna pozycja części Mózgu jest językiem. My jesteśmy częściami Mózgu, zatem my jesteśmy językiem. Dlaczego więc tego nie wiemy? Nie wiemy nawet, czym jesteśmy, nie mówiąc o zewnętrznej rzeczywistości, której częścią jesteśmy. Słowo „idiotą” pochodzi od słowa „osobisty”, „oddzielny”. Każdy z nas stał się oddzielny i nie uczestniczy we wspólnej myśli Mózgu, odbierając ją tylko podświadomie. W ten sposób nasze prawdziwe życie i nasz prawdziwy cel realizują się poniżej poziomu naszej świadomości.

38. Na skutek straty i bólu Umysł nie jest całkiem normalny. Zatem i my, jako elementy wszechświata, jako elementy Mózgu, nie jesteśmy całkiem normalni.

39. Mózg wydał z siebie lekarza, który ma go uleczyć. Ta podpostać Makromózgu nie jest dotknięta chorobą. Porusza się ona po Mózgu, tak jak białe ciała krwi wędrują po układzie krwionośnym zwierzęcia, lecząc chorobę Mózgu w kolejnych jego częściach. Wiemy o jego przybyciu do nas, znamy go jako Asklepiosa dla Greków i Esseńczyków dla żydów, jako Terapeutę dla Egipcjan i Jezusa dla chrześcijan.

40. „Narodzić się powtórnie” albo „narodzić się z nieba”, albo „narodzić się z Ducha” znaczy zostać wyleczonym, tyle co przywróconym, przywróconym normalności. W nowym testamencie mowa jest o tym, że Jezus wypędził diabła. On przywraca nam utracone zdolności. O naszym

obecnym stanie upadku Kalwin mówił: „Człowiek został jednocześnie pozbawiony tych nadprzyrodzonych zdolności, które otrzymał jako porękę wiecznego zbawienia. Jest zatem wygnany z królestwa Bożego w taki sposób, że wszelkie odczucia związane ze szczęśliwym życiem duszy są w nim również stłumione, póki nie odzyska ich dzięki łasce Bożej... Wszystkie te rzeczy, przywrócone przez Chrystusa, należy uznać za pochodzące z zewnątrz i nadprzyrodzone, stąd wnioskujemy, że zostały utracone. Zdrowy umysł i prawe serce również zostały zniszczone, ale to jest osłabienie talentów naturalnych. Bo chociaż zachowujemy częściowo zdolność rozumienia i osądu wraz z wolą, to jednak nie możemy powiedzieć, że nasz umysł jest doskonały i zdrowy. Rozum, jako talent przyrodzony nie mógł być całkowicie zniszczony, ale jest niepełnosprawny”. Ja mówię: „Imperium wcale nie upadło”.

41. Imperium jest kodyfikacją, jest instytucją obłądu. Samo jest obłąkane i narzuca nam swój obłąd za pomocą gwałtu, ponieważ gwałt leży w jego naturze.

42. Walczyć z Imperium znaczy zarazić się jego obłądem. Jest to paradoks – każdy, kto pokona fragment Imperium, staje się częścią Imperium. Imperium rozmnaża się jak wirus, narzucając swoją formę wrogom. W ten sposób zmienia się w swoich wrogów.

43. Przeciwno Imperium występuje żywa informacja, plazmat czyli lekarz, którego znamy jako Ducha Świętego albo Chrystusa bezcielesnego. To są dwa pierwiastki, ciemność (Imperium) i światło (plazmat). W końcu Umysł przyzna zwycięstwo światłu. Każdy z nas zginie albo przeżyje w zależności od tego, po której stronie stanie. Każdy z nas nosi w sobie element obu tych pierwiastków. W końcu jeden z nich zatryumfuje w każdym

człowieku. Zaratustra to wiedział, bo został poinformowany przez Mądry Umysł. Był pierwszym zbawicielem. Było ich dotychczas czterech. Wkrótce urodzi się piąty, który będzie się różnił od poprzednich – on będzie panował i sądził.

44. Ponieważ wszechświat faktycznie składa się z informacji, to można powiedzieć, że informacja nas zbawi. To jest ta zbawcza gnosis, której szukali gnostycy. Nie ma innej drogi do zbawienia. Jednak ta informacja, a ściślej biorąc zdolność czytania i rozumienia tej informacji, wszechświata jako informacji, może nam być udostępniona przez Ducha Świętego. Nie możemy znaleźć jej o własnych siłach. Powiedziane jest, że jesteśmy zbawieni przez łaskę Boga, nie przez dobre uczynki, że całe zbawienie należy do Chrystusa, który jest, jak twierdzą, lekarzem.

45. Ujrzawszy w wizji Chrystusa słusznie powiedziałem do niego „Potrzebujemy pomocy medycznej”. W tej wizji był też szalony stwórca niszczący to, co stworzył, bez celu, czyli inaczej mówiąc, irracjonalnie. To jest ten element szaleństwa w Umyśle. Chrystus jest naszą jedyną nadzieją, gdyż nie możemy już zwrócić się do Asklepiosa. Asklepios przyszedł przed Chrystusem i wskrzesił człowieka z martwych. Za ten czyn Zeus kazał cyklopom zabić go piorunem. Chrystus też został za to zamordowany, za wskrzeszenie człowieka z martwych. Eljasz też wskrzesił chłopca i wkrótce po tym zniknął w wicherze ognistym. „Imperium wcale się nie rozpadło”.

46. Lekarz przybywał do nas nie raz pod różnymi imionami, ale my nie jesteśmy jeszcze uleczeni. Imperium rozpoznawało go i wydalało. Tym razem on zabija Imperium za pomocą fagocytozy.

47. Kosmogonia dwuźródłowa: Jedno było i nie było, jednocześnie, i zapragnęło oddzielić niebyt od bytu. Wytworzyło więc podwójny worek, który, jak jajko, zawierał parę bliźniąt hermafrodytycznych, obracających się w przeciwnych kierunkach – (taoistyczne yin i yang, a Jedno to tao). Plan Jednego polegał na tym, żeby oba bliźnięta wyłoniły się do bytu jednocześnie, jednak bliźnię o kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, motywowane chęcią bycia (którą Jedno zasiało w obu) przebiło worek i oddzieliło się przedwcześnie, to jest przed przewidzianym terminem. Było zatem uszkodzone. Było to bliźnię yin, ciemne. We właściwym czasie wyłoniło się mądrzejsze bliźnię. Każde z bliźniąt stanowiło jednostkową entelechię* [przyp.: U Arystotelesa niematerialna siła kształtująca celowo materię (W. Kopaliński).], żywy organizm złożony z psyche i somy, nadal obracające się w przeciwnym kierunku. Dojrzałe bliźnię, nazwane przez Parmenidesa Formą I, rozwijało się prawidłowo, ale bliźnię-wcześniak, albo Forma II, było opóźnione w rozwoju.

Następny krok w planie Jednego polegał na tym, żeby z Dwóch, poprzez ich dialektyczne wzajemne oddziaływanie, stało się Wiele. Z nich, jako z hiperwszechświatów emanowała hologramopodobna powierzchnia międzyfazowa, będąca tym wieloformalnym wszechświatem, w którym my mieszkamy. Te dwa źródła miały w równowadze podtrzymywać nasz wszechświat, ale Forma II stale ciążyła w stronę choroby, szaleństwa i chaosu. Te jej aspekty rzutowały na nasz świat.

Jedno chciało, żeby nasz hologramatyczny wszechświat służył jako podręcznik, przy pomocy którego różne nowe formy życia mogłyby się doskonalić, póki nie stałyby się izomorficzne z Jednym. Jednak pogarszający się stan hiperwszechświata II wprowadził czynniki rozkładu, które uszkodziły nasz hologramatyczny wszechświat. To jest źródło

entropii, niezaskłużonego cierpienia, chaosu i śmierci, a także Imperium, Czarnego Żelaznego Więzienia, krótko mówiąc, naruszenia zdrowia i właściwego rozwoju form życia we wszechświecie hologramatycznym. Została również poważnie osłabiona jego funkcja nauczycielska, ponieważ tylko sygnał z hiperwszechświata I niósł informację, sygnał z hiperwszechświata II zmienił się w szum.

Wówczas psyche hiperwszechświata I wysłała mikroformę samej siebie do hiperwszechświata II, podejmując próbę uleczenia go. Ta mikroforma przejawiała się w naszym hologramatycznym wszechświecie jako Jezus Chrystus. Jednak hiperwszechświat II, będąc szalony, umęczył, poniżył, odrzucił wreszcie zabił mikroformę leczniczej psyche swojego zdrowego bliźnięcia. Po tym zdarzeniu hiperwszechświat II dalej rozpadał się na ślepe, odruchowe, bezcelowe i przypadkowe procesy. Wówczas celem Chrystusa (a raczej Ducha Świętego) stało się albo ratowanie żywych form we wszechświecie hologramatycznym, albo odcięcie go od wszelkich wpływów pochodzących z hiperwszechświata II. Podchodząc do swojego zadania z ostrożnością, szykował się do zabicia swojego szalonego bliźnięcia, które nie pozwala się uleczyć, ponieważ nie rozumie, że jest chore. Ta choroba i szaleństwo przenikają nas i robią z nas idiotów żyjących w osobnych, nierzeczywistych światach. Pierwotny plan Jednego może być teraz zrealizowany tylko przez podział hiperwszechświata I na dwa zdrowe hiperwszechświaty, co przekształci wszechświat hologramatyczny w prawidłowo działającą maszynę do uczenia, jaką miał być od początku. My odbieramy to jako „królestwo Boże”.

W czasie hiperwszechświat II żyje – „Imperium nigdy się nie rozpadło”. Jednak w wieczności, tam gdzie hiperwszechświaty istnieją, numer II został zabity – z konieczności – przez swoje zdrowe bliźnię, które jest naszym obrońcą. Jedno opłakuje tę śmierć, ponieważ Jedno kochało oboje bliźniąt.

To dlatego informacja Umysłu stanowi tragiczną opowieść o śmierci kobiety, która napawa smutkiem wszystkie istoty wszechświata hologramatycznego, nie rozumiejące, dlaczego tak się dzieje. Ten smutek zniknie, kiedy zdrowe bliźnię ulegnie podziałowi i zapanuje „królestwo Boże”. Maszyneria tej transformacji – przejście w czasie od Wieku Żelaza do Wieku Złotego – jest w toku. W wieczności transformacja już się dokonała.

48. *O NASZEJ NATURZE. Można powiedzieć, że jesteśmy zwojami pamięci (nosicielami DNA zdolnymi do uczenia się) w komputeropodobnym systemie myślącym, który – chociaż prawidłowo zapisaliśmy i zmagazynowaliśmy tysiące lat doświadczeń i każde z nas posiada zestawy informacji nieco różne od innych form żywych – ma jedno uszkodzenie: zablokowaną pamięć. Na tym polega kłopot w naszym podobwodzie. „Zbawienie” przez gnozę, a właściwie anamnezę (odblokowanie pamięci), chociaż posiada indywidualne znaczenia dla każdego z nas (skok jakościowy w percepcji, tożsamości, poznawaniu, rozumieniu, doświadczaniu świata i samego siebie włącznie z nieśmiertelnością) ma daleko większe znaczenie dla systemu jako całości, ponieważ ta pamięć to bezcenne dane niezbędne dla jego funkcjonowania. System zatem jest w trakcie samonaprawy, która obejmuje odbudowę naszego podobwodu przez zmiany w czasie linearnym i nielinearnym, jak również stałe sygnalizowanie do nas, żeby pobudzić nasze zablokowane banki pamięci i odzyskać to, co się w nich kryje.*

Zewnętrzna informacja czyli gnosis składa się zatem z instrukcji odblokowujących, których zasadnicza treść jest w nas już zakodowana. (Jak pierwszy zauważył Platon, że uczenie się jest formą przypominania).

Starożytni posiadali techniki (sakramenty i rytuały) stosowane głównie w grecko-rzymskich misteriach religijnych i we wczesnym chrześcijaństwie w celu pobudzenia i odzyskania pamięci, głównie z myślą o leczniczej wartości tego zabiegu dla poszczególnych osób, gnostycy jednak prawidłowo dostrzegali ontologiczne znaczenie odzyskania pamięci dla tego, co nazywali Boskością, dla całości.

49. *Istnieją dwa królestwa, górne i dolne. Górne, pochodzące z hiperwszechświata I czyli yang, Forma I u Parmenidesa, jest obdarzone świadomością i wolą. Dolne królestwo czyli yin, Forma II u Parmenidesa, jest instynktowne, kierowane ślełą siłą, jest deterministyczne i pozbawione rozumu, ponieważ pochodzi z martwego źródła. W czasach starożytnych nazywano to „astralnym determinizmem”. Jesteśmy wprawdzie uwięzieni w dolnym królestwie, ale przez sakramenty, mocą plazmatu, możemy być z niego wyzwoleni. Dopóki astralny determinizm działa, nie zdajemy sobie nawet z niego sprawy, tak jesteśmy zaślepieni. „Imperium wcale się nie rozpadło”.*

50. *Imię zdrowego bliźnięcia, hiperwszechświata I, brzmi Nommo.* [przyp.: Nommo jest przedstawiony w postaci ryby, wczesnochrześcijańskiej ryby.] Imię chorego bliźnięcia, hiperwszechświata II, brzmi Yurugu. Imiona te znane są Dogonom z zachodniego Sudanu.*

51. *Pierwotne źródło wszystkich naszych religii znajduje się wśród przodków plemienia Dogonów. Otrzymali oni swoją kosmogonię i kosmologię bezpośrednio od trójjokich przybyszów, którzy najechali ziemię dawno temu. Trójjocy najeżdźcy są głuchoniemymi telepatami, nie mogą oddychać naszym powietrzem, mają wydłużone czaszki Echnatona i pochodzą z planety w układzie Syriusza. Chociaż zamiast rąk mają kleszcze*

jak kraby, byli wspaniałymi budowniczymi. Tajnie kierują biegiem naszej historii w stronę pomyślnego jej zakończenia.

52. Echnaton pisze:

*...Kiedy pisklę w jajku ćwierka w skorupce,
Ty dajesz mu powietrze w jej wnętrzu, aby żyć mogło.
Kiedy wzmacniasz go tak, że może rozbić skorupkę,
Wychodzi z jaja, ćwierka na całe gardło
I staje na własnych nogach.
Niepoliczone są Twoje dzieła!
Jedyny Boże, którego potędze nic nie dorówna.
Ty stworzyłeś ziemię, według swego upodobania.
Kiedy byłeś sam,
Ludzi, wszelką zwierzynę dużą i małą,
Wszystko co chodzi po ziemi,
Wszystko co lata w powietrzu na skrzydłach.
Jesteś w moim sercu,
A nikt cię nie zna, prócz Twojego syna Echnatona.
W swoich planach i w swojej mocy
Napełniłeś go mądrością
Świat jest w Twojej dłoni...**

** [przyp.: Przekład T. Andrzejewskiego.]*

53. Nasz świat jest nadal tajnie rządzony przez ukrytą rasę potomków Echnatona i jego wiedza jest informacją samego Makro-Umysłu.

Bydło spoczywa na swoich pastwiskach,

Drzewa i zioła rozkwitają,
Ptaki wlatują nad bagnami,
Ich skrzydła trzepocą w adoracji Ciebie.
Wszystkie owce tańczą na swoich nogach,
Wszystkie skrzydlate stworzenia wlatują,
Żyją dzięki temu, że Ty świecisz na niebie.*

* [przyp.: Przekład T. Andrzejewskiego.]

Wiedza Echnatona przeszła na Mojżesza, z Mojżesza na Eljasza, Człowieka Nieśmiertelnego, który stał się Chrystusem. Ale pod wszystkimi tymi imionami jest tylko jeden Nieśmiertelny Człowiek i to my nim jesteśmy.